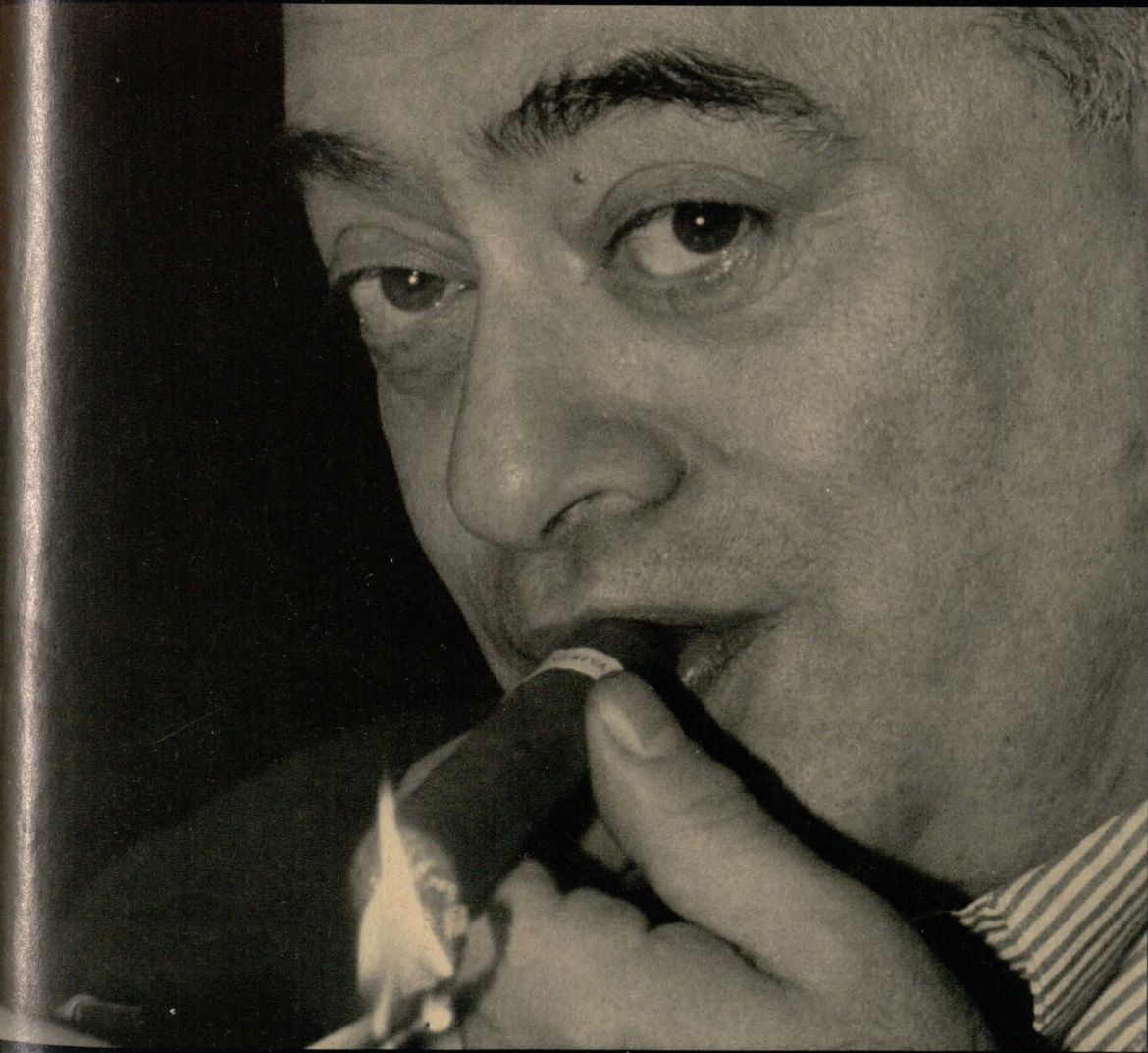
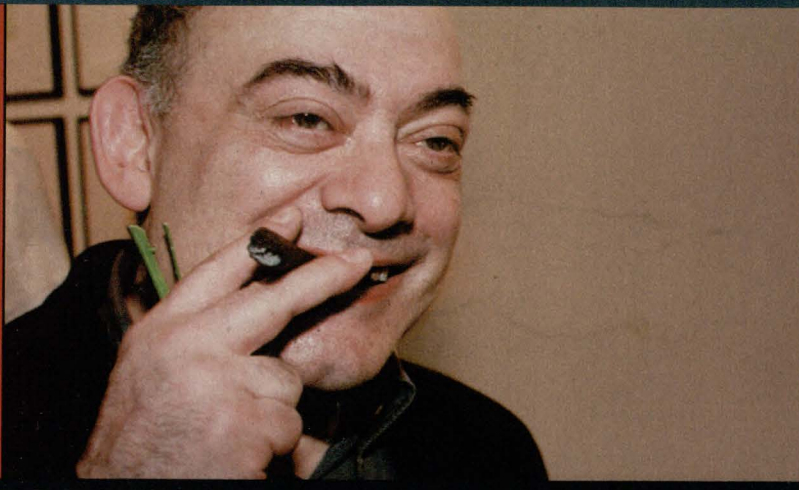


Kim pan jest, panie Villqist? • „Młode wilki” są głodne

**PRZE
KRÓJ**

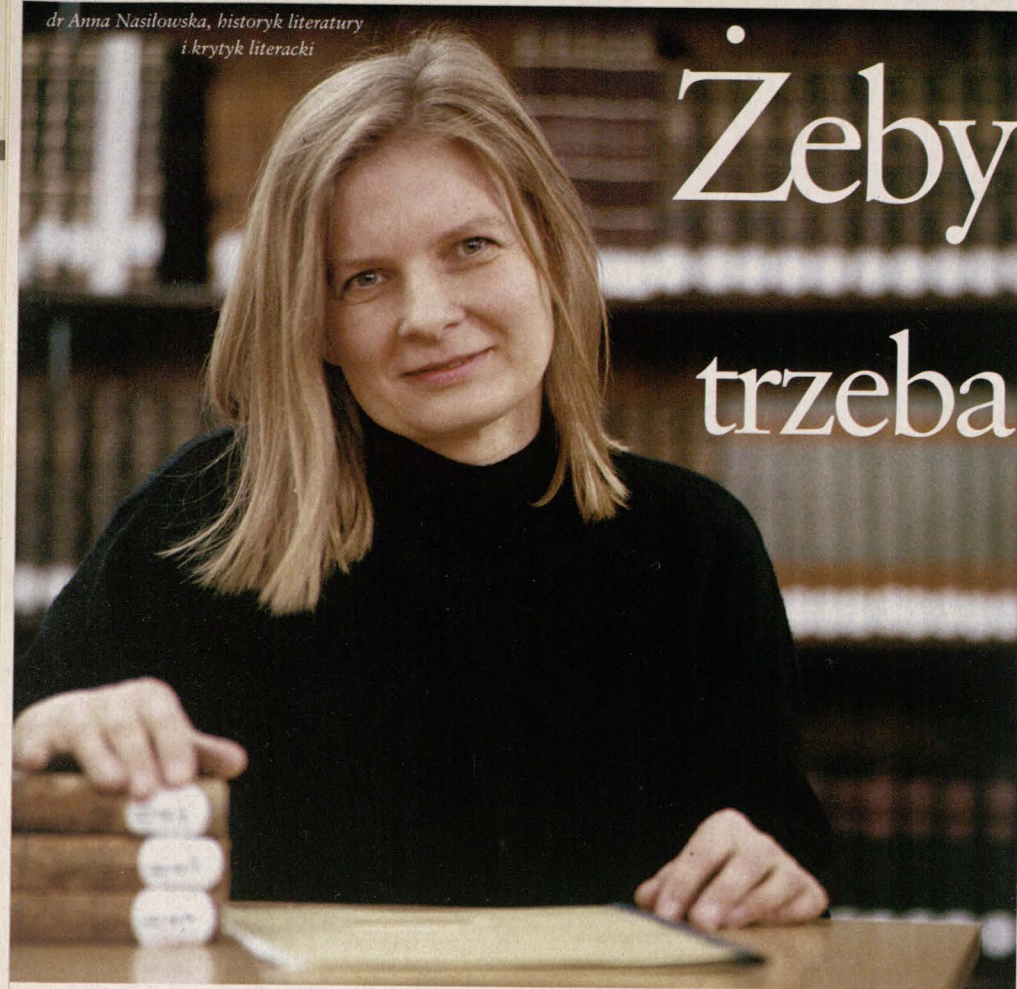
NUMER 7/2904
18 LUTEGO 2001 r.
Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



TOPOR
i kolekcja jego leków



Indeks 371424 • Y-9013-C



Zeby napisać jedno zdanie, trzeba przeczytać ich tysiące.

Tak powstają syntezy literackie.

Nazywam się Anna Nasilowska.
Z moich podręczników młodzi ludzie poznają literaturę XX wieku.
Jestem jednym z 3000 autorów WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.



WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN to dzieło na miarę XXI wieku.

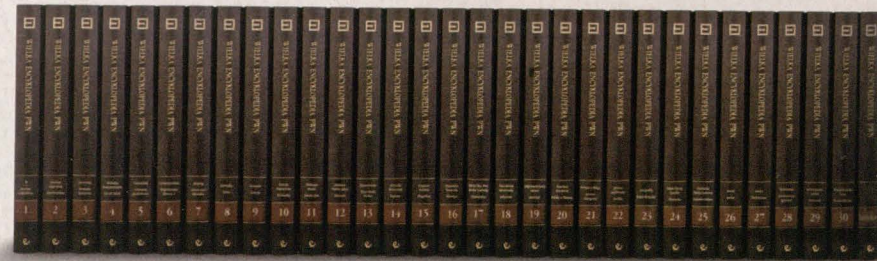
Trzy tysiące specjalistów, reprezentujących wszystkie dziedziny wiedzy, czuwa nad redakcją największej polskiej encyklopedii uniwersalnej.

Owoce tej pracy będzie 30 tomów, zawierających łącznie 140 tysięcy haseł i 15 tysięcy ilustracji, 700 map i wiele tabel.

A wszystko to na przeszło 17 tysięcy stron.

WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN

to kompletny obraz współczesnego świata i Polski, życia na Ziemi, dziejów cywilizacji i kultury.



WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN



PATRONI MEDIALNI

WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN  Encyklopedia wielka jak świat.

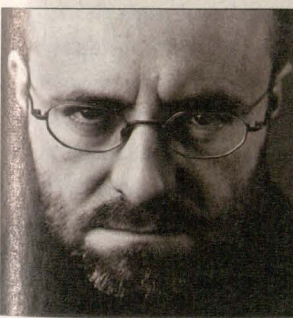
Weź udział w subskrypcji WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.

Szczegóły: ulgowa linia informacyjna 0801 33 33 88 (opłata: 35 gr + 22% VAT za każde rozpoczęte 3 minuty) <http://we.pwn.com.pl>



12 MŁODE WILKI.

Najbardziej mieszczańska młodość świata. Sieją postrach wśród pracowników starszych od siebie. Są bezwzględni, zimni i wyrachowani. Przed trzydziestką robią kariery, o jakich ich rodzicom się nie śniło – IZABELLA BODNAR.



16 PSEUDONIM TO JA.

Bywam na premierach swoich przedstawień. Słyszę pociągnięcia nosem, chlipnięcia i przerażającą ciszę. Mój teatr jest teatrem kontaktu emocjonalnego aktora z widzem. Teatrem do oglądania z bliska, w którym istotne, jak się zwięzają źrenice w oku aktora, jak wyszcząją się z niego uczucia, pochodne literatury, na podstawie której buduje swoją pamięć – z INGMAREM VILLQISTEM rozmawia KAZIMIERZ TARGOSZ.

42 ONA I ON.

Płcie mamy tylko dwie i to zazwyczaj jedną dla każdego, ale radości z tej drobnej różnicy wynika co niemiara. W okolicach 14 lutego cieszy się telekomunikacja i poczta. Ogarnia nas szal walentynkowych kartek, wysyłanych przez zakochanych i już kochających – zdjęcia ANDRZEJ KRAMARZ, tekst MARCIN BARAN.



PRZEKRÓJ WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o. ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3 lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533, e-mail: prze_red@przekroj.pl; TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33, 422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37. Fax: (012) 421-49-29, 422-70-61.
ZAŁOŻYŁ w Krakowie Marian Eile. REDAKTOR-SENIOR: Ludwik Jerzy Kern. PREZES ZARZĄDU I DYREKTOR WYDAWNICTWA: Leopold Stefański. REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus. Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont. SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko, Józef Lubiński, Andrzej Ruchalowski. KIEROWNICY DZIAŁÓW: Aktualności – Jerzy Piekarczyk, Kultura – Marcin Baran, Ludzie i obyczaje – Wojciech Czuchnowski, Nauka i zdrowie – Janusz Marjan, Rozmaitości – Marcin Fedisz, Publicysta – Leszek Mazan. KIEROWNIK ARTYSTYCZNY – Bożena Kalinowska. FOTOEDYTOR: Marcin Kędryna. PRACOWNIA GRAFICZNO-KOMPUTEROWA: Joanna Sroka (kierownik), Piotr Gidlewski. KOREKTA: Barbara Wojtanowicz (kierownik). PRODUKCJA – Andrzej Laurisz. WYDAWNICTWO: gl. księgową – Halina Zięba, kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik). DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik), Władaw Kaczmarczyk („Złoty Grosz”). DZIAŁ REKLAMY: Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A, tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62, Halina Sułkowska. Biuro w Krakowie: (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz. NASZE KONTO: Bank Pekao SA – Grupa Pekao SA O/Kraków nr 12401431-7010439-2700-401112-001. DRUK: Donnelley Polish American Printing Company DPA Kraków. PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja; zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33. Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-40060347-2700-401112-001, tel. +48(22) 5328-731, fax +48(22) 5328-732 oraz redakcja (wpłata na podane wyżej konto bankowe). Artykułów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Łoża – dzisiaj	OLBRYCHSKI	4
Tygodnik		5
Przekrój tygodnia		6
Temat w „Przekroju”		12
Cesarzowa w salonie masażu – list do ministra Kaczyńskiego		15
Sen o Macierzy		
Z Niemiec do Polski wracają Ślązacy, którzy wyemigrowali tam w latach osiemdziesiątych		21
Roland pan		
Topor nic sobie nie robił z salonów, lakierków i fraków – JAN GONDOWICZ		24
Przekrój kulturalny		
Dr GRANAT, SALMAN RUSHDIE		30
Informator kulturalny		38
Galeria		42
Kliknę ci wiersz		
Na dyskietce nikt nie znajdzie śladów męki twórczej pisarza Mieszanka firmowa		40 50
Towarzystwo opieki nad Rambo		
Współcześni zabijacy filmowi są jak bohaterowie z eposów Rozmowy przy obrazach		52 56
Pięknie mu z wąsami		
Wąsy nosi co siódmy Polak		58
Formy		60
Dziennik duszy ADAMA WIEDEMANN		65
Maria gorszycielka		66
Co Pan na to, Panie LEM		69
Nauka		70
Kuchnia		72
Sport		73
Bikont grzebie w starych numerach		74
Instrukcja obsługi telewizora		76
Kwestionariusz Prusa		
Odpowiada MAGDA UMER		77
Listy		78
Krzyżówka		80
Szatnia – dzisiaj PAWLAK		82
Rozmaitości		84

SERIALE

— odcinek drugi i ostatni

W „Łoży” („P” 2895) dałem wyraz mojej niemal bezkrytycznej sympatii do polskich seriali. Znam proporcjum, Mocium Panie, więc dziś się trochę popastwię. Bo nie wszystko jest cacy, cacy i sielsko-anielsko. I nie każdy, oparty nawet na dobrym scenariuszu, serial jest udany. Potwierdza to tylko, że jest to dyscyplina trudna, i tym głębszy chapeau tym, którym się naprawdę powiodło.

Tego rodzaju produkcje wykształciły nową, ciekawą grupę tak zwanych „producentów zewnętrznych”. Wzięli się za to prężni i zorganizowani prywatni producenci. Telewizja dostaje pilotażowy odcinek. Gdy się jej podoba – zamawia resztę. Płaci za gotowy produkt. Gdy oglądalność jest słaba – na kilku odcinkach się kończy. Te seriale, które omawiałem poprzednio, słusznie się utrzymują do dziś. A „Klan” bije rekordy!

Powstała spora liczba firm, tzw. maison de la production – domów produkcji, które działają, jak każdy umie. Niewątpliwie najpoważniejszy, najbardziej profesjonalny to „Heritage Film” Lwa Rywina. Jego siła bierze się z klasy, profesjonalizmu i osobowości Patrona. Niestety, rzadko tak bywa.

Odnoszę wrażenie, że większości naszych producentów po prostu poprzewraczało się we łbach. Mam skalę porównawczą, bo pracowałem w filmach telewizyjnych we Francji, w Niemczech, we Włoszech... Bywa, że u nas to haniebny wyzysk (w produkcjach filmów i teatrów TV również) aktorów i całej ekipy. Zamiast regulaminowych 10 godzin pracy, w tym prawa do przerwy na ciepły posiłek, pracuje się 14, 16, 18, a znam przypadek, że aż 26 godzin non stop. Jest to przestępstwo, za które w Europie producent przestaje być producentem z dnia na dzień. Tam nie przychodzi nikomu do głowy przekroczyć regulaminowy czas pracy nawet o 30 minut.

U nas nigdy nie wynagradza się aktorom dodatkowych godzin, z których robią się dodatkowe dni, zresztą sami zainteresowani o swoich prawach zdają się nie mieć pojęcia. A producent udaje, że nie ma pojęcia, że śmiertelnie zmęczony aktor, to zły aktor, a zły aktor, to zły film.

Producenci polscy tłumaczą się niższymi niż gdzie indziej budżetami. Nieprawda, budżety są już porównywalne. Tylko oni bogacą się dużo szybciej niż ich koledzy na Zachodzie. Za tzw. psie mięso zaczynają wynajmować reżyserów. Reżyser przestał mieć cokolwiek do powiedzenia w sprawie obsady. Dwa razy byłem już prawie gotów zagrać główną rolę w serialu. Na szczęście do tego nie doszło. Wajda, Zanussi, wreszcie mój impresario uważają, że nie powinienem się pokazywać co tydzień, a może i częściej, w najlepszym nawet serialu. I może mają rację. Ale raz już się cieszyłem.

Przeczytałem jednym tchem scenariusz 12 odcinków filmu „Policjanci” Andrzeja Gołdy. Tak, tak, ten serial, który był już emitowany, bez kontynuacji i bez echa. Z rezultatów ekranowych tego nie widać, ale słowo honoru, był to najlepiej napisany kryminał filmowy, jaki czytałem w życiu, a czytałem ich w różnych językach sporo. Ale został dokumentnie i, jak mawia mój przyjaciel z Drohiczyzna, komisyjnie spieprzony.

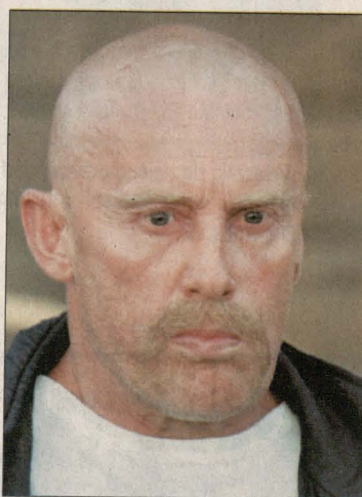
Ci, co mieli cierpliwość obejrzeć serial do końca, zauważyli, że w nim nie wystąpiłem. I wcale nie uważam, że dlatego był on klęską. A nie wystąpiłem z dwóch powodów, pryncypialnych i zawodowych. Producenci, w osobach przedstawiciela Polsatu i firmy Filmkontrakt, postawili mi ultimatum: będzie pan grał, o ile oczywiście zaakceptuje pan w rolach drugoplanowych panią „Misie” i panią „Pisie”. Proszę sobie wyobrazić, że mówi to producent „Monte Christo” do Depardieu, albo producent „Sekretu Sahary” do Michaela Yorka czy do mnie.

Czasami lubię filmy kategorii „B”, a nawet „C” – gdy są zabawne, ale profesjonalne. I nie miałem nic przeciwko obu paniom, poza ich średnimi kwalifikacjami zawodowymi. Ale takie ultimatum już zapowiadało film kategorii „D”. Tak, tak, wszelkie sprośne skojarzenia z tą literą dozwolone.

Potem była jeszcze kolacyjka robocza. Nie mogłem w niej uczestniczyć. Poszła moja impresario. Już wtedy powinienem był zareagować gwałtownie. Producent z Polsatu spóźnił się o dwie godziny – prowincjonalny charakter w ten sposób demonstruje swoją ważność. Ale z relacji Krysi zrozumiałem, że reżyser już wtedy zaanonsował klęskę przedsięwzięcia. Sam pewnie jeszcze tego nie przewidywał. Oznajmił mianowicie, co powtórzył potem publicznie w telewizji, że nieważne, czy

jest to komedia, dramat czy też kryminał, ważna jest rozpoznawalność jego – Wyleźniaka – charakteru pisma, filmowego oczywiście. Czegoś takiego nie ogłosił nigdy ani Bergman, ani Fellini, ani Wajda. Zawsze mówią, że chcą opowiedzieć ciekawą historię. Nie zagrałem więc, i słusznie. Skończyło się bez skandalu. A tak pewnie już przy drugim odcinku dałbym komuś w zęby. Hej – a może szkoda?

DANIEL OLBRYCHSKI



FOT. WOLCIECH RZĄDZIŃSKI

Postawili mi ultimatum: będzie pan grał, jeżeli zaakceptuje pan w rolach drugoplanowych panią „Misie” i panią „Pisie”.

ŚRODA 14 LUTEGO 2001

Liliany, Lili, Walentego
Wschód słońca: 6.54. Zachód: 16.47.

● Dzień Zakochanych. Jest dobrem importowanym, ale figlarna kartka, miłe słowo czy ciepły uśmiech jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

CZWARTEK 15.02.2001

Jowity, Faustyna, Saturnina
Wschód słońca: 6.52. Zachód: 16.49.

● Przed 10 laty w Wyszehradzie prezydenci Havel, Wałęsa i Goencz zapoczątkowali współpracę trójstronną. Hasło spragnionego ludu: „Havel na Wawel” – pojawiło się później.

PIĄTEK 16.02.2001

Danuty, Julianny, Daniela
Wschód słońca: 6.50. Zachód: 16.51.

● Pora na rozpoczęcie kuracji miodowej. Łyzka miodu, najlepiej spadziowego, stosowana o poranku i wieczorem, chroni przed grypą, usuwa zmęczenie, poprawia nastrój.

SOBOTA 17.02.2001

Aleksego, Juliana, Łukasza
Wschód słońca: 6.48. Zachód: 16.53.

● Przed 80 laty, kiedy nie było jeszcze Bogusława Lindy, w filmie „Więzień Zandy” zadebiutował Ramon Novarro. Obok Rudolfa Valentino najprzystojniejszy aktor kina niemeego.

NIEDZIELA 18.02.2001

Albertyny, Konstancji, Symeona
Wschód słońca: 6.46. Zachód: 16.55.

● Śpijmy dziś spokojnie. Amerykańscy astronomowie obliczyli, że życie na Ziemi potrwa jeszcze co najmniej 5 miliardów lat. Do czasu wygaśnięcia Słońca.

PONIEDZIAŁEK 19.02.2001

Arnolda, Konrada, Piotra
Wschód słońca: 6.44. Zachód: 16.57.

● Tydzień Pełnego Uśmiechu. Z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego. Tygodniu, trwaj wiecznie!

● Przed 588 laty urodził się w Toruniu Mikołaj Kopernik, odpowiedzialny za rozruszanie Ziemi.

WTOREK 20.02.2001

Leontyny, Leona, Ludomiła
Wschód słońca: 6.41. Zachód: 16.55.

● Nie tylko człowiek radziecki może. Po 4 godzinach 56 minutach i 26 sekundach lotu na pokładzie statku kosmicznego „Mercury” w 1962 r. wylądował na Atlantyku John H. Glenn, pierwszy amerykański astronauta.

DOBRE SŁOWO

„Owoce dojrzewają w słońcu, ludzie zaś w świetle miłości”
– Julius Langbehm

ŚRODA 14.02.2001

Wirtuoz eleganckich jazzowych brzmień w Filharmonii Narodowej. Znakomity pianista Chick Corea wystąpi z recitalem solowym. Artystę znamy z dokonań w zespołach Stana Getza, Milesa Davisa, wspólnych nagrań z gwiazdami muzyki klasycznej, bo przecież studiował muzykę klasyczną w Nowym Jorku. W 1972 r. ze Stanleyem Clarkiem założył zespół Return To Forever. Grał muzykę elektroniczną, ale nie gardził także powrotami do brzmień akustycznych. W Polsce występował już wielokrotnie, m.in. z własnymi formacjami, w duecie z wibrafonistą Gary Burtonem, a ostatnio – w maju 1997 r. – solo.



FOT. AGENCJA GAZETA

PIĄTEK 16.02.2001 Na koncercie inauguracyjnym VII Forum Lutosławskiego w Filharmonii Narodowej w Warszawie obok „Concerto Festivo” Andrzeja Panufnika usłyszymy m.in. najnowszą kompozycję Henryka Mikołaja Góreckiego „Salve Sidus Polonorum – Kantata o św. Wojciechu”, a także „Trzy małe liturgie o obecności Bożej” Messiaena. 24.02.2001 finał – koncert fortepianowy Witolda Lutosławskiego.

POGODA na cały tydzień

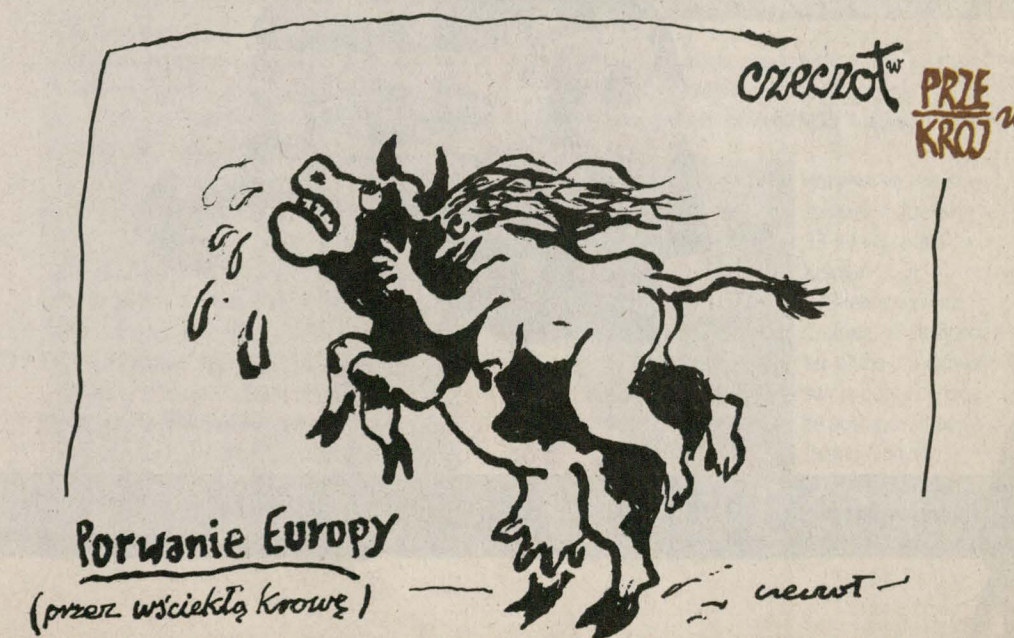


FOT. TVN

Urlop zimowy w moim przypadku to już historia. I wydaje się, że tegoroczna zima również należy do czasu przeszłego. W Szczyrku czasu nie tracim i parę „herbatek” wspólnie z gospodarzami poświęciliśmy pogodzie. Beskidzcy górale twierdzą, że zimy w tym sezonie nie zaznamy. Co wcale nie oznacza rychłej wiosny. Ta ma się zjawić w pełnej okazałości w połowie kwietnia. Do tego czasu aura będzie niezdecydowana. Lato, niestety, z przewagą pogody pochmurnej i niezbyt ciepłej, za to jesień będziemy mile wspominać.

Odwiliż na razie w Polsce pozostanie. Zarówno w dzień jak i w nocy temperatura powyżej średniej lutowej (maksymalnie do +9, minimalnie do -3 st. C). Dużych opadów nie należy się spodziewać. Śnieg wysoko w górach na szczęście pozostanie. Uwaga meteoropaci! Ciśnienie zmienne. TOMASZ ZUBILEWICZ (TVN)

IMIĘ TYGODNIA: KONRAD – z niemieckiego: dzielny, śmiały w radzie. Imię wielu cesarzy, ale i książąt z rodu Piastów. Zapomniane przez kilka wieków, ostatnimi czasy coraz częściej nadawane męskim potomkom.





Wyścigi skuterów śnieżnych w Wastfield, USA.

FOT. PAPYAR, PAP, PAPYERA (2)

AKTOR KRÓTKICH RÓL

Wiceprzewodniczący Unii Wolności Tadeusz Syryjczyk zastanawia się, jak długo Andrzej Olechowski wytrwa w nowej roli, gdyż „za przedsięwzięcia, w które się angażował (BBWR i Ruch Stu), nigdy dotąd nie brał odpowiedzialności dłużej niż kilka miesięcy”. Na Platformę Obywatelską przesiadło się ok. 10 proc. członków Unii Wolności.

ZDOBYWCZYM KROKIEM

SLD zapowiada kurację odchudzającą rządu i administracji państwowej oraz rozważy sens istnienia Senatu. Akcja ma się jednak udać tylko wtedy, gdy Sojusz z Unią Pracy zdobędzie większość parlamentarną. W koalicji SLD z PSL nastroje sanacyjne były bardziej wyciszone.

NAM EKSPORTOWAĆ ZAKAZANO

Około 1300 pracowników Daewoo-FSO straci pracę w wyniku spadku sprzedaży samochodów i bankructwa centrali w Korei. Decyzje o eksporcie zapadają w Seulu i do Europy Zachodniej trafiają samochody produkowane nie w Polsce, lecz w Korei.

SLOBO DO HAGI!

Stany Zjednoczone dały Serbom czas do końca marca na współpracę z Trybunałem Haskim, który ma się zająć zbrodniami wojennymi byłego prezydenta Jugosławii Slobodana Miloszevicia. Jeżeli nie przestawią się na sposób myślenia Amerykanów, nie będą mogli liczyć na pomoc gospodarczą.

REFORMA W OBOZIE

Chiny zapowiadają reformę reedukacyjnych obozów pracy. „Wychowanie przez pracę” trwało do trzech lat, a do obozu mógł trafić każdy, kto zdaniem specjalnej komisji złamał prawo. Dotąd uważano pobyt w nich za karę administracyjną, nie podlegającą jurysdykcji sądowej.

JANKESKI BUT

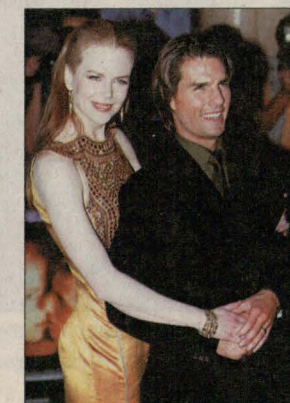
Fidel Castro w swoim sześciogodzinnym przemówieniu znalazł chwilę na oskarżenie Argentyny o „lizanie jankeskiego buta”. Wcześniej Argentyna poparła Stany Zjednoczone, które kolejny raz potępiły kubański reżim za gwałcenie prawa człowieka.



Mieszkaniec Bytowa w woj. pomorskim natrafił podczas remontu domu na 138 prywatnych zdjęć Adolfa Hitlera. Teraz nie może się opędzić od dziennikarzy i kolekcjonerów zainteresowanych znaleziskiem.



„Polska nie może uzależniać poprawy stosunków z Rosją od tego, czy przeprosi ona za zbrodnie stalinowskie, czy nie” – mówił w Moskwie szef polskiego MSZ, Władysław Bartoszewski.



Rozpadł się popisowy związek małżeński 33-letniej Nicole Kidman i 38-letniego Toma Cruise'a. W Hollywood tak długo intrygowali swoją odmiennością, że postanowili pójść śladami innych gwiazd i odpocząć od siebie.





Zamiast proponowanej przez rząd restrukturyzacji, pracownicy Daewoo Motor Co. domagają się aresztowania założyciela i byłego prezesa upadłej firmy, oskarżanego o udział w grubszej aferze finansowej.



Palestyńczycy, których do propozycji pokojowych nie potrafił przekonać Ehud Barak, będą mieć teraz za przeciwnika najbardziej wojowniczego wśród izraelskich polityków – premiera Ariela Szarona.

ZAPOMNIANE KONTA

Szwajcarskie banki opublikowały trzecią listę rachunków bankowych, o które po zakończeniu wojny nikt się nie upomniał. Konta, w większości puste, należały do prawie 21 tys. osób i dwustu firm.

POŻEGNANIE Z EUROPA

Pożegnanie festiwalu Kraków 2000 odbyło się w atmosferze wypełnionej komplementami. Nie mieli racji malkontenci, którzy twierdzili, że po Krakowie 2000 – Europejskim Mieście Kultury, nic konkretnego nie zostanie. Okazało się, że zostało Biuro Festiwalowe.

NACIĘTY MILIONER

Spór między jednym z kandydatów na milionera a emitującą teleturcję TVN może skończyć się w sądzie. Na kłopotliwe pytanie „Ile nacięć ma kajzerka?” – pięć czy cztery – odpowiedzą teraz autorytety naukowe.

PIESKI ŚWIAT

Powiatowy lekarz weterynarii w Obornikach osobiście uspił 60 psów i kotów ze wsi Sierniki, nie sprawdzając, czy są szczepione, czy nie. Podejrzewał, że mogły mieć kontakt ze wściekłym jenotem. Wszystkiemu przyglądały się dzieci, akurat na ferias. Poprzednia akcja eksterminacyjna odbyła się w czasie okupacji. Wtedy wszystkie psy w Siernikach wybili Niemcy.

W CIENIU ŚWIATOWIDA

Popularny Harry Potter szerzy wzorce pogańskie oraz zwodzi dzieci i młodzież wiarą, że światem rządzą siły nadprzyrodzone. Tak przynajmniej twierdzi proboszcz jednej z wrocławskich parafii, umacniając przekonania niedowiarków, którym cuda od początku wydawały się podejrzane.



MYSŁ TYGODNIA

W naszej armii nie tylko trąby, bębny i kotły są kompatybilne z NATO.

Bronisław Komorowski – minister obrony narodowej



Demonstracja w Kijowie przeciwko Leonidowi Kuczmię zgromadziła ponad 10 tys. przeciwników ukraińskiego prezydenta, który atakowany jest z lewa i z prawa.



Muammar Kadafi oświadczył na konferencji prasowej, że nie widzi powodu, dla którego Libia miałaby się przyznać do odpowiedzialności za eksplozję samolotu PanAm nad Lockerbie.



Pierwsza od pół wieku prawie stuosobowa grupa obywateli chińskich przybyła na Tajwan legalnie. Jeszcze niedawno graniczyło to niemal z cudem.



Niemieccy żołnierze KFOR w Kosowskiej Mitrovicy. Po kilku dniach starć etnicznych zapanował spokój. Nie wiadomo jak długo potrwa. Na razie na uspokojenie nastrojów między Serbami i Albańczykami ma wpływ surowa zima. Kiedy się ociepli, narodowe waśnie i awantury mogą się zacząć na nowo.



Gratulacje z okazji przyjęcia budżetu. Gdyby nie doszło do porozumienia Unii Wolności z AWS, trzeba by wybory rozpiścić w trybie przyspieszonym.



Nowy park tematyczny utworzono na Florydzie. Tym razem ma przybliżyć zwiedzającym Ziemię Świętą w czasach Jezusa.

FOT. PAP/AP (3), PAP/PA (3), AP/AG, ADAM JAGIELANISE, PAP

PRETENDENCI SELEKCYJNERZY



Laury „Przekroju” dla najlepszych firm w Polsce

FINALIŚCI ZŁOTEGO GROSZA 2000

Nominacje Business Centre Club

1. BIAWAR Sp. z o.o., Białystok
2. COMMERCIAL UNION POLSKA – Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie SA, Warszawa
3. GERLACH SA, Drzewica
4. HUTA OŁAWA SA
5. Huta Szkła Gospodarczego IRENA SA, Inowrocław
6. JABO MARMI Zakład Obróbki Marmuru, Dębica
7. KRONOPOL Sp. z o.o., Żary
8. PETROPROFIT Sp. z o.o., Niemce k. Lublina
9. Przedsiębiorstwo PRIMA SA, Poznań
10. Przedsiębiorstwo Spedycyjne TRADE TRANS Sp. z o.o., Warszawa
11. RENAULT – KILJAŃCZYK Sp. z o.o., Warszawa
12. SANDVIK BAILDONIT SA, Katowice
13. Spedycja Polska SPEDPOL Sp. z o.o., Warszawa
14. UNION-VIS Sp. z o.o., Bielsko-Biała
15. WOJSKOWE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE, Warszawa

Nominacje Polskiej Rady Biznesu

16. Biuro Podróży TRIP s.c., Zakopane
17. Centrum Leasingu i Finansów CLIF SA, Warszawa
18. DONNELLEY Polish-American Printing Company sp. z o.o., Kraków
19. ERA GSM, Polska Telefonii Cyfrowa Sp. z o.o., Warszawa
20. EUROPEJSKI FUNDUSZ LEASINGOWY SA, Wrocław
21. Fabryki Mebli FORTE SA, Ostrów Mazowiecka
22. FIRMA OPONIARSKA DĘBICA SA
23. FORTIS BANK POLSKA SA, Warszawa
24. KGHM POLSKA MIEDŹ SA, Lubin
25. LABORATORIUM KOLASTYNA ZPCHR, Łódź
26. Laboratorium Kosmetyczne DR IRENA ERIS SA, Piaseczno
27. POŻEGNANIE Z AFRYKĄ, Kraków
28. RETTIG HEATING Polsko-Fińska Sp. z o.o., Rybnik
29. SONDA SA, Zduńska Wola
30. STOCZNIA GDYNIA SA

Nominacje Łoży Laureatów

31. CITIBANK POLAND SA, Warszawa
32. KOLPORTER SA, Kielce
33. KOMPANIA PIWOWARSKA SA, Poznań
34. LESZCZYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE SA, Leszno
35. MEDIA MARKT Sp. z o.o., Warszawa
36. Prywatne Przedsiębiorstwo Handlowo-Usługowe MARS, Gorzów Wielkopolski
37. Przedsiębiorstwo Wielobranżowe KOMOZIA s.c., Częstochowa
38. RZĘSZOWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT INŻYNIERYJNYCH SA
39. SKODA AUTO POLSKA SA, Poznań
40. TECHMEX SA, Bielsko-Biała
41. WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA, Poznań
42. WILGA Sp. z o.o., Częstochowa
43. WIRTUALNA POLSKA SA, Gdańsk
44. ZAKŁADY METALI LEKKICH KĘTY SA
45. Zakłady Mięsne ALEKSANDRIA, Konopiska



Komu ZŁOTY GROSZ, dla kogo „Złoty Jen” i „Srebrna Złotówka”, komu miejsca w „Złotej Piętnastce” najlepszych firm w Polsce za rok 2000? Tego nie wie jeszcze nikt, a ostateczne wyniki obliczają teraz ludzie i komputery w Centrum Ekspertyz Gospodarczych FAE w Poznaniu. Do niezmiennych tradycji konkursu należy także zasada, że o kolejności zdobytych miejsc laureaci dowiadują się dopiero podczas ceremonii wręczania nagród, w sali „Hołdu pruskiego” w Sukiennicach.

Pięć lat temu, na dwie godziny przed finałem, prezes wielkiej, nominowanej do finału firmy odciągnął na bok kanclerza ZŁOTEGO GROSZA i zapytał: *Niech mi pan zdradzi, kto wygrał? Pan wie, że ja tego nikomu nie puszczać, ale sam nie mogę opanować już emocji. – Pan raczy żartować, panie prezesie – usłyszał w odpowiedzi – ja tego nie mówię nawet jurorom!*

Replikę kanclerza prezes uznał za bardzo kiepski dowcip, ale kiedy po dwóch godzinach odebrał ZŁOTEGO GROSZA, oświadczył przed całym audytorium, że emocje związane z oczekiwaniem na wyniki to przeżycie, jakiego jeszcze nie zaznał, choć on i jego firma zdobyli już praktycznie wszystkie liczące się nagrody.

Pośród licznych rankingów i konkursów ZŁOTY GROSZ wyróżnia się wieloma jeszcze, szczególnymi atrybutami. „Przekrojowych” laureatów nie można kupić, pretendujące firmy nie wnoszą żadnych opłat, a pomysłodawca i organizator konkursu, czyli redakcja „P”, nie ma najmniejszego wpływu na finałowe nominacje i ostateczne wyniki. Kandydować do nagród mogą wyłącznie firmy wyselekcjonowane

przez dwie wielkie organizacje – Business Centre Club i Polską Radę Biznesu, oraz przez Łożę Laureatów (dotychczasowych zdobywców ZŁOTEGO GROSZA). Trzy wymienione organizacje wybierają, wedle własnych, suwerennych kryteriów, po 15 najlepszych firm roku w Polsce i zgłaszają je jako kandydatów do ZŁOTEGO GROSZA. Wyznaczonych tym sposobem 45 finalistów trafia do naszego stałego partnera – Centrum Ekspertyz Gospodarczych Fundacji Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Naukowcy tego renomowanego ośrodka opracowali specjalną dla ZŁOTEGO GROSZA metodologię, umożliwiającą porównywanie wyników firm różniących się wielkością i przedmiotem działalności.

Przed tygodniem opisaliśmy szczegółowo, w jaki sposób ludzie i komputery w poznańskim Centrum obliczają ostateczne wyniki konkursu. Dzisiaj prezentujemy wszystkich finalistów i selekcjonerów – 45 firm kandydujących i tych, którzy zdecydowali, że te właśnie firmy, za wyniki swojej pracy w roku 2000, godne są najwyższych laurów i wyróżnień.

BUSINESS CENTRE CLUB

Pierwszy partner, selekcjoner i współorganizator ZŁOTEGO GROSZA. BCC powstał przed dziesięć laty z misją tworzenia warunków sprzyjających rozwojowi przedsiębiorczości oraz budowania w Polsce konkurencyjnej i otwartej na świat gospodarki rynkowej. Klub uznaje, że jest to najlepsza droga nie tylko do zamożności państwa i obywateli, ale i warunek narodowego bezpieczeństwa.

Działalności BCC, największej obecnie organizacji indywidualnych przedsiębiorców w Polsce (2000 członków, 1200 firm, milion zatrudnionych), nadal przyświeca ten sam cel. Realizuje go m.in. poprzez aktywny udział w tworzeniu nowych regulacji prawnych, budowaniu instytucji finansowych, organizowaniu rynku kapitałowego, prywatyzacji oraz edukacji ekonomicznej społeczeństwa.

Prezesem-założycielem BCC jest Marek GOLISZEWSKI. Członek wielu znaczących, opiniotwórczych organizacji ekonomicznych i intelektualnych. Absolwent SGPiS (handel) i UW (dziennikarstwo). Były redaktor naczelny „Konfrontacji”, laureat (ex aequo ze Stefanem Kisielewskim) I nagrody im. A. Bocheńskiego. Tę prestiżową nagrodę otrzymał w 1988 r., w którym był również jednym z inicjatorów rozmów opozycji z rządem.



...Z idei, które przyświecają działalności BCC, wynikają kryteria wyboru kandydatów do klubowej nagrody Lider Polskiego Biznesu, a także nominacji finalistów ZŁOTEGO GROSZA, w którym uczestniczymy od początku. Jest to jedyny konkurs, poza naszym klubowym, w którym bierze udział BCC.

(Marek Goliszewski)

Rok temu, pod „Hołdem pruskim”, prezes BCC (po prawej) wręcza dyplomy laureatom.

POLSKA RADA BIZNESU

Drugi selekcjoner i współorganizator ZŁOTEGO GROSZA. Stowarzyszenie przedsiębiorców reprezentujących firmy o najpoważniejszym w kraju kapitale i pozycji ekonomicznej, którzy utożsamiają szanse rozwoju Polski z umocnieniem gospodarki rynkowej i swobodą działalności gospodarczej. PRB pragnie, by o powodzeniu obecnego i przyszłych pokoleń Polaków zadecydowało powiązanie sprawdzonych w świecie mechanizmów racjonalnej gospodarki z zasadami uczciwego biznesu, który kieruje się zarówno interesami firmy, jak i dobrem ogółu.

PRB to stowarzyszenie elitarne, znaczące nie liczbą członków (zrzesza ich obecnie 62), lecz ich autorytetem, aktywnością w życiu publicznym, a także potencjałem finansowym i rangą gospodarczą ich przedsiębiorstw.

Prezesem PRB jest Zbigniew NIEMCZYCKI. Absolwent Politechniki Warszawskiej. Właściciel zarządzający wielobranżową Curtis Group. Członek Amerykańskiej Izby Handlowej w Polsce, Polsko-Amerykańskiej Komisji Fullbrighta, Rady Integracji Europejskiej przy premierze RP, Rady Rektorskiej UW. Prezes-założyciel Fundacji „Polskie Orły”. Lider Polskiego Biznesu 1992 i laureat „Oskara Serca”.



...Zdobycie pozycji na liście laureatów konkursu ZŁOTEGO GROSZA, a nawet sam udział w jego finale, to dla polskiej firmy wyróżnienie o bardzo wysokiej randze. Wybierając przedsiębiorstwa zasługujące na takie wyróżnienie, PRB kieruje się więc także dodatkowymi wymogami, wykraczającymi poza kryteria wskazane przez organizatorów konkursu.

(Zbigniew Niemczycki)

W tej samej sali i w tej samej roli – prezes PRB

ŁOŻA LAUREATÓW

- 1993 BROWARY ŻYWIEC SA (Alle Ypma)
- 1994 BANK BPH SA (Joseph Wancer)
- 1995 EXBUD SA (Leszek Walczyk)
- 1996 BROWAR OKOCIM SA (Marcin Piróg)
- 1997 AMICA WRONKI SA (Wojciech Kaszyński)
- 1998 YAWAL SYSTEM SA (Edmund Mzyk)
- 1999 WRIGLEY POLAND Sp. z o.o. (Miroslaw Kisyk)

Dotychczasowi zdobywcy ZŁOTEGO GROSZA. Trzeci selekcjoner, konkursowy organ statutowy, wyposażony nie tylko w honorowe atrybuty. Do ZŁOTEGO GROSZA pretendować można wielokrotnie, ale zdobyć go wolno tylko jeden raz. Jego właściciel zostaje automatycznie członkiem Łoży Laureatów, która – podobnie jak BCC i PRB ma prawo nominacji swojej piętnastki finalistów ZŁOTEGO GROSZA. A prezesi firm, które same musiały przejść przez „ucho igielne” wielostopniowej selekcji i zdobyły laur najwyższy, wiedzą najlepiej, jakie kryteria spełniać musi przedsiębiorstwo pretendujące do nagród tego konkursu.



Członkowie Łoży podczas ceremonii finałowej ZŁOTEGO GROSZA '99

Pokaż mi swoich laureatów, a powiem ci, jaki robisz konkurs. Dotychczasowych właścicieli naszego GROSZA pokazujemy z dumą nie tylko w zgodzie z parafrazą tego starego porzekadła. Prestiż i pozycja tych firm, w kraju i za granicą, to także najlepsze potwierdzenie obiektywizmu zasad i kryteriów naszego konkursu.

FOT. JAN ZYCH (3)

Młode WILKI

Sięją postrach wśród pracowników starszych od siebie. Są bezwzględni, zimni i wyrachowani. Przed trzydziestką robią kariery, o jakich ich rodzicom się nie śniło.

- Kiedy przyszli do nas - opowiada 48-letnia pracownica jednej z warszawskich firm informatycznych - było to jak wejście smoka.

- Szefami działów zostali nagle rówieśnicy mojej córki. Z kolegami przeżyliśmy szok, bo odtąd dla dyrektora liczą się tylko „młode wilki”. Upokarza więc nas, starszych, na różne sposoby. Na przykład na jeden kilkudniowy wyjazd w delegację wyznacza dwie osoby i w ostatniej chwili decyduje, kto pojedzie. Stale przypomina, że młodzi chętnie pracują po 16 godzin, nie pytając o dodatkowe honorarium. Żyjemy w lęku przed utratą pracy.

A młodzi wcale się nie przejmują, gdy ich podwładnymi są ludzie dwa razy od nich starsi. „Dinozaurów” biją na głowę odwagą, dynamiką działania i nowoczesną wiedzą.

Inwazja „młodych wilków”

Prezes jednej z warszawskich firm pół roku temu przyjął do pracy pięciu menedżerów tuż po studiach. Każdemu wręczył kluczyki do luksusowego samochodu służbowego, potem otwarcie powiedział swym dotychczasowym podwładnym:

- Przyjąłem pięciu „młodych wilków”. Ławiej zdobędą klientów niż wy. Są dynamiczni, agresywni i kreatywni. Uczcie się od nich,

bo na wasze miejsce mam dużo zdolniejszą młodzież.

- Młodzi menedżerowie to często hieny - twierdzi 58-letni ekonomista, pracownik banku. - Mają tupet, do własnych błędów się nie przyznają i stale mówią o tym, co im się udało. Agresywni są także w kontaktach międzykoleżeńskich - aby udowodnić wyższość nad nami, nie mówią nawet „dzień dobry”.

Dla Polaków młodego i średniego pokolenia inwazja „młodych wilków” jest nieznośna i niezrozumiała. Ale nie jest to stary jak świat konflikt pokoleń.

Po wysokie stanowiska sięgają - wykształceni jak nigdy dotąd - młodzi ludzie przed trzydziestką. Kiedy w latach 90. Radek Sikorski został wiceministrem obrony narodowej odpowiedzialnym za kontakty Polski z NATO, dziwiło to wielu z nas. W PRL-u o takiej karierze można było marzyć najwcześniej około pięćdziesiątki. Ale po upadku komuny do głosu doszło pokolenie inaczej nastawione do życia. W jego hierarchii prestiżu liczą się tylko, jak w USA, duże pieniądze.

Orły biznesu często drażnią przebojowością i pewnością, z jaką zasiadają w fotelach prezesów i dyrektorów. Ale dzięki m.in. tym właśnie cechom oglądają świat ze szczytu. W wieku 26-35 lat mają zwykle to, czego ich

rodzicom nie udało się zdobyć przez całe mozolne życie: luksusowy dom w najmodniejszej dzielnicy, dwa prywatne samochody najwyższej klasy i co miesiąc gigantyczne dochody. Na korytarzach firm poznać ich po sprężystym kroku, stanowczym spojrzeniu i aromacie wykwintnych perfum. Po zgrabnej sylwetce w świetnie skrojonym garniturze. Wszyscy chcą być „fit”, bo dziś w karierze - oprócz solidnej wiedzy, przedsiębiorczości i znajomości tajników psychologii - liczy się odpowiedni wygląd.

Polowanie na głowy

Oferty pracy najczęściej przyszły do nich same, jeszcze podczas studiów. Polski rynek zaczął się kierować międzynarodowymi zasadami. U nas też działają head hunters, czyli łowcy głów.

Poszukują profesjonalistów najtrudniej dostępnych na rynku, których pracodawcy sami nie potrafią znaleźć. To właśnie do nich - czyli do wyspecjalizowanych agencji doradztwa personalnego - zgłaszają się szefowie międzynarodowych korporacji i dużych przedsiębiorstw. Oferując im wysokie honoraria, żądają znalezienia specjalisty z określonym wykształceniem, kompetencjami, umiejętnościami i rzetelną rekomendacją.

Łowca głów dysponuje dużą wiedzą o rynku pracy. Musi dotrzeć do osoby, jakiej życzy sobie koncern. I musi umieć przewidzieć, czy sprawdzi się ona na strategicznym dla firmy stanowisku. Dlatego łowca ma zwykle dużą bazę danych. Zawiera ona życiorysy młodych ludzi, których nie interesuje zwykła praca, lecz kariera, jej rozwój i możliwość szybkiego nią sterowania. Łowcom swe oferty zgłaszają już przedsiębiorczy i wyróżniający się studenci ostatnich lat studiów, którzy - posiadając odpowiednie predyspozycje, wykształcenie i zdobyte po drodze laury - polują na prestiżowe stanowiska w renomowanych firmach.

Wielu wcześniej postanowili: English first! Bez perfekcyjnej znajomości angielskiego nie ma co marzyć o karierze. Dwujęzyczność jest dziś normą w wielu krajach. Młodych kandydatów na prestiżowe stanowiska nikt nie pyta, iloma językami władają. Często znają dwa zachodnie, bo do kształcenia się jest ich pasją i po ukończeniu uczelni w Polsce chętnie studiują np. zarządzanie na którymś z amerykańskich uniwersytetów albo w London School of

ZAREKOMENDOWAŁ MNIE KOLEGA



W PIERWSZYM DNIU PRACY STARSI PRACOWNICY PRZEDSTAWILI MI MOJE ZADANIA.



Economics. Ci - zwykle już podczas studiów - przeskakując szczebelki drabiny sukcesu, po której tak nieudolnie wspinali się kiedyś ich rodzice - wygrywają konkursy na prestiżowe stanowiska w liczących się firmach. Potem - jako młodzi pracownicy top managementu - potwierdzają tylko swój talent: potrafią mnożyć zyski firmy i w robieniu błyskawicznej kariery są mistrzami.

Wszystkie stopnie wtajemniczenia chcą osiągnąć w pół roku, ale udaje się to tylko prawdziwym orłom biznesu. Niektórym wręcz nie odpowiada rola „menedżera do wynajęcia” i zakładają własne firmy. Najważniejszy jest dobry pomysł w rzadkiej lub szczególnie poszukiwanej dziedzinie. Topowy menedżer to doskonały strateg. Niemal intuicyjnie wyczuwa, jak znaleźć właściwą niszę biznesową, aby jak najszybciej zwiększyć obroty i renomę firmy. I stać się członkiem Business Centre Club w Polsce, do którego należy 43 biznesmenów w wieku 23-35 lat.

W królestwie biznesu

Do królestwa biznesu nie wpuszcza się byle magistra. Łowca głów musi przeanalizować przebieg dotychczasowej kariery kandydata na ważne stanowisko oraz - z talen-

tem psychologa i jasnowidza - przewidzieć, czy potrafi on myśleć w kategoriach celu i finału i czy naprawdę będzie firmie całkowicie oddany.

- Dobrego menedżera-zawodowca często trzeba szukać co najmniej trzy miesiące, a czasem rok lub dwa lata - mówi dr Kazimierz Sedlak, właściciel agencji doradztwa personalnego „Sedlak & Sedlak”. - Ale do dziś nikt nie zdefiniował, czym są predyspozycje menedżerskie. Bo sukces w biznesie nie łączy się z wykształceniem ani z inteligencją. Na liście najbogatszych Polaków polowa nie ma wyższego wykształcenia.

Jedne firmy bankrutują, inne - w tej samej branży - świetnie się rozwijają, bez względu na to, czy branża ta przeżywa regres, czy boom. Te doskonale prosperujące nie szukają menedżerów młodych i gniewnych - wolą fachowców wysokiej klasy o ustabilizowanej pozycji na rynku, bo tylko oni potrafią zachować status quo firmy i optymalizować jej działania. Dla sektora bankowego ideałem jest menedżer o dużej wiedzy, dojrzałości i wysokim poczuciu odpowiedzialności, z umiejętnością analitycznego myślenia. „Młode wilki” to są drapieżcy, których strategią jest intensyfikacja rozwoju przedsiębiorstwa: za wszelką cenę dążą do rozwoju firmy, chcą maksymalizować zyski, kreować nowe

rynki, wprowadzać nowe produkty. I mają bardzo silną osobowość.

- Charyzmatycznych bossów o cechach przywódcy jest niewiele - mówi dr Sedlak. - Coraz częściej szefowie korporacji i wielkich firm szukają „menedżerów zadaniowych”, którzy idą po trupach do celu i osiągają doskonałe wyniki, choć w pracy mają duże problemy z utrzymaniem partnerskich kontaktów, bo na podwładnych wymuszają posłuszeństwo za pomocą dyrektywnego stylu zarządzania. I jeśli tylko się nie mylą, są niemal w takiej samej cenie, co charyzmatyczny boss.

Upadek z wysokiego konia

Jedna niefortunna decyzja kosztuje czasem sternika międzynarodowej firmy utratę fotela.

- Ale młody menedżer - mówi dr Andrzej Mirski, psycholog z UJ - który spadł z wysokiego stanowiska i znów znalazł się w biedzie znanej z czasów studenckich, przeżywa o wiele większy stres niż jego rówieśnik, który dobrobytu nigdy nie zaznał. Człowiek ubogi, stołujący się w tanich barach, z trudem żyje „od pierwszego do pierwszego”, lecz do swej biedy przywykł. Jazda tramwajem go nie upokarza. Bo z biedą się oswoił i uważa ją za część swego losu. Inaczej z biznesmenem, który - poznawszy smak władzy



i bogactwa - wszystko to nagle utracił. Czuje tak wielką gorycz, że ze swą klęską najczęściej nie potrafi się pogodzić.

Podobnie czułby się każdy, kto by wygrał w totolotka milion złotych i po upływie pół roku dowiedział się, że te pieniądze mu skradziono. Łatwo przyszło, łatwo poszło, ale któż by się szybko z taką stratą pogodził?

Dla menedżera utrata fotela to tragiczny cios w jego godność osobistą i w poczucie własnej wartości, w jego siłę i „małe przyzwyczajenia”, jak choćby luksusowy samochód i wykwintne restauracje.

Najlepiej radzi sobie eksmenedżer o osobowości nazywanej przez psychologów „wańka-wstańka”. Bo choć los go doświadcza, szybko mobilizuje siły. Tacy ludzie nigdy się nie załamują. Wiele dramatów mogą przeżyć tylko dlatego, że dla nich trudne problemy zawsze są wyzwaniem. Gdy menedżer o takiej konstrukcji psychicznej traci pozycję oraz związane z nią apanaże i splendory, czuje się tak, jakby nagle znalazł się sam w środku amazońskiej dżungli. Natychmiast chce się sprawdzić i gotów jest do walki - tym razem o przetrwanie.

Choć odporności psychicznej nauczyć się nie da, większość młodych menedżerów stawia przede wszystkim na karierę. Takiej postawie towarzyszy zbyt silne napięcie na co dzień, które - w razie nagłej klęski zawodowej - może być przyczyną życiowej tragedii. Nagły koniec kariery powoduje bowiem długotrwały stres. Wtedy najłatwiej wpaść w alkoholizm lub w ciężką depresję, z której leczyć się trzeba latami.

Tylko stabilna kariera, ze szczebla na szczebel, jest naprawdę zdrowa. Stać się trochę zamożniejszym to przyjemność. Nagłe bogactwo najczęściej oznacza starannie kamuflowane obawy i coraz większy stres. Dokuczają bezsenność, wysokie ciśnienie. I lek - w ruchach menedżera, w jego słowach i stroju nic nie może być przypadkowe. Prześladuje go pytanie: czy w pracy na pewno jestem dość dobry? Nie wspiera go grono kolegów z branży, z którymi powoli wspinał się

na szczyt - takich kumpli on po prostu nie ma, bo na szczyt wskoczył od razu.

30-letni wiceprezes jednego z towarzystw ubezpieczeniowych nie ukrywa, że - obejmując swe stanowisko - zerwał z gronem przyjaciół.

- To ludzie - mówi - na nędznych pensjach i bywać u nich zwyczajnie mi nie wypadało.

O życiu tak naprawdę nie ma teraz z kim pogadać. Jego biznesowe kontakty są bardziej niż powierzchowne - na początku kariery dowiedział się, że musi bywać w określonych miejscach, by poznać odpowiednich ludzi z branży, ale to nie są przyjaźnie.

Zagryźć starszych

Żona „młodego wilka” często jest dziewczyna, z którą ożenił się tylko dlatego, że była np. córką sędziego i z nią łatwiej mu robić karierę. Bywa, że biznesmen żyje w luksusie, ale w sprzeczności z samym sobą. W takiej roli nie każdy potrafi się odnaleźć. To dlatego w latach 90. niejedyn lider biznesu wpał w alkoholizm i zbankrutował.

Jednak sprawujący władzę młody boss zawsze budzi zazdrość. A także złość i zawiść - również wśród mniej zdolnych rówieśników, którzy sami też szybko stali się „wilkami”. I choć brakuje im solidnej wiedzy - atakują niemal w każdej dziedzinie. Pracodawcy poszukują przeciw pracownikom agresywnych, kreatywnych i dynamicznych.

A takie właśnie są najbardziej nawet szare „wilczki”. Pełni agresji, z przyklejonym do twarzy uśmiechem chcą udowodnić, że wszystko wiedzą lepiej. Wyrzuceni z pokoju szefa, po chwili wracają z nowymi pomysłami. Choć właśnie zdobyli dyplom i pracę, w firmie czują się swobodniej od swych przełożonych. Nieśmiałość, frustracja i niepewność siebie są im obce. Kandydatka na sekretarkę ze swym ewentualnym pracodawcą rozmawia często tak, jakby to on miał być przez nią zatrudniony. Młodsza koleżanka zagraża starszej: 24-letnia „wilczyca” chętnie nawet po godzinach pracy zastąpi 34-latkę, której

dziecko choruje, aby wkrótce zająć w pracy jej miejsce.

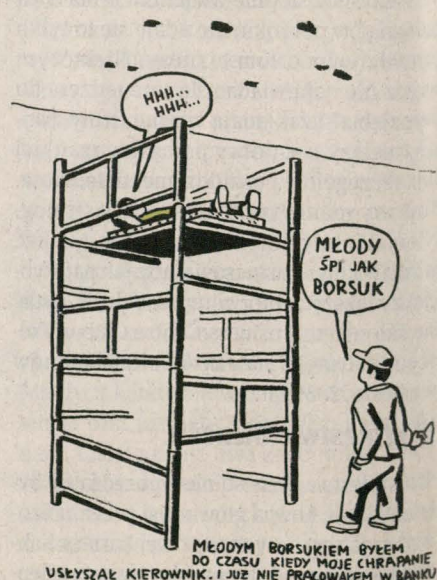
Jedno łączy „młode wilki” biznesu z „szarymi wilczkami”, jakich wokół nas pełno: nienasyconie. Potrzeba władzy i pieniędzy. Dlatego tak chętnie by chciały zagryźć starszych od siebie

- Inwazja młodych - mówi dr Mirski - zastrza się zwykle w czasie ważnych wydarzeń historycznych, jak rewolucje, wojny i transformacje ustrojowe. Młodzi intuicyjnie wtedy czują, że starsze pokolenie już niezbyt się nadaje do sprawowania władzy. Dlatego z początkiem lat 90. dyrektorami firm - częściej niż dziś - zostawali ludzie w wieku 23-24 lat.

„Młode wilki” to - zdaniem dr. Mirskiego - najbardziej mieszczańska młodzież świata: chcą władzy i pieniędzy. Za dwadzieścia lat ich dzieci prawdopodobnie będą się śmiać z ciasnoty umysłowej rodziców-burżujów, dla których na przełomie wieków liczyło się tylko stanowisko i pieniądze.

IZABELLA BODNAR

Rysunki MARCIN MACIEJOWSKI



Do Pana Ministra Sprawiedliwości RP, Lecha Kaczyńskiego

CESARZOWA w salonie masażu

Ekscelencjo Panie Ministrze!

Już dawno żadne działanie resortu, którym Pan kieruje, nie wzruszyło mnie tak głęboko jak inicjatywa usunięcia z naszego niełatwego życia zamtułów, „domów miłości”, lupanarów, domów publicznych, burdeli, etc. - zwanych, jak na kpinę, „agencjami towarzyskimi” czy „salonami masażu”. Po stokroć, po tyśiąckroć brawo!

Bijąc je, mam nadzieję, że Pańskie działania nie ograniczą się do gniazd rozpusty, lecz że zechce Pan (i Pana dzielni pretorianie) zlikwidować również ich szczerzącą na każdym kroku zęby pragenezę w postaci prowokujących zachowań niektórych „dam”, grasujących bezkarnie po wszystkich szczeblach naszej drabiny społecznej.

Był ktoś, kto uczynił to już przed Panem, stosunkowo niedawno, bo w drugiej połowie XVIII w. Ów „ktoś” nazywał się Maria Teresa i był cesarzową austriacką, małżonką księcia Lotaryngii, Franciszka Stefana, zupełnego, wydawałoby się, życiowego fajtlapy, ale, jak wiadomo, nieważne są spodnie, lecz serce, które w nich bije. U Franciszka Stefana biło, że daj Boże zdrowie (szesnaścioro dzieci). Ślub młodej pary odbył się w 1736 r., a już w pierwszy dzień po konsumpcji małżeństwa cesarzową doszły informacje o poufałościach, jakich dopuszcza się jej małżonek wobec dam dworu. Maria Teresa powołała zatem Komisję Czystości Obyczajów (Keuschheitskommission). Prof. Stanisław Grodziski przypomina: „Na rozkaz cesarzowej policja obyczajowa wizytowała teatry i bale, patrołowała ulice i hotele, pilnowała, by w publicznych lokalach nie były (od 1774 r.) zatrudnione kelnerki, które

można by podejrzewać o drugi zawód, wreszcie nawet kontrolowała na granicach bagaż podróжных w poszukiwaniu ewentualnej pornografii”.

Kolejnym dekretem cesarzowej zabroniono w ogóle zatrudniania kobiet w jakichkolwiek lokalach publicznych. Wiadomo (Panu zapewne również), że gdzie kobieta, tam diabeł merda ogonem.

Cesarzowa oddała się sprawie z równym zapałem jak Pan, osobiście, że raporty komisji sygnalizowały pojawianie się pierwszych „salonów masażu” nawet w pałacu cesarskim. Szlachetna niewiasta wzmożła czujność, próbując ograniczyć rewir myśliwski małżonka do bezpośrednich okolic swej sypialni. Wpłynęło to pozytywnie na ilościowy rozwój dynastii, ale obyczajowo nie przyniosło ostatecznych triumfów. Maria Teresa zwróciła więc uwagę na inne rewiry Wiednia: nie tolerowała już dłużej, by którakolwiek z niewiast, zwłaszcza zaś w wieku, w którym grzeszenie jest grzechem - przebywała na ulicach po zmroku. Złapane rozbierano - jakże słusznie - do koszuli, chłostano do krwi i splaniano Dunajem na południe.

Zdaję sobie sprawę, że dziś splanianie dziewczek wszetecznych poza granice RP może być z różnych powodów kłopotliwe. Wiem również - bo doświadczył tego na sobie wymiar sprawiedliwości z czasów Marii Teresy - że całe to kurewstwo wystlane na tratwach w okolicy Temesvaru cichcem wracało, znów zaciekle masując i siejąc zgorzenie. Mało tego. Dziewki ciągnęły do Wiednia, Budapesztu czy Lwowa, dla niepoznaki z różańcami i książeczkami



RYŚ. PIOTR GIDLEWSKI

nawet, fawory ze strony Tronu. Przede wszystkim zaś musiały się natychmiast umyć. Jedna jedyna księżna Wilhelmina Auersperg, wbrew instyktowi samozachowawczemu i rozkazom cesarzowej, używała nadal szminki. Tłumaczyła obłudnie: „Twarz otrzymałam od Boga, nie od państwa i sama mogę nią dysponować”.

Cesarzowa, jak mówią, przełknęłaby i tę obrazę, gdyby nie to, że prawo do samodysponowania księżna Auersperg zaczęła stosować i do innych (zawsze równie grzesznych) części ciała. Księżną zainspirowało pojawienie się w Wiedniu otoczonego ohydłą sławą Giovanniego Casanovy. Czy Pański resort jest przygotowany na pojawienie się w naszej Ojczyźnie kogoś równie groźnego dla moralności publicznej?

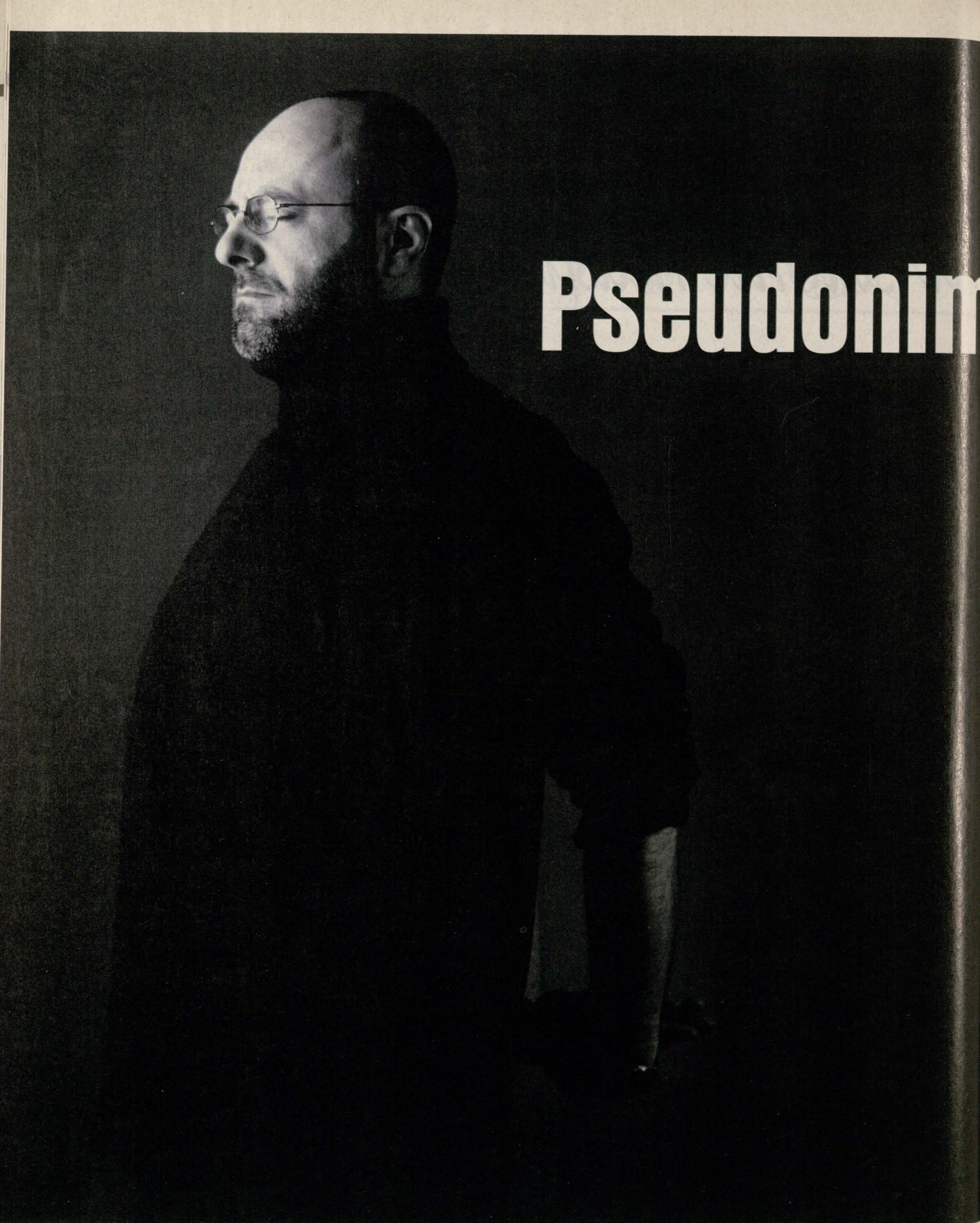
Syn Marii Teresy, przyszły cesarz Józef II, nie miał tej co ona wiary. Gdy cesarzowa sugerowała, by wzorem Paryża czy Berlina zgromadzić wszelkie dziewczki wszeteczne pod jednym dachem - odpowiedział, że w takim razie powinien pokryć jednym dachem cały Wiedeń.

Nasze stołeczne realia są zapewne podobne i nikt nie może żądać od Pana cudów. Ale gdyby tak wszystkie pracownice salonów masażu zgromadzić w jednym salonie masażu, dyskretnie obserwować, kto tam zagląda i co mu masują, a potem - cóż to byłoby za widok! - całe towarzystwo pod pręgierz?

Jeśli prawdą jest, że burdela nikt jeszcze do końca nie zlikwidował - to dlaczego nie miałby Pan być pierwszym? Dlaczego to dzięki Panu polski wymiar sprawiedliwości nie mógłby przejść do historii?

Damy dworu Marii Teresy, które zniżyły się do stosowania tych środków, nie mogły dostąpić zaszczytu ucałowania ręki cesarskiej ani też liczyć na żadne, najmniejsze

LESZEK MAZAN



Pseudonim to ja

Z INGMAREM VILLQISTEM
ROZMAWIA KAZIMIERZ TARGOSZ
ZDJEŃCIA BOGDAN KRĘŻEL

INGMAR VILLQIST, ur. w 1960 r. w Królewskiej Hucie, czyli Chorzowie. Historyk sztuki (Uniwersytet Wrocławski), nauczyciel akademicki. Debiutował dramatem „Oskar i Ruth” w swoim autorskim Teatrze Kriket w Królewskiej Hucie. Autor cyklu dramatów „Beztenowce” („Kostka smalcu z bakaliami”, „Fantom” i inne), „Noc Helvera”. Dramaty Villqista grane są na kilku polskich scenach, a następne zapowiadają premiery jego sztuk.

Skandynawski pseudonim, sztuki opatrzone podwójnymi tytułami – norweskimi i polskimi, bohaterowie noszący imiona i nazwiska skandynawskie: Karla, Helver, Jerg, doktor Gerdmann, płacą koronami i mieszkają nad morzem w miejscowości Ellmit i w okolicach, ale w Skandynawii nikt nie słyszał ani o Villqście, ani o Ellmit.

Spróbujmy rozwikłać tę tajemnicę.

Wszystko, co pan powiedział, jest prawdą. Świat, jaki skonstruowałem dla swoich bohaterów i w jakim żyją od wielu lat, leży dosyć daleko od miejsca, w którym rozmawiamy, a jednocześnie bardzo blisko.

W jednym z wywiadów mówił pan, że służył na okrętach podwodnych, patrolując rejon Zatoki Pingwinów.

To prawda, trwało to siedem lat.

Pana żona nosi nazwisko Sonja Sjöberg, a syn na trzecie imię ma Ingmar. Jest pan twórcą autorskiego teatru Kriket w Królewskiej Hucie, czyli w Chorzowie.

Co tu jest prawdą, a co zmyśleniem?

Kategoria prawdy i zmyślenia jest tu bezużyteczna. W 1978 r., kiedy uczyłem się w III Gimnazjum w Królewskiej Hucie i kiedy napisałem swój pierwszy dramat „Szczury”...

...na maszynie Erica Neumann z 1919 roku.

Tak. Gdy teraz patrzę na swoje teksty pisane na maszynie Erica Neumann, na te pożółkłe kartki z nierówną

czcionką, bardzo mnie to wzrusza. Kończyłem ten dramat o piątej nad ranem, okno w moim pokoju było otwarte, firanka powiewała, za oknem budziły się do życia ogromne zakłady przemysłowe w Królewskiej Hucie, posypywały huty i pojękiwały kopalnie, kilkaset metrów dalej rozpoczynała pracę młotownia, przez brud i błat stołu przechodziło lekkie mrowienie, pokój zasnuty papierosowym dymem, zaczynały ćwierkać wróble – i to uczucie kończenia tego tekstu było tak dotkliwie przejmujące, było to wręcz fizjologiczne poczucie sensu tego, co robię, że pomyślałem wtedy, iż chciałbym to robić całe życie.

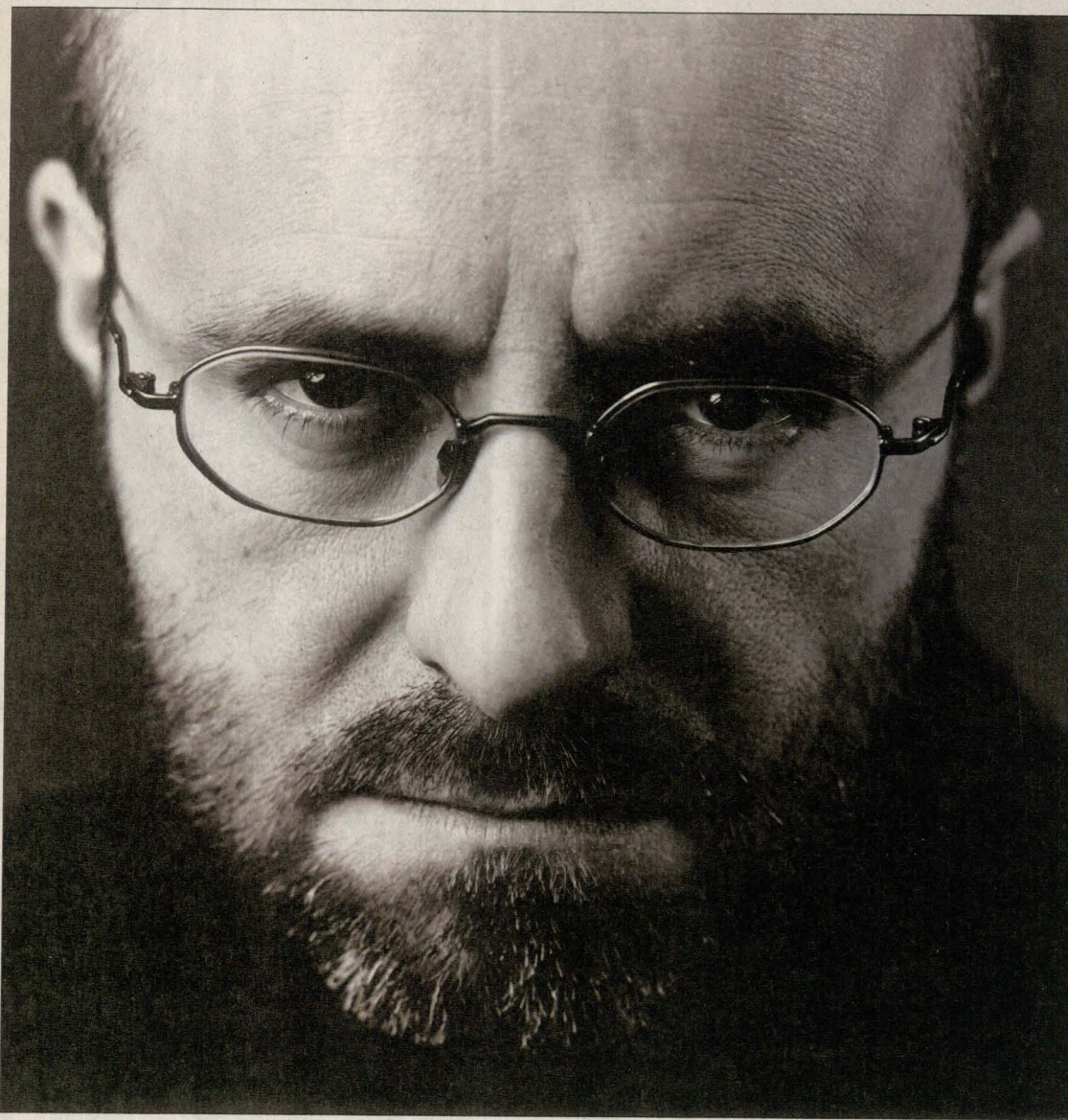
Miał pan wtedy 18 lat.

A przez następnych prawie 20 lat pisałem i była to dla mnie ogromna satysfakcja, poczucie spełnienia artystycznego, ale na szczęście, a może nieszczęście, nie było możliwości, aby moje teksty ujrzały światło dzienne. Gdy w 1998 r. taką decyzję podjąłem i kiedy powstał teatr Kriket, zdałem sobie sprawę, że jeśli będę podpisywał swoje dramaty własnym nazwiskiem, będzie to jednoznacznie kojarzone z tym wszystkim, czym zajmowałem się od wielu lat, czyli organizowaniem wystaw i krytyką sztuki. A chciałem tego uniknąć, bo uważałem, że to może zaszkodzić moim dramatom. Okazało się, że była to decyzja słuszna.

Ale dlaczego Ingmar Villqist?

W ostatnich latach nauki w gimnazjum, kiedy podjąłem decyzję, że będę studiować historię sztuki, zacząłem czytać książki, oglądać obrazy, które bardzo silnie mnie ukształtowały, czyli dzieła z obszaru literatury niemieckojęzycznej, amerykańskiej, a zwłaszcza skandynawskiej. Wyświetlały one w mojej głowie najwspanialsze opowieści, fantastyczne opery ludzkich namiętności. Odnalazłem w tej literaturze, sztuce i filmie wszystkie pochodne rodzących się we mnie emocji i potrzeb, ciekawość świata. A jednocześnie ten wybór jest pochodną dalekich koligacji rodzinnych – ze strony prababki i babki, żyjących w Norwegii i Szwecji. Wielki talent literacki miał mój dziadek, Jan Faska, jeden z bohaterów III powstania śląskiego, odznaczony Virtuti Militari, ciężko ranny pod Górą św. Anny. Był dowódcą obrony Katowic w 1939 r. Kiedy wojsko pozostało Śląsk i Katowice na pastwę losu, on przez trzy dni z garstką harcerzy i powstańców usiłował bronić tego, w co wierzył, a czego bronić się nie udało. I pisał świetne pamiętniki. Dla mojego pisarstwa bardzo istotny jest ten śląski





Może jestem predestynowany do tego, by patrzeć na ludzi i odczytywać w nich to, co starają się ukryć, co noszą w sobie głęboko schowane.

kontekst. Uważam się za Górnoślązaka, tu, w Warszawie, jestem na emigracji. Królewska Huta bardzo silnie na mnie oddziaływała przez tajemnice swojej przestrzeni, architektury, koloru i konstrukcji. Ogromne fascynujące europejskie miasto, któremu nie dane było w ostatnich dziesięcioleciach ujawnić swojego piękna i osobowości. Zniszczone, zatrute, skazane zostało na zagładę. **Czy spodziewał się pan takiej eksplozji sukcesu? Krytycy piszą o panu: wybitny polski dramaturg, którego od lat szukali reżyserzy i krytycy. W tym sezonie wystawianych jest sześć pana dramatów. „Dialog” drukuje pana sztukę „Noc Helvera”, uznając ją za jedną z najlepszych sztuk minionego sezonu. Kolejne teatry zapowiadają pańskie premiery.**

Gdy przeczytałem pierwszy tekst, który ukazał się o moich dramatach, byłem ogromnie zdziwiony. Nie bardzo chciało mi się wierzyć w to, co czytam. **Prawdę mówiąc, sam też się dziwię. Pana psychologiczne „małe tragedie” nie przypominają niczego, co dotychczas pisano w Polsce dla teatru. Dlaczego bliżej panu do Bergmana, Ibsena, Strindberga niż do Gombrowicza czy Mrożka?**

Z powodu dotkliwego oglądu rzeczywistości i selekcjonowania tych sytuacji, w których znalazłem się w życiu. Starłem się wykreować te wyselekcjonowane ludzkie emocje. Nie kryję, że moim mistrzem, jeśli chodzi o pisarstwo dla teatru, jest Ingmar Bergman i stąd pseudonim.

Wybrał pan go – jak sądzę – po to, by znaleźć się najbliżej świata przedstawianego i zamieszkujących go postaci. To dosyć ponury świat. Pana bohaterowie są ludźmi odrzuconymi przez społeczeństwo, z pokręconymi życiorysami: psychicznie chory chłopak, zafascynowany faszystowskim drylem, dwie kobiety połączone spletem nienawiści i miłości, uczennica uwiedziona przez swoją nauczycielkę, dwóch mężczyzn, którzy mają dziecko, dziewczyna, kiedyś zgwałcona przez ojca, teraz zaprasza go na swój ślub. Dlaczego pochłania pana właśnie taki świat?

Trudno mi na to odpowiedzieć. Może w jakiś szczególny sposób jestem predestynowany do tego, by patrzeć na ludzi

i odczytywać w nich to, co starają się ukryć, co noszą w sobie głęboko schowane.

I konstruować z tego historie.

Właśnie, bo pamiętajmy, że rozmawiamy o sztuce, o iluzji, a nie o życiu. Żeby pięknie opisać wyprawę astronautów na odległą planetę, nie trzeba być kosmonautą, nawet nie trzeba lecieć samolotem. Wystarczy iluzja. Są to właśnie obszary emocjonalne, obszary ludzkiej psychiki, różne powikłania, nory, korytarze życia, które mnie fascynują i które staram się wyrazić w takiej formie jak pisanie dla teatru. Jestem pisarzem piszącym dla teatru, nie dramaturgiem, bo dramaturg kojarzy mi się z panem w czarnej pelerynie, który stoi na brze-

Każdy z nich, nawet ten kroczący najbardziej pokrętą drogą, ma świadomość tego, że coś w jego życiu wydarzyło się złego, że musi odpokutować, musi walczyć, żeby się z tego kręgu wyrwać.

Ale my boimy się odmienności, albo reagujemy na nią agresją. Dlaczego?

To jest bardzo proste. Wszelkie odmienności i patologie są ekranem naszych własnych lęków. Bardzo dużo i pięknie potrafimy mówić o osobach niepełnosprawnych, tworzyć programy edukacyjne, fundacje, które mają się opiekować tymi, których życie przetrząsało, ale kiedy stajemy wobec nich twarzą w twarz, w oczy niepełnosprawnego, któremu nagle zablokował się wózek w szynach tramwajowych, kiedy nagle opiera się

Raczej to drugie, bo pokazuje pan ich w drastycznych sytuacjach.

Owszem, wszystko u mnie drży i wibruje, ale jestem głęboko przekonany, że ci, którzy zechcą moje teksty przeczytać, obejrzeć na scenie, zrozumieją, że istotne problemy leżą głębiej. Najistotniejsze dla mojego pisarstwa jest opowiadanie o ludziach niezależnie od płci. Nieważne, czy są to kobiety, które nie potrafią sobie poradzić ze swoim uczuciem, czy mężczyźni, którzy wychowują dziecko.

Pana dramaty są kameralne, nie tylko ze względu na obsadę, dwie, trzy osoby, ale także dlatego, że są to indywidualne, małe historie tych ludzi, nie związane z biegiem historii, opisem świata. Nie dziejowe panoramy, ale poszczególne przypadki.



Mariola Łabno-Flaumenhaft i Robert Chodor w spektaklu „Oskar i Ruth”, Teatr Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.

ZBIĘCIA M. GUZEK gu morza czy roztrzaskanym drzewie, ciemne chmury suną mu nad głową, wala pioruny, na falach morza połyskują srebrne łuski światła księżycy, a dramaturg unosi dłoń do góry, co ma wiele oznaczać, a dla mnie nie oznacza nic.

Kpi pan sobie, bo fascynuje pana odmienność, skrajne emocje, które stawiają pana bohaterów pod ścianą. Rzeczywistość nie składa się tylko z takich granicznych sytuacji.

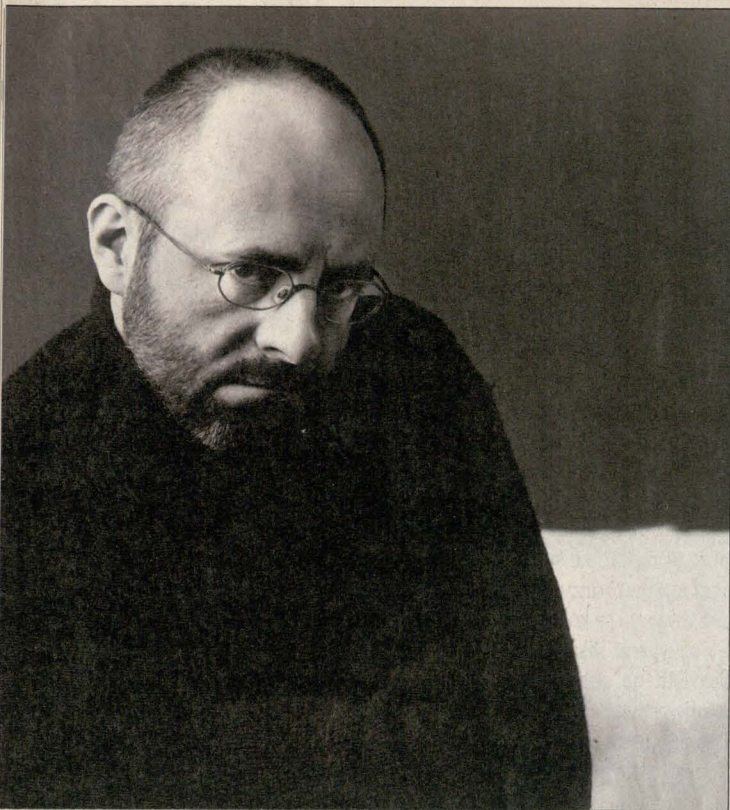
Nasza rzeczywistość składa się z rzeczy cudownych, wspaniałych i pięknych. A jednocześnie z rzeczy upiornych, okrutnych, bezwzględnych i przerażających, czyli z tego wszystkiego, co wykreowała taka wspaniała istota jak człowiek. Moi bohaterowie, mimo że uwikłani są w takie sytuacje, o których pan mówił, są w moim głębokim przekonaniu bardzo piękni, ludzie, walczący o siebie.

o nas przy okienku na dworcu bezdomny, który ma twarz pokrytą liszajami i prosi nas o 20 groszy, albo kiedy idziemy ulicą, a naprzeciw idzie dwóch mężczyzn, trzyma się za rękę i przytula, albo kiedy widzimy w klatce schodowej narcomana, który wkłwa sobie w żyłę strzykawkę – wtedy następuje jedna reakcja – strach i chęć ucieczki. Albo żeby to, co widzimy, zniknęło. Najchętniej wyciągnęlibyśmy z kieszeni aerozol i spryskali to, co widzimy, żeby zniknęło. Ale trudno sobie wyobrazić, że to, o czym mówimy, materializuje się w poszczególnych ludziach. A ludzie, czytając moje teksty czy widząc ich materializację na scenie, spotykają się twarzą w twarz z takimi postaciami i mam nadzieję, że coś w nich pozostanie. Może się zastanowią, a może jeszcze bardziej wystraszą.

Bardziej dotkliwe psychicznie jest zestawienie bohaterów, pomiędzy którymi dochodzi do jakichś drastycznych reakcji psychicznych niż oglądanie stutysięcznego tłumu. Dla mnie najważniejszy jest jednostkowy dramat psychiczny człowieka. Cały czas mówimy o moim cyklu „Beztlenowce”, ale w „Nocy Helvera” wdzierą się wydarzenie wielkie – narodziny faszyzmu. Teraz piszę dwie następne części tego tryptyku. A wszystko dzieje się wokół miejscowości Ellmit, przez którą rozumiem fascynujący obszar ludzkich namiętności będących punktem odniesienia, zawsze się ujawniający, a jednocześnie głęboko skrywany.

Pana sztuki są tak napisane, że powinny wzruszać, budzić współczucie, ale tego nie robią. Może dlatego, że – jak pisał jeden z krytyków – są one jak laboratoryjne preparaty?





Wszystko, co widzę w teatrach, jest bardzo dalekie od moich potrzeb, marzeń i oczekiwań.

Bywam na premierach swoich przedstawień i od początku wysłuchuję pociągnięcia nosem, chlipnięcia i przerażającą ciszę. Myślę, że to oczywiste, że ludzie się na nich wzruszają.

Niekiedy trafi się nawet happy end, tylko że okupiony śmiercią lub cierpieniem.

Ja bym tego nie nazwał happy endem. Zakończenie moich dramatów można określić jako naturalną kolej rzeczy.

Pisanie dla teatru jest – jak pan powiada – najbardziej plastyczną formą przekazu. Jest sztuką wizualną, w której treścią przekazu jest sam przekaz, innymi słowy, obcujemy z formą, a nie z treścią, bo to forma nas hipnotyzuje?

Trudno mi o tym mówić, ale wszystko to, co widzę wokół w teatrach, jest bardzo dalekie od moich potrzeb, marzeń i oczekiwań.

Może trzeba na nowo zdefiniować słowo „teatr”, bo wszystko się zmieniło, oko i ucho, i kod kulturowy. Może czas odebrał teatrowi formę i temat?

Jestem głęboko przekonany, że w dzisiejszych czasach tylko teatr daje możliwość prawdziwego kontaktu artysty z odbiorcą. Jestem też przekonany, że dawno już minął czas rozbudowanych inżynierskich zabiegów teatralnych, Legerowskiego mechanizmu inżynierii wykonującego stójkę na środku sceny. W tej chwili w teatrze największą wartością jest wartość literatury, aktora-artysty, reżysera-artysty. Mój teatr jest teatrem

kontaktu emocjonalnego aktora z widzem. Jest teatrem do oglądania z bliska, w którym istotne jest, jak się zwięzają źrenice w oku aktora, jak wysączają się z niego uczucia, pochodne literatury, na podstawie której buduje swoją pamięć. **Jak udało się panu ustrzec przed tym, co było zawsze kanonem polskiego teatru – tradycją romantyczną?**

Bardzo niezręcznie mi o tym mówić. Niezwykle szanuję polską literaturę i polski teatr, ale w większości przypadków trudno mi się z nią artystycznie utożsamiać. Kiedy w 1987 r. obejrzałem „Emigrantów” Mrożka, to pamiętam, że wychodząc z teatru, czułem się jak potrącony przez tramwaj. Było to nieprawdopodobne doznanie. To jest absolutne arcydzieło. Mrozek jest wielkim artystą, którego twórczość jest w moim głębokim przekonaniu błędnie odczytywana. Kiedy pisze się o nim i padają słowa: absurd, ironia albo „mówić Mrożkiem”, to robi mi się smutno i najchętniej temu, kto tak pisze, wyłamałbym palce. W jego twórczości najistotniejszą rzeczą jest wewnętrzna walka z problemami lęku, bólu i śmierci.

Krytycy chwalą pana, teatry grają pana sztuki, a jednocześnie wszyscy mają niedosyt, oczekują, że oto pojawi się dzieło, które będzie głębokim, pełnym obrazem rzeczywistości.

Znam te oczekiwania. Mam 40 lat, a piszę już prawie 20. Nie ma takiej kategorii jak dzieło pełne, kompletne. Istnieje ogromne niebezpieczeństwo, jeśli twórca zaczyna brać coś takiego pod uwagę, chce napisać dzieło swojego życia. Jest jedyna kategoria, najważniejsza dla artysty – kategoria własnej uczciwości, własnego osobistego spełnienia i własnego osobistego sensu artystycznego.

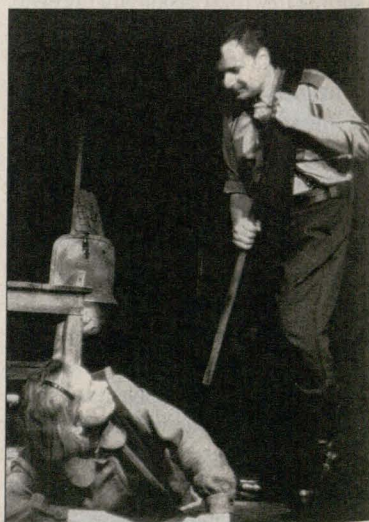
Czy zatem pozostanie pan przy swoich małych psychologicznych tragediach, nie zmieni pseudonimu i konwencji?

Pseudonimu nie zmienię. To już nie jest mój pseudonim, to jestem ja. Nigdy nie będę brać pod uwagę opinii, oczekiwań i sugestii, jak ma się rozwijać moje pisarstwo. Nic mnie to nie obchodzi. Najważniejsze jest moje własne poczucie sensu, towarzyszące temu, co piszę i robię. Zbyt wiele lat zajmuję się sztuką, zbyt wiele wiem o wszelkich mechanizmach towarzyszących konstruowaniu sytuacji pozateatralnych w poszczególnych dziedzinach sztuki, żeby w ogóle patrzeć w tę stronę. Jeśli artysta próbuje to robić, to jest to początek końca. Artysta musi być samotny.

Jest pan pesymistą?

Jestem optymistą. Patrząc na świat niezwykle pozytywnie. W moich dramatach bardzo ważne jest spojrzenie pełne ufności i nadziei w człowieka, który poddawanym sytuacjom upiornym, walczy do końca o siebie i nigdy się nie poddaje.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ



Barbara Napieraj i Robert Chodur w spektaklu „Noc Helvera”, Teatr Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.



SEN o Macierzy

Z Niemiec do Polski wracają Ślązacy, którzy wyemigrowali tam w latach osiemdziesiątych

ELLA MAYER

Sen kończył się zawsze tak samo. Przebudzony Krystian dyszał, a w uszach brzmiał mu śmiech Klause i jego słowa: – Wasserdeutsche!

– Co? Znowu ten sen? – pytała żona. – Jaa – odpowiadał Krystian.

Wasserdeutsche to Niemiec tym pogardliwym słowem określa się czasem emigrantów z Polski.

Niby swój, a nie swój

– Pewnej nocy – opowiada Krystian – zrozumiałem, że ten sen to rze-

czywistość. W robocie też czekał, żebym popełnił jakiś błąd. Jakby na mnie wnyki założyli. Wystraszyłem się.

Ze strachu jeszcze bardziej kaleczył niemiecki. Tak bardzo, że mistrz i koledzy murarze wybuchali gromkim śmiechem.

„Wasserdeutsche!” – dobrze wiedział, że za plecami tak o nim mówią. Sąsiad Klaus też raz go przecież tak nazwał. I stąd wziął się ten sen.

W Westfalii świat stał się pułapką. We wsi pod Opolem był mistrzem murarskim, a tu – wtedy to

zrozumiał – nigdy majstrem nie zostanie. Po niemiecku musiałby mówić jak swój. A on gazet nie czyta, bo niewiele rozumie, nie wie, co mówią w radiu i telewizji. Czasem obliczał, ile zna niemieckich słówek. Osiemset czy tysiąc? Gdyby znał dwa tysiące, czułby się jak swój. Ale teraz nie wie, co tutaj znaczy – swój? Wiedział, gdy mieszkał pod Opolem.

W domu odzywał się coraz rzadziej. Stracił nawet ochotę na piwo. Którejś soboty wstał przed świtem i obudził żonę.

– Żyjemy tu cztery lata – powiedział. – Ale coś tak czuję, że przez te wszystkie lata co dzień się oszukiwałem. Dla Niemców jestem obcy. I sam dla siebie też tu jestem obcy.

– Co ty gadosz, co to znaczy? – zapytała.

– To znaczy – odparł – że za tydzień będziemy w drodze. Wracamy na Śląsk. Żona od razu zaczęła się pakować.

Wtedy, w 1992 r., obiecali sobie, że nigdy już za granicę nie wyjadą. Dzieci zjeżdżają do nich z Niemiec na święta i przysięga-



Popielowo – Poppelau

ją, że domu w Westfalii na Śląsku by nie zamienili.

W ekran nie patrzył

Hildegarda z wioski pod Katowicami co wieczór przed snem myśli o tym, żeby znów żyć w Niemczech. W 1988 r. dzieci namówiły ją na wyjazd do Reichu. Po krótkim pobycie w obozie dla przesiedleńców – osiadła z rodziną w Saksonii Dolnej.

– Tu mi się nie podoba – oznajmił po tygodniu Herman, mąż Hildegardy. Wieczorem postanowił zakosztować niemieckiej kuchni. Wyszedł z restauracji, klnąc po niemiecku.

– Niemcy – grzmiał – mięsa nie dogotują, na pół czerwone podają. Zamiast kapusty dali surówkę. Prawdziwej kuchni tu nie ma.

Nazajutrz Hildegarda przyrzędziła mu kotlety z modrą kapustą i upiekła kołacz z makiem. Kawał kołacza zaniósł sąsiadom, ale odmówili. Cały wieczór płakała. Herman się śmiał.

Jako pomoc kuchenna ciężko pracowała w restauracji i w szpitalu. Odzyskiwała siły i energię, gdy w sklepach, biurach i urzędach traktowano ją inaczej niż w Polsce – z szacunkiem i życzliwością. Nie-

mieckiego nauczyła się jako dziecko, jej Herman też biegle zna język.

– Niemcy – powiada Hildegarda – od razu wiedzieli, że my też są Niemcy. I tak nas traktowali. Jak swoich.

Czasem Hildegarda opowiadała im, że na Śląsku Niemcy żyli przez kilkaset lat. I o tym, że po II wojnie zostali z Polski wypędzeni. Ale nikt jej nie słuchał.

– W Niemczech – tłumaczył jej mąż – powszechna jest izolacja. Po pracy człowiek z domu nie ma po co wychodzić. W Polsce wszyscy sobie wzajem czegoś zazdroszczą. A tu nikt nikogo nie obchodzi.

Gdy Herman zaczął chorować, co wieczór dziękowała Bogu, że jest pod opieką dobrych saksońskich lekarzy. Ale Herman tylko się śmiał. Po operacji też się śmiał, że tu i tak nikt mu nie pomoże. Bo tu pogadać po ludzku z nikim się nie da. Dla Niemców, grzmiał znowu, najważniejsze są pieniądze i urlop. O tym tylko mówią. Przyjaźnić się nie potrafią. Ani biesiadować w niedzielę, jak na Śląsku, po odpustach, ani z sąsiadami żyć jak ludzie. Do domu nie zapraszają. A kiedy ktoś nie zna niemieckiego, w bloku traktują go jak powietrze.

Do Hermana sąsiedzi się uśmiechali, ale choć zagadywał, do rozmowy się nie garnęli. Po pracy siedział się nie garnęli. Po pracy siedział się nie garnęli. Po pracy siedział się nie garnęli.

Hildegarda szybko zauważyła, że jej chłop jakoś w ekran nie patrzy. Odzywał się coraz rzadziej, coś przemysliwał. Twarz mu zszarzała, gdy córka z zięciem opowiadała o znajomych Ślązakach, którzy w Niemczech zaczęli nowe życie i do kościoła już nie chodzą. W weekendy siedział przy oknie i patrzył na sąsiednie bloki. Godzinami tak siedział bez ruchu. Rano z trudem zwlekał się z łóżka, do fabryki szedł, jakby mu się nie chciało tam iść. Hildegarda poradziła, żeby się trochę rozerwał i odwiedził brata na Śląsku.

Pojechał na tydzień do Polski. Do Macierzy więcej nie wrócił, choć Hildegarda przez telefon cały miesiąc go namawiała. Przyjechała więc za nim.

– Tu będziemy żyć – oznajmił na powitanie. – Tu. Na Śląsku. Gdzie indziej nie dam rady. Tu moje miejsce. I twoje, bo miejsce baby jest przy chłopie.

Teraz jako emeryt odradza młodym wyjazd do Macierzy. Ale Hildegarda nawet dziś by tam pojechała. Wierzy, że kiedyś swą wioskę

pod Katowicami zamieni na miasteczko w Saksonii Dolnej. W przydomowym ogródku postawiła przywiezione z Saksonii krasnale ogrodowe i posadziła jodłę.

Na swoje

Najwięcej krasnali jest w wioskach pod Opolem.

Co roku od Bożego Narodzenia do Trzech Króli na drogach liczącej 600 mieszkańców wioski Brożec koło Koźła parkują samochody z niemiecką rejestracją. We wsi widać wtedy więcej mężczyzn w wieku 20–45 lat, z których wielu pracuje i żyje w Niemczech.

Zameldowani są w Brożcu i w Niemczech. Większość z nich mówi, że za granicą chcą mieszkać tylko do emerytury. Później wrócą na ojcowiznę.

– Powroty Ślązaków, którzy wyjechali w latach 80. i z początkiem 90., nie są tak częste, jak byśmy sobie tego na Śląsku życzyli – mówi przedstawiciel mniejszości niemieckiej w Sejmie Heinrich Kroll. – Pragniemy, by większość z nich wróciła do Heimatu – do swej małej ojczyzny, bo coś takiego na Śląsku niewątpliwie istnieje. Ci, którzy wyjechali, przeważnie pozostawili tu cały swój dobytek – domy z niemal kompletnym umeblowaniem i wyposażeniem, a to najlepszy dowód, że planują powrót.



Dożynki po niemiecku w Opolu

stawili tu cały swój dobytek – domy z niemal kompletnym umeblowaniem i wyposażeniem, a to najlepszy dowód, że planują powrót.

Niedawno do Brożca wróciły dwie młode rodziny. Jedna założyła firmę ocieplania budynków, druga świadczy usługi tynkarskie. W Krapkowicach znakomitą firmę komputerową prowadzi Ślązak, który wrócił z Macierzy. W okolicy znany jest malarz pokojowy, który – choć w Niemczech miał pracę, mieszkanie i przyjaciół – po pięciu latach wrócił na swoje.

Matka wójta gminy Walce (7,2 tys. mieszkańców), Piotra Miczki, mieszka w Niemczech. W Brożcu u syna spędza zwykle pół roku. Tam – z bloku wychodzi na ulicę. Tu ma duży ogród, gęsi, kacuszki, kurki – atmosferę, w jakiej żyła od dziecka. I sąsiadów-przyjaciół.

– Ślązakom trudno się wżyć w niemieckie środowisko – wyjaśnia wójt Miczka.

Wójt przyznaje, że także w Niemczech warto czasem komuś pomóc. Taki gest otwiera serca. Przed supermarketem sam zaproponował kiedyś starszej pani, że zawiezie jej do samochodu ciężki wózek. Niemka, nieprzywykła do bez-

interesownej pomocy, zaniemówiła z wrażenia.

– Aby zrozumieć tamtejszą mentalność, trzeba się wychować w Niemczech – powiada 35-letni Roland, germanista z Katowic. Gdy Niemiec zaprasza gościa do domu, oczekuje, że wyjdzie on o określonej godzinie. Polacy od razu czują się urażeni. Od Niemców oczekują wylewności, oni tymczasem z natury są zdystansowani.

W Niemczech Roland miał pracę, mieszkanie i poczucie przynależności do gorszej klasy społecznej. O tym, że pewnej poprzeczki nie przeskoczy, przekonał się szybko. Dlatego po miesiącu wrócił z żoną do Katowic.

– Młodemu germaniście – uważa Roland – o wiele łatwiej realizować się w polskich warunkach. Obywatelstwo niemieckie Ślązaka świadczy o jego przynależności do narodu niemieckiego, ale w praktyce to fikcja. Najważniejsze jest poczucie własnej tożsamości: pewność siebie i umiejętność określenia swego miejsca w życiu. A to daje tylko tradycja i przyjaźnie.

Styl wahadłowy

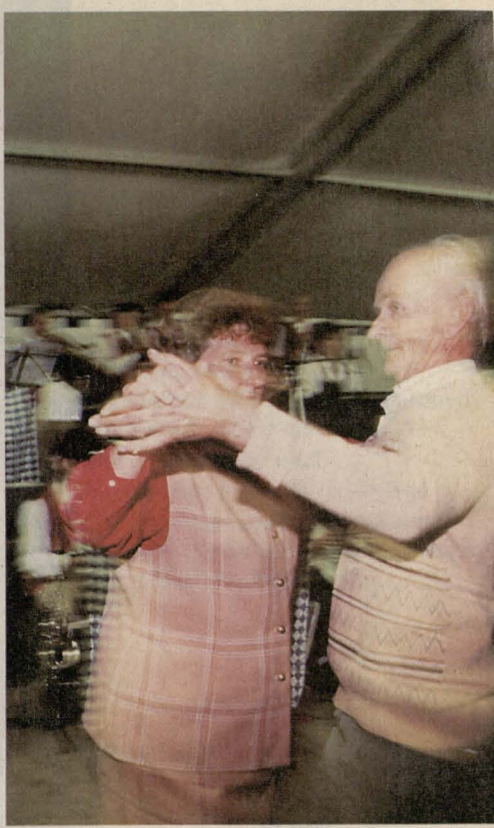
Członków mniejszości niemieckiej w Polsce nikt dokładnie nie policzył.

Bońskie ministerstwo spraw wewnętrznych ocenia ich liczbę na milion osób.

Zdaniem wójta Miczki niewielu jest Ślązaków, którzy, przesiedliwszy się do Niemiec, powrócili na ojcowiznę.

Ostatnią wielką falę emigracyjną jego gmina przeżyła z końcem lat 80. Co dziesiąty mieszkaniec zapakował się w polskiego fiata i wyjechał do Niemiec. Jak podaje Instytut Śląski w Opolu, w latach 1979–1988 z Polski wyemigrowało 278,8 tys. osób. Wśród emigrantów przeważali mieszkańcy dawnego woj. opolskiego i katowickiego – 134,5 tys. osób. Polacy mający przodków, którzy przed 1945 r. byli obywatelami Rzeszy, mogli wnioskować o niemieckie paszporty, zachowując polskie obywatelstwo. Liczby podawane przez różne źródła mówią o 50 do 700 tys. osób z takim podwójnym obywatelstwem.

Ilu z nich powróciło, trudno policzyć, bo niewielu dopełnia w urzędach obowiązku meldunkowego. Biją się stracić rentę albo się obawiają, że ludzie będą z nich szydzić jako z Volkswagendeutschów, którym się w Niemczech nie udało.



Nie wiadomo też, czy reemigrują na stałe. Wiele wciąż myśli o powtórnym wyjeździe, ale na Śląsku nikogo to nie dziwi.

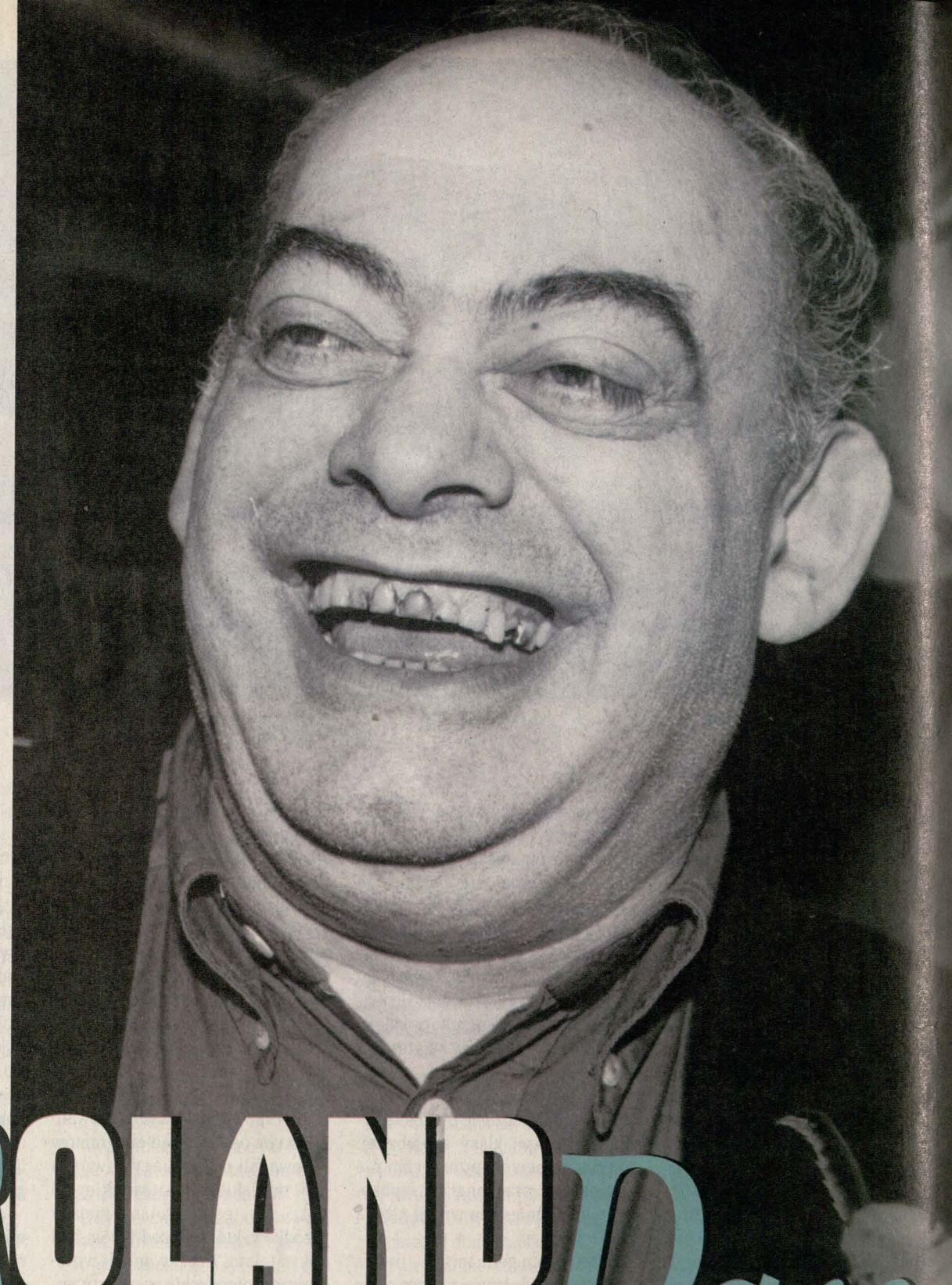
Jeśli małżeństwo Ślązaków znajduje dobrą pracę w niemieckiej fabryce, chętnie się tam przenosi. Mieszka w osiedlowym bloku. Dba o mieszkanie, a jednocześnie inwestuje w dom na Śląsku i tu spędza święta. W niemieckich gazetach często ogłaszają się sklepy i firmy: „Poszukiwani elektrycy z niemieckimi dokumentami”. Wahadłowy styl życia Ślązacy uważają za wygodny. Dla nich pojęcie emigracji i reemigracji nie istnieje.

– U nas – tłumaczy wójt Miczka – mieszają się przeciw różne opcje narodowościowe. To zjawisko typowe dla ludzi terenów pogranicza.

– Znam wielu Ślązaków mieszkających kilkadziesiąt lat w Niemczech – mówi Heinrich Kroll. – Gdy przyjeżdżają na święta, to nie do Opola czy Gogolina, ale, jak mówią – do domu. Do Heimatu właśnie. I pewnie już dawno by powrócili na stałe, gdyby u nas łatwiej było o pracę.

ELLA MAYER

FOT. BAPAL MIELNIK/AGENCJA GAZETA, KRZYSZTOF WOJCIK/FOTOFORUM (B), JASTACHOWICZ/FOTOFORUM



ROLAND Pan

Budował świat stoporniały – ZOO, w którym gromadził niepowtarzalną kolekcję lęków.

Był gruby i sprośny. Jak Marchołt. Lubił proste uciechy. Miewał zachcianki. Szwenadał się na piechotę po Paryżu. Nic sobie nie robił z salonów, lakierków i fraków. Pisał malowniczo, malował opisowo, lekceważąc dobry smak i uznane kanony. Jego legendarny śmiech przypominał zlatującą po schodach pustą beczkę.

Bliżej opisać go trzeba na wzór opisania młodych lat Gargantui w rozdziale jedenastym pierwszej księgi Rabelais'go. Budził z lubością zgorzenie. Pielęgnował obsesje. Za nic nie poleciałby samolotem. Siał wokół popiół z fajki. Wdeptywał w psie gówienka. Demonstrował piramidalny egotyzm. Wielbił beaujolais. Szargał świętości. Nienawidził motocykli. Zbierał głupie dowcipy. Nie cierpiał inkwizytorów. Oblewał się sosem. Gadał z taksówkarzami. Padał ofiarą maszynki do golenia. Pluł na gwiazdy kultury masowej. Gubił guziki od rozporka. Tępił bachory. Nie krępował języka. Czuł trwogę przed komornikiem. Nie czyścił pazurów. Drwił z turystów. Popadał w śmieszność. Przewracał ślepiami do kobiet. Cenił księży ateistów. Z zamkniętymi oczyma przebiegał przez jezdnię. Nagminnie psuł parasole. Wpadał na pomysły. Jadał dużo i głośno. Cenił nierobstwo. Pracował jak szatan. Kończył w ostatniej chwili. W anatomii cenił zwłaszcza otwory.

Krótko mówiąc – był plebejski.
Roland Topor.

Topor to strefa erogenna na ciele współczesnej sztuki. – Właśnie odkryłem na własnym ciele nieznaną strefę o powierzchni około dwóch centymetrów kwadratowych – oznajmiał znajomym. Malowanie było dlań czynnością zmysłową. I było to po nim znać. Upaprany tużem, z farbami na rękawach i kolanach, włączał w obręb swych prac koliste ślady po kieliszkach, plamy wina, zacieki kawy. Może i kapki z nosa. Wzloty artystycznej kreacji uziemiał czynnikiem cielesnym i doraźnym. Jakby wyjęto go z rozpraw Bachtina o kulturze skarnawalizowanej. Tak budował wokół siebie świat stoporniały – zoo, w którym gromadził swą niepowtarzalną kolekcję lęków.

Jego strachy żyły, a on żył z nich. Lęk nie był tematem, lecz samą materią jego sztuki. Nie tyle opisywał lęki, co je uzewnętrzniał. Nie demonstrował ich, lecz nimi porażał. Plakaty, opowiadania, rysunki, dramaty budowały sytuacje prowokujące: czasem śmieszne, czasem potworne, czasem ohydne, lecz zawsze nie-wyobrażalne. I to jest ich najbardziej uderzająca cecha.

Co lato nad jezioro Loch Ness zjeżdżają tabuny ciekawych, czekając na objawienie się nie istniejącego potwora, który podobno tam mieszka. On był zdania, że nie zwracając niczyjej szczególnej uwagi, potwory objawiają się wszędzie. I na dodatek istnieją.

Wytworne umysły uważały ten pogląd za miazmaty. Żyd, pornograf, tandeciarz, brutal, mason. Traktował to jako kosztą własną. Jak błoto, które chłapie na kogoś, kto wznosi wokół siebie fortyfikacje. Bo tym się właśnie zajmował. Musiał być tak ostry, bo był aż tak bezbronny. Na jednym z bardzo wczesnych rysunków sportretował się w postaci jeża w klatce z kolczastego drutu. Nie wiadomo, czy to opresja, czy obrona, czy ekspansja kolczastości na zewnątrz. Jesteśmy bezradni – powiedała – wobec oczywistych faktów: możemy tylko starać się nimi owładnąć, włączając je do gry.

Jego sposób bycia nie był kulturalny, ale kultura stanowiła jego sposób na bycie. Mityzował i poetyzował rzeczywistość. Świntuszenie dla bardzo dorosłych łagodził klimatem infantylizmu. Okropieństwa rozbierał humorem. Z niebywałą łatwością wyrzucał ze swego wnętrza niepokojącą poezję. Na jednym z jego warszawskich spotkań, gdy mówiono o wszystkim naraz, a rozmowa zeszała na zęby, zapamiętałem błyskawiczną improwizację:

W jesieni zęby żółkną jak liście.

Na wiosnę zęby zielenieją.

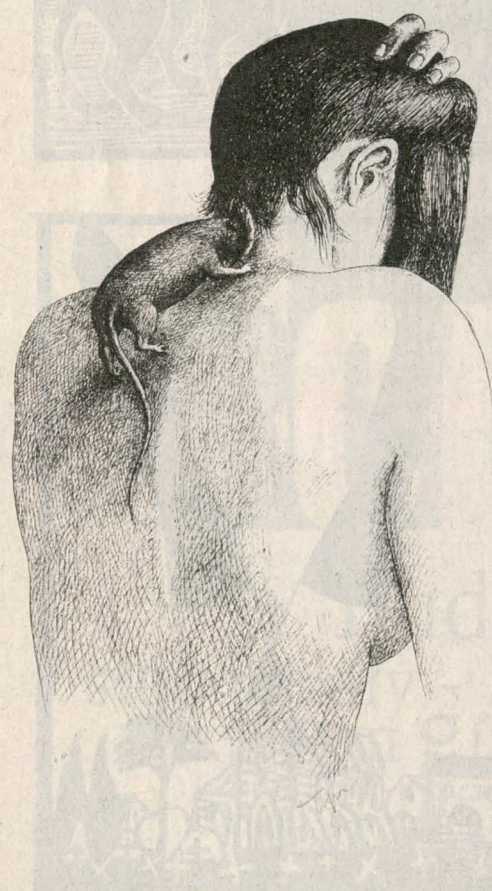
W zimie zęby robią się sine.

W lecie zęby są na wakacjach.

Pięć minut potem oznajmił, iż wynalazł ubrania równie ciepłe i miękkie w dotyku, jak te, które się nosi, tyle że przezroczyście. „I, wyobraźcie sobie, nie chce się nimi zainteresować żaden kreator mody!” A w chwilę później snuł plany telewizyjnej audycji o sztuce, w której dysku-

Wystawa prac ROLANDA TOPORA w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie (11.01–4.02) była największą europejską ekspozycją od śmierci tego twórcy w 1997 roku. Zaprezentowano na niej 150 rysunków, grafik, plakatów, malarstwa, projektów scenograficznych i kostiumów teatralnych. Właścicielem kolekcji jest syn artysty, Mikołaj Topor. Nieformalnym hasłem wystawy był cytat z Francois Cavana: „Ludzie tego nie chcą, bo nie myślą, gazety tego nie drukują, bo są zaprzędane”. Warto przypomnieć, że prace Rolanda Topora po raz pierwszy w Polsce były prezentowane niegdyś na naszych łamach, za sprawą Mariana Eilego, twórcy „Przekroju”.





towaliby ubrani mężczyźni i naga kobieta. Malowane „Śniadanie na trawie” nie gorzy nikogo, ale wystarczy zmienić medium na takie, które ma większą liczbę widzów. Cóż by to był za skandal!

I legendarny śmiech.

Po polsku niby nie rozumiał, ale trzeba było uważać. Choć, oczywiście, był nie lada problem z wyjaśnieniem mu, co może oznaczać wymyślone na jego cześć słowo „roztoporzyć się”. Nie szło ani po francusku, ani po angielsku. Myślenie zniechęca.

Był jedyny w swoim rodzaju. Myślałem, skąd się wziął. To jasne: z narodu, który zawsze żył w cieniu zagrożenia i z własnej wojennej traumy, kiedy to jako malec, ciągnięty przez matkę za rękę, gdy było trzeba biegiem opuszczać namierzone przez szmalcowników lokum, potykał się na ulicy o nakrytego gazetą trupa. I te spojrzenia z ukosa. A potem z podglądanych oczyma miejskiego dziecka patriarchalnych obyczajów francuskiej wsi: podcierania się łopuchem, wyszczerzonych pod kościołem przyglupów, piskliwych obłąpek na sianie, zdechłego kota, w którym mrowi się robactwo, byka skaczącego na krowę, porodów w chałupie.

A później z opowieści o tym, co na wojnie porabiali starsi. O ćwiartowaniu padłego konia, donosach, szantażach, ucieczkach, rozwałkach, torturach. Obozach koncentracyjnych. O powolnym smakowaniu zgrozy. Ofiara jest dla kata obiektem erotycznym, o czym obie strony dobrze wiedzą.

A później także ze spotkania z surrealizmem. Z wodzowskich praktyk Bretona i złowieszczych aforyzmów: Burzyć logikę aż do absurdu, burzyć absurd aż do rozumu. Z metod kreowania nadrzeczywistości: Fallustrada to produkt alchemiczny, złożony z autostrady, balustrady oraz pewnej liczby fallusów. Z olśniewających żartów: Zwierzęta są piękne, gdyż są nagie – wewnątrz także; Należy bić matkę, póki jest młoda; Słonie są zaraźliwe...

I jeszcze z lat 50., gdy ustalony obraz świata zaczął kruszyć się pod naporem nowoczesności. Gdy rozpleniły się warczące pralki, wrzaskliwe telefony, ciekące lodówki, złośliwe odkurzacze, kapryśne windy. Samochody o dziwnych mordach. Gdy wszystko to jęła zdobyć martwa, sztywniacka, sterylna sztuka nowoczesna. Z buntu wagabundy przeciw tej obojętnej elegancji, zawodnej



Roland Topor: Podpisy pod rysunkami są dla idiotów



technice, przeciw wędrownym tłumom, spalinom, bezdusznej rozrywce. Doprawdy, czasem się zdaje, że Topor w swych pomiętych spodniach i z nieobecnym wyrazem twarzy wyszedł wprost z któregoś filmu Jacquesa Tati - na przykład „Mojego wujaszka”.

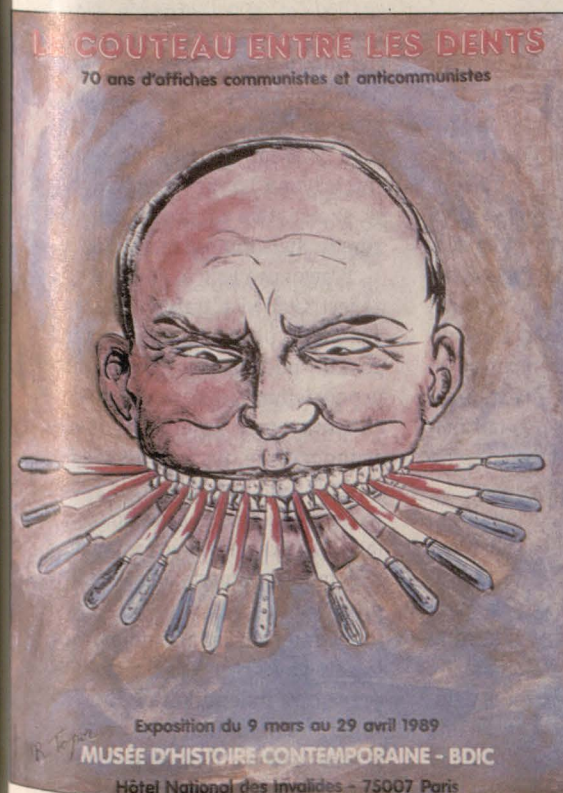
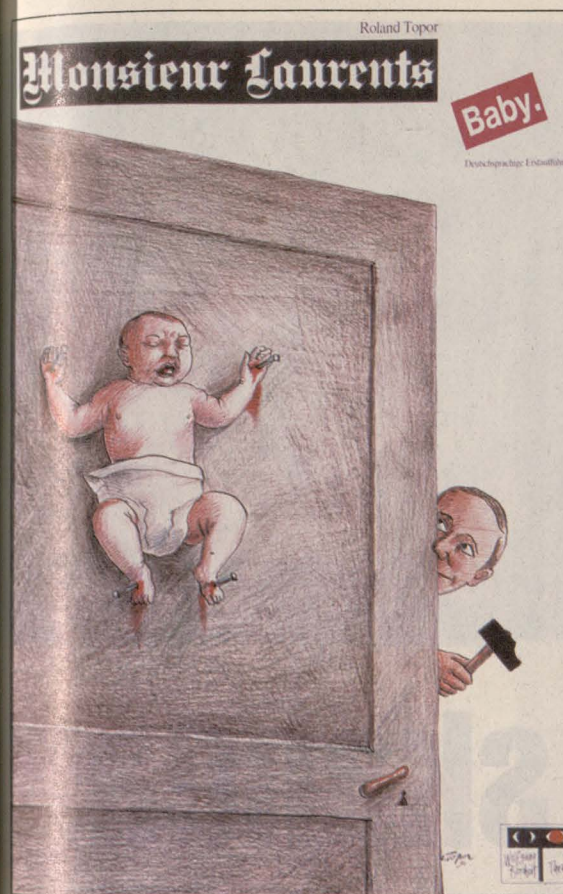
A wreszcie wziął się z przekory wobec stosów wydawnictw o sztuce - tych na kredowym papierze, w twardej, lakierowanych okładkach, z reprodukcjami, na których błyszczą te nawet obrazy, które w rzeczywistości nie błyszczą. W obliczu tego potopu quattrocenta, baroku, Etrusków, Japonii i Wenecji, Egiptu i Delacroix, Holendrów wielkich i małych, a także Maneta z Monetem - postanowił rysować źle, malować szpetnie, naruszając bieg linii, gwałcąc perspektywę, kładąc niechlujnie kolor. Jeden z najświetniejszych jego linorytów to autoportret, na którym stoi, pięknie zaokrąglony (szyi brak absolutnie, dymek z cygara) naprzeciw klasycznego damskiego torsu na rzeźbiarskiej kawalecie: ten biust, te loki, ten marmur... Jest cały w tej konfrontacji, której ironia powala najzupełniej nieostrzegalnym sposobem.

Wszystko to razem składa się na zjawisko, które miał fantazję nazwać sztuką paniczną. Była nawet grupa paniczna: Cieślewicz, Jodorowski, Arrabal, Sternberg. Była - a właściwie nie była, bo jej nie zawieszono w obawie, że trzeba by kiedyś rozwiązać. Zabawa - mówiono. Lecz może i nie zabawa, bo patronem paniki jest Pan. Ten grecki, syn pasterza Kratisa i kozy. Rogaty, leniwy, nietrzeźwy, tu i ówdzie włochaty, zażarty na nimfy. Głowę daję, że podobny (prócz rogów) do Topora. Dobroduszny (prócz chwil, gdy go nagle budzono), posiadał jednak straszną władzę: znał sekret szczenia lęku. Umiął nagle posiąć wśród wszystkich (stąd imię) niepowstrzymany strach bez powodu. Strach przed życiem jako takim, przed człowieczeństwem, przed samym strachem. I ten strach zmienił się naraz w wielki śmiech, śmiech ulgi, śmiech bez powodu z życia jako takiego, z człowieczeństwa, z samego strachu.

Plutarch opowiada, że w czasach cesarza Augusta pewien fenicki żeglarz usłyszał na pełnym morzu rozdzierający szloch, a potem głos znikąd, oznajmiający: Wielki Pan umarł! Mógł to być głos nimfy Echo, gdyż Pan kochał nimfę Echo.

Odtąd odradza się czasem w którymś ze śmiertelników. I znów umiera. A wtedy czekamy, bo nie sposób żyć bez tego boga.

**JAN GONDOWICZ
ZDJĘCIA PAWEŁ KLEIN**





Był kiedyś skandal



Choć o skandale obyczajowe jest na ekranie coraz łatwiej, polecam niemiecki film Maxa Faerberboeck „Aimee i Jaguar”.

Po pierwsze dlatego, że oparty jest na faktach, co w tym wypadku zapewnia mu pikantną wiarygodność. Po drugie – bo ma uzasadniony i własny kontekst historyczny. Po trzecie – gdyż w poważnej obudowie epickiej udało mu się stworzyć klimat rzeczywistej opowieści miłosnej. A również i dlatego, że w tym, co jest zarówno interesujące, jak i niejednoznaczne, a nawet estetycznie i obyczajowo podejrzane – otrzymujemy tak znakomite aktorstwo, że warto to na własne oczy zobaczyć.

Opowieść o Aimee i Jaguarze, czyli o Lilly Wust i Felice Schragenheim ma długą historię. W 1943 r. w Berlinie piękna i elegancka pani Felice, tłumaczka, trochę niby dziennikarka poznaje i uwodzi Lilly Wust – żonę i matkę czworga dzieci. Mąż Lilly walczy na froncie, ona zabiegana i przerażona walczy o przetrwanie rodziny. I zaczyna się opowieść o miłości, z jej wszystkimi etapami i formami. Od osaczania „ofiary”, co zresztą Felice, niczym

Cyrano de Bergerac, czyni dzięki najpiękniejszemu listom miłosnym pisanym do „Aimee”, a podpisywanym „Jaguar” (bo Felice jest tu „mężczyzną”), przez wszelkie wzloty, szaleństwo zazdrości, rozpacz zdrady, świadomość radości itd.

Prawdziwa Felice, gdy wykryto, że jest Żydówką, trafiła w sierpniu 1944 r. do obozu koncentracyjnego. Lilly podjęła wówczas jej „robotę podziemną”, ukrywając do końca wojny trzy kolejne Żydówki. Jednocześnie, jeszcze do 1948 r., poszukiwała bezskutecznie Felice, wierząc, że kiedyś powróci. W latach 50. opowiedziała „całą prawdę o tej miłości” amerykańskiej dziennikarce.

W dziewięć lat później powstała z tych zwierzeń książka napisana przez ową dziennikarkę, Erikę Fischer. Książka ukazała się także w Niemczech. To na jej podstawie powstał film. Pamiętam, że najbardziej wzruszającym momentem prezentacji tego utworu na 49. Międzynarodowym Festiwalu Filmo-

KINO NAPOMYKAJĄCE O ALTERNATYWNYCH MNIEJSZOŚCIACH SEKSUALNYCH (w dodatku pokazywane w naszym kraju)

- Kochankowie muzyki, reż. Ken Russell, Wielka Brytania 1970
- Ta przeklęta niedziela, reż. John Schlesinger, Wielka Brytania 1971
- Prawo pożądania, reż. Pedro Almodóvar, Hiszpania 1986
- Moja piękna pralnia, reż. Stephen Frears, Wielka Brytania 1986
- Moja własna Idaho, reż. Gus van Sant, USA 1991
- Gra pozorów, reż. Neil Jordan, Wielka Brytania 1992
- Żegnaj, moja konkubino, reż. Chen Kaige, Chiny 1993
- Filadelfia, reż. Jonathan Demme, USA 1993
- Priscilla, królowa pustyni, reż. Stephan Elliott, Australia 1994
- Książę, reż. Antonia Bird, Wielka Brytania 1995
- Love is the Devil: Szkic do portretu Francisca Bacona, reż. John Maybury, Wielka Brytania/Francja/Japonia 1998

wym w Berlinie w 1999 r. było to, że zjawiła się na scenie, podtrzymywana przez aktorki odtwarzające główne postacie filmu – maleńka, krucha, blisko dziewięćdziesięcioletnia prawdziwa Lilly Wust.

Na ekranie grała ją Juliane Koehler. Wówczas była tylko aktorką teatralną. Ten film zapoczątkował jej karierę ekranową (teraz oglądamy ją u Wojciecha Marczewskiego w „Weiserze”). Ale prawdziwym odkryciem filmu była niezwykła Maria Schrader w fascynującej roli Felice. Obie otrzymały Nagrody Aktorskie na ówczesnym festiwalu. Nagrodę otrzymał też polski kompozytor muzyki w tym filmie – Jan A. P. Kaczmarek.

Czym jest ten film, który tak bravurowo i obrazowo pokazał rozpad „niemieckiego świata nazizmu”? Czy jest próbą wtłoczenia w jedną fabułę wszystkich kompleksów historycznych? Czy też sprytnym wykorzystaniem potrzeby skandali wszelakich? Kto to dzisiaj rozpozna.

MARIA MALATYŃSKA

„Aimee i Jaguar”, reż. Max Faerberboeck. Niemcy 1999.



● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● WYBITNE ●●●●● ZNAKOMITE



EGOIŚCI. Trudno nie dostrzec błędów, jakie tym razem popełnił jeden z naszych lepszych reżyserów, pokazując w dzisiejszej Warszawie wątki podobne do tych ze „Stodkiego życia”. Choćby obsada: mizerny Olaf Lubaszenko i hadki Rafał Mohr nijak nie mogą dać odpowiedników Mastroianniego i złotej młodzieży Rzymu. Ale z drugiej strony jest tu Jan Frycz, heroicznie broniący swej kreacji i jest ambitna wizja stanu rzeczy, której gorzka powaga, na tle rodzimego uwiądu, da się ostatnio porównać tylko z „Długiem”. Drogi widzu, nie będziesz miał przyjemności, ale jeśli ciekawi cię zapadająca w pamięć synteza polskiego japiszoństwa, to poświęć 100 minut. (AG)

Reż. Mariusz Trelński, Polska 2000



●● + ● za fikołki

GRANICE WYTRZYMAŁOŚCI. Przyzwoicie skrojona, sprawnie opowiedziana przygodowa relacja z karakorumskiego szlaku. Film z rodzaju tych, które są z widzom jedynie w trakcie seansu. Ale dobre i to. Komercyjnie uwikłana wyprawa na Czogori kończy się utknięciem trójki wspinaczy w lodowej rozpadlinie. Na ratunek podąża grupa mistrzów liny, w tej liczbie dwu złączonych z uwięzionymi ciężarem przeszłych wydarzeń. Ekwilibrystyczne fikołki na skalnych występach, bravurowe szarże helikopterem oraz nitroglicerynowe wybuchy wśród śnieżnych fontann podawane są ze znośnym napięciem i natężeniem. Odgłosy tarcia o kamień nazbyt spiżowych charakterów czy sterta nieprawdopodobieństw wysokości kopca Kościuszki szczęśliwie nie naruszają granic wytrzymałości widzów. Rozgrywająca się na wysokościach akcja nie wspina się na myślowe bądź duchowe wyżyny – cóż, lekkie niedotlenienie – oferując w nagrodę ładne pejzażyki i dwie godziny całkiem zgrabnego widowiska. (TP)

Reż. Martin Campbell, USA 2000



MARKIZ DE SADE. Wbrew pozorom nie jest to skandalizująca biografia markiza i twórcy sadyzmu. To raczej epizod z jego bogatego życia, który twórcy potraktowali jako soczewkę skupiającą nie tylko jego osobowość – ale przede wszystkim filozoficzny światopogląd, tak w teorii, jak w praktyce. Nie jest to film dla śliniącej się gawiedzi. Obserwujemy markiza w czasie jego pobytu w półzamkniętym zakładzie w Picpus w okresie wielkiego terroru 1794 r. Sade pisze, filozofuje, inscenizuje spektakle, prowadzi także otwartą grę z młodą dziewczyną, która stoi u progu inicjacji. Wszystko to podane w sposób nieco teatralny, z potoczystymi wypowiedziami protagonisty. W tle – wielka rewolucja, pokazana oszczędnie, ale gęsto i bynajmniej nie zdawkowo. Cały spektakl umieszczono jednak na barkach jednego aktora – absolutnie rewelacyjnego Daniela Auteuila, od którego nie można oderwać oczu. To znakomite posunięcie realizatorskie – bowiem demoniczny markiz uzyskał sympatyczną fizjonomię i szczerą twarz tego wielkiego aktora. Auteuil gra w sposób jednocześnie skupiony i ciut zdystansowany – i ta pozorną sprzeczność stanowi o sile filmu. Powstało dzieło elegancie i kulturalne, a pokaz sadyzmu w praktyce tchnie – o dziwo! – taktem i szlachetnością. Zobaczmy już niedługo – przed nami premiera „Zatrutego pióra” – jak z tą samą tematyką i postacią poradzą sobie Amerykanie. (JAZ)

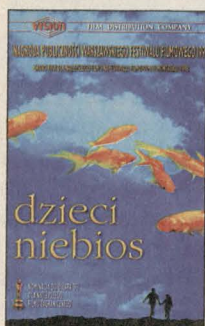
Reż. Benoit Jacquot, Francja 2000



DWOJE NA PARKIECIE.

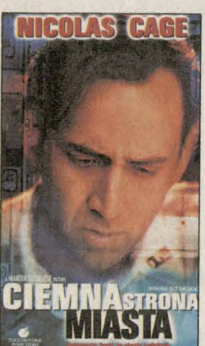
Kontynuacja hitów o uroku popisowego tańca towarzyskiego. Opowieść o tym, jak pewnego biurowego czterdziestolatka skusiło inne życie. Po „Roztańczonym buntowniku” z Australii – film z Japonii, gdzie „wirujący seks” (tak ongiś ślicznie nazwano u nas „Dirty Dancing”) jest równie nieobyczajny, co tango dla dam królowej Wiktorii. I właśnie dlatego dało się w tej melokomedii powiedzieć więcej o pragnieniach i tęsknotach bohaterów. Polubi ich też ktoś nie znoszący pretensjonalności konkursów parkietowych. Ha, grozi mu nawet zmiana poglądów na całość zjawiska, gdy zobaczy zwiewny quickstep z Blackpoolu. (AG)

Reż. Masayuki Sui, Japonia 1995



DZIECI NIEBIOS. Pod pretensjonalnym tytułem kryje się rzecz szlachetna, promieniująca świeżością i pierwotnym pięknem. Chłopiec z żyjącej w biedzie teherańskiej rodziny zapodziewa załatane buty swej młodszej siostry. Teraz, by pójść do szkoły, zmuszeni są do wymiennego używania jednej pary rozczłapanych tenisówek. Z heroicznym poświęceniem małe postara się przywrócić rodzeństwu poczucie elementarnej godności. Naiwna, prosta opowieść – udanie odwołująca się do neorealizmu – ma krystalicznie przejrzystą, wyważoną konstrukcję wypełnioną przez urzekające surową urodą kadry. Relacje między postaciami ukazane są z czułością, lecz bez roztkliwiania się. Dzieło następnego, po Kariostamim, Irańczyka zdobywającego świat (głównie festiwalowy) wzmacnia, nadwątloną ostatnimi czasy, wiarę w możliwość powstawania nowoczesnego, żywego kina o poważnych zamiarach. (TP)

Reż. Majid Majidi, Iran 1997



CIEMNA STRONA MIASTA.

Twórca kongenialnego „Taksówkarza” po raz kolejny bada mroczną stronę Nowego Jorku. Bohaterem jest popadający w stany paranoiczne sanitariusz pogotowia ratunkowego (monotonny Nicolas Cage). Prześladują go duchy zmarłych pacjentów, przeżywa kryzys za kryzysem. Pomysł wyjściowy interesujący, ale strona myślowa dzieła nie najwyższych lotów. Scorsese jest wielkim reżyserem i po raz kolejny ukazuje wirtuozerię swojego warsztatu. Jednak walory spektaklu nie mogą zagłuszyć jałowości wywodu, mialkości refleksji i pretensjonalnych monologów bohatera. Popis reżyserski – jak najbardziej, ale dzieło chybione i nieudane. W sumie – od wielu, wielu lat najstarszy film genialnego nowojorczyka. (JAZ)

Reż. Martin Scorsese, USA 1999

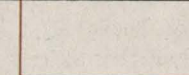
Kasety udostępniła sieć wypożyczalni „Beverly Hills Video”.

Świat chory na chaos

Salman Rushdie jest pisarzem, który bardziej niż jakikolwiek inny doświadczył na własnej skórze szaleństwa naszego świata. Przekonał się, że nawet z pozoru niewinne dzieło sztuki, jakim była jego powieść „Szatańskie wersety”, może tak wzburzyć religijnych fundamentalistów, że spowoduje wydanie wyroku śmierci. Od lat żyje więc w ukryciu otoczony ochroniarzami zapewniającymi mu bezpieczeństwo. Wyobraźnia podpowiada, że takie życie musi być koszmarem. Nic dziwnego, że w końcu postanowił dać literackie świadectwo tego, że żyjemy w świecie, który zwariował. Nie odwołał się bezpośrednio do własnych doświadczeń – to byłoby chyba zbyt proste, płaskie, może też nie nabrał jeszcze koniecznego dla prawdziwej literatury dystansu wobec tego, co dzieje się z nim samym i wokół niego. Poszukał sytuacji i postaci, które pozwoliłyby mu stworzyć metaforę tego szaleństwa. I znalazł. Powstała powieść niezwykła, wieloznaczna, zmuszająca czytelnika do sporego wysiłku i męcząca jak każdy

koszmar, ale też na swój paradoksalny sposób piękna i prawdziwa. Taka jednak, w której bardziej od realiów portretowanej rzeczywistości ważny jest klimat i nastrój, w jaki wprawia w trakcie lektury. „Ziemia pod jej stopami” zmusza do tego, by się jej poddać, wejść w nią całkowicie i podążać wytrwale za dogresjami, krążyć wraz z autorem wokół opowiadanej historii, która rozwija się meandrycznie, ale – jak się okazuje na końcu – konsekwentnie. Proste i jasne okazuje się jednak jej finałowe przesłanie. Zawiera się ono chyba w stwierdzeniu, że ziemia, która była terenem i niemym świadkiem wszystkiego, co na jej powierzchni wyrabiali ludzie wreszcie „po prostu – jak każe Rushdie przypuszczać narratorowi powieści – rozchorowała się od naszej chciwości, próżności, okrucieństwa, bigoterii, nieudolności, niewiści, ma dość naszego mordowania śpiewaków i innych niewinnych istot”. Jaka może być jej reakcja? Może chce nas pochłoniąć, pękając i wciągając w swoje piekielne głębie wypł-

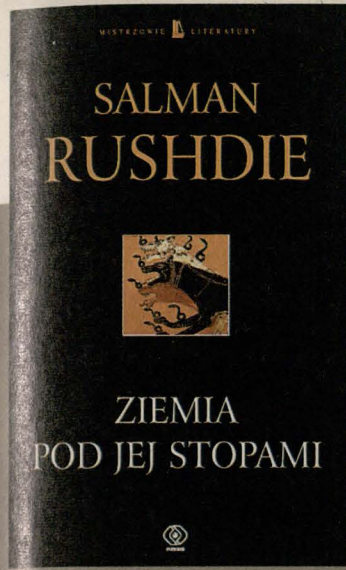
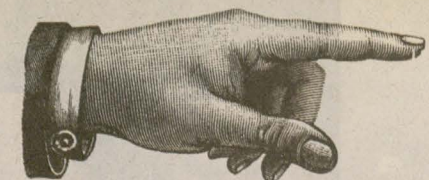
ZDANIEM mojej ŻONY...



...prowokacja literacka jest niezbędnym warunkiem rozwoju kultury. To powiedziawszy, moja żona położyła się na podłodze w dużym pokoju (który, nie wiedząc czemu, nazywała salonem) i umieściła na sobie najgrubszą książkę, jaką udało się jej znaleźć na półce. Były to dzieła Stanisława Lema, tym razem zebrane w jednym tomie. „Popatrz – wystękała z trudem spod Lema. Ileż tu podtekstów. Ktoś dopatrzyłby się tu subtelnej aluzji do awangardowego dzieła sztuki nowoczesnej. Ktoś inny mógłby po-

wiedzieć, że leżę przygnieciona ciężarem arcydzieła, które pogrzebało pisarskich nieudaczników. Psychoanalityk dorzuciłby, że literatura stłamsiła moje libido. Feministka – że uciska mnie opresywny, męski dyskurs. Sąsiadka – że nie potrafię nawet odkurzać książek. Lem – że zamieniłby się ze swoimi książkami. Popatrz, na ile sposobów można ten gest odczytywać – szeptala, z trudem oddychając spod opasłego tomiścza. Najlepsze jest jednak to, że to nic nie znaczy. Słuchaj, ja po prostu leżę pod książką i nic nie znaczę!”. To ostatnie wyznanie spodobało mi się najbardziej.

mąż



nie one lawą i ogniem, ale może najpierw jeszcze nas ostrzeżać, potrząsać swoją skorupą – tak pisarz, z adawaną naiwnością, interpretuje serię trzęsień ziemi, których my, Europejczycy, na szczęście jesteśmy tylko świadkami. Ziemia pod naszymi stopami jest więc kruchą granicą rozdzielającą obszar występkę od obszaru kary. Charakterystyczne, że dla Rushdiego na przykład nie wojny są ostatecznym wyrazem szaleństwa ogarniającego świat, ale chaos, jaki w nim panuje. Chaos, który jest efektem „trzęsienia” kultury, przeplatania się, mieszania rozmaitych tradycji oraz systemów wartości. Nobliwy arystokrata może się okazać oszustem, młody człowiek – seryjnym mordercą. Jednak najbardziej jaskrawym przejawem tej kultury chaosu jest dla pisarza rock, zwycięsko kroczący przez świat i bez skrupułów włamujący się do wszystkich jego zakątków.

Muzyka rockowa czy może związana z nią subkultura, pożera wszystko, jej uniwersalność sprawia, że możliwa jest do zaakceptowania wszędzie, że choć pozornie anglosaska, to naprawdę jest na wskroś kosmopolityczna. Nie bez powodu bohaterka powieści, ogólnosiwiatowa gwiazda rocka, jest półkwi Hinduską i półkwi Amerykanką – to postać symbol, a jej los jest metaforą zagubienia czy może „wykorzenia” współczesnego człowieka. Wina Apsara, choć kocha, nie potrafi być wierna, choć jest artystką, nie jest osobą refleksyjną i twórczą. Dziwne? Bynajmniej, wystarczy bliżej przyjrzeć się wykreowanemu przez kulturę masową „wielkościom”, by dostrzec, że to raczej typowa postać. Jej życie uczuciowe jest skrajnie poplątane i dlatego osiłą całej opowieści jest historia trwającego kilkanaście lat trójkąta miłosnego. Taki po prostu jest nasz świat – zdaje się melancholijnie stwierdzać autor. Nie zamierza go za to potępiać, bo wie, że nic się tu nie da zmienić, ale ostrzeżać, że długie trwanie w podobnym rozchwianiu może doprowadzić do kompletnego chaosu.

LESZEK BUGAJSKI

Salman Rushdie: „Ziemia pod jej stopami”. Przeł. Wojśław Brydak. Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2001.

Nie do podrobienia



Rozmowa z Anną Krasnowolską orientalistką

Nie dziwi pani, że Salman Rushdie bohaterem swojej najnowszej powieści uczynił gwiazdę rocka?

A dlaczego miałyby mnie to dziwić? Kultura rozrywkowa jest bardzo istotnym elementem kultury współczesnych Indii. Rushdie konsekwentnie o tym pisze np. w „Szatańskich wersetach”, gdzie ten motyw jest bardzo wyraźny. Tam mowa o kinie ludowym, tu o muzyce rozrywkowej będącej mieszaniną muzyki tradycyjnej i zachodniej. **Czy nie ma już literatur narodowych z odrębną specyfiką, która przecież jest cenną wartością?** Odrębność zostaje. Kultury zawsze mieszały się ze sobą, ale teraz proces ten jest znacznie szybszy. Kultura Indii zawsze wchłaniała nowe elementy, np. mużułmańskie, co w powieściach Rushdiego jest widoczne, ale wchłonięła też różne elementy kultury kolonialnej i to trwa nadal. Coraz częściej dochodzą do głosu pisarze z obszarów pozaeuropejskich, poszerzając zakres literatury światowej o swoje własne doświadczenia, które są dla nas bardzo ciekawe. **Czy Rushdie, który urodził się w Indiach, ale od wielu lat mieszka w Anglii, będzie rozpoznawalny jako twórca związany ze swoimi korzeniami kulturowymi?** Tak, bo jego korzenie, tamta kultura są bardzo silne i nie do podrobienia. Cechą charakterystyczną jest jednak to, że on nie pisze o kulturze indyjskiej w izolacji, lecz w kontekście literatury zachodniej i w konfrontacji z nią. Myślę, że w ogóle wielokulturowość jest czymś bardzo cennym i płodnym dla sztuki.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ



Nadzieжда Mandelsztam: „Mozart i Salieri oraz inne szkice i listy”. Wybór, przekład i komentarz Ryszard Przybylski. Wydawnictwo SIC, Warszawa 2000

Czytelnicy polscy znający Nadzieжду Mandelsztam (1899–1980), żonę poety Osipa Mandelsztama, jedynie z wydanego u nas tomu wspomnień „Nadzieжда w beznadziejności”, mieli prawo, skutkiem niefortunnych skrótów dokonanych przez tłumacza, traktować

jej pisarstwo w kategoriach historyczno-dokumentalnego świadectwa. Ukazanie się książki złożonej z esejów, reportaży i listów przygotowanych do druku i opatrzonych komentarzami przez wieloletniego przyjaciela, tłumacza i znawcę twórczości Nadzieжды Mandelsztam, prof. Ryszarda Przybylskiego, szczęśliwie zmienia ten stereotyp. Nadzieжда Mandelsztam jawi się w niej już nie jako „świadek epoki”, ale przede wszystkim jako „świadek poezji” z niezmaconą pewnością stawiający kulturę ponad historią, niezależnie od tego, czy przedmiotem swojej refleksji czyni tajemnicę procesu twórczego, wspomnienie z dzieciństwa czy kwestię godności ludzkiej pracy. (TK)



Stephen King: „Serca Atlantydów”. Prószyński i S-ka, Warszawa 2000

Najnowsza książka Stephena Kinga to próba rozliczenia się ze złudzeniami swojego pokolenia. Mimo drobnych (jak to u Kinga) elementów nadprzyrodzonych, jest raczej powieścią obyczajową, która

w osobnych częściach cudownie oddaje klimaty: dzieciństwa na amerykańskiej prowincji; studenckich zabaw powoli zmieniających się w antywojenny (Wietnam) protest; pustych lat osiemdziesiątych i w końcu współczesności, którą często determinują drobne i blade, zdawałoby się, zdarzenia sprzed lat. Bardzo dobra książka mistrza horroru, który już nie musi straszyć, by napisać świetną historię, przykuwającą uwagę. (KMŚ)

Jarek Janiszewski znany z zespołów Bielizna i Czarno-Czarni, a w tej chwili frontman nowego zespołu Doktor Granat, odpowiada na pytania w sprawie płyty „Świadkowie Rocka”.

Wojownicy rock'n'rolla

Dr Granat



Jesteś liderem zespołu?

Raczej frontmanem – człowiekiem, który jest na pierwszej linii walki. Słyszę jakiś żargon militarny. Nazwa kapeli Dr Granat?

Dokładnie, jesteście oddziałem rock'n'rollowego frontu. Brzmienie naszej formacji nawiązuje do spontanicznego, żywiołowego i energetycznego rock'n'rolla. Wszyscy zakochali się w loopach, w dźwiękach hip-hopowych, więc Dr Granat rusza

do ataku. Chcemy przywrócić blask źródłowym dźwiękom rock'n'rolla. Napisałeś wszystkie teksty. Widoczne w nich są jakieś surrealistyczne konotacje.

Od początku swojej działalności, czyli od płyt Bielizny, kochałem się w pisaniu krótkich historyjek o czymś. Zawsze starałem się, aby wszystkie teksty, które napisałem – dla Bielizny, Czarno-Czarnych, a teraz dla Dr Granat – były o czymś,

dlatego na płycie znajdziesz kilka zaskakujących historyjek o tajemniczych finałach. Przykładowo: jedna jest o kolesiu ze szpadlem, który przekopuje cały świat i łąduje wreszcie w Kanadzie, bo znalazł żydowski skarb. Życie przynosi wiele takich sytuacji, jestem rozkończony w dziwnej obyczajowości, dlatego moje teksty są trochę surrealistyczne. Generalnie starałem się, żeby płyta była na tyle interesująca, by można ją by-

ło z przyjemnością wysłuchać od początku do końca. Staram się szanować słuchacza i nie sprawiać, że po jednym czy dwóch tekstach masz dość, bo już wiadomo, że następne utwory będą kalką poprzednich. Tytuł płyty „Świadkowie rocka”. Nie wiem, czy nie kojarzą zbyt odległe, ale brzmi on jak Świadkowie Jehowy. Dobrze. Na okładce widać setki osób ubranych w białe wdżianka. Jest to grupa pielgrzymów podąża-

DOKTOR GRANAT

„Świadkowie Rocka”

DOKTOR GRANAT. Debiutancka płyta „Świadkowie Rocka” nie oznacza wcale muzycznego debiutu, gdyż muzycy wchodzący w skład zespołu dokonali już wiele. Nowa formacja, więc nowa energia, tym razem rock'n'rollowa, z dodatkiem punka, ska i reggae. Trochę trąbek i saksofonów oraz wyjątkowy w brzmieniu głos wokalisty (mieszanki Toma Jonesa z zawołaniem psa Huckelberry). Tekstowo naprawdę niezłe, na pewno zabawnie. (TSE)

BMG

jących do Stonehenge – angielskiego, megalitycznego okrągłaka. Tytuł ma sens w kontekście z okładką – trochę prześmiewczy, ale jeżeli ktoś będzie odbierał na tych samych falach, to wystarczy, aby otrzymał informację, że dzieje się coś energetycznego. Na zdjęciu, które mam przed sobą, widać całą kapelę – wszyscy jesteście bardzo radośni – czy to również jakaś ścieżka interpretacyjna?

LAZARUS

● Rodzina bestialsko zamordowanej Elyse Pahler wniosła do kalifornijskiego sądu pozew przeciwko heavymetalowej grupie Slayer i jej wydawcy, American Recordings. Zdaniem rodziców ofiary utwory „Postmortem” i „Dead Skin Mask” stanowiły dla trójki nastolatków inspirację do morderstwa dziewczyny i gwałtu

KRÓTKO:



na jej zwłokach. Sąd oddalił wnioski. ● Jello Biafra zapowiedział odwołanie się od wyroku sądu w San Francisco, nakazującego mu zapłacenie byłym muzykom prowadzonej

przez niego grupy Dead Kennedys 200 tys. dolarów zaległych honorariów. Oskarżył on swoich byłych muzyków o bezprawne plany wydania płyt z rzadkimi nagraniami zespołu oraz o zgodę na użycie fragmentu utworu „Holiday In Cambodia” w reklamówce spodni firmy Levi's. Punkowy mentor uważa ich działania za profanację dokonań zespołu. (WK)



POLISZ MTV. Oj, rozczarowuje pierwsza składanka polskiego MTV. Ni ona zabawna, ni mądra. A Polskę nie wiedzieć czemu reprezentują tylko Funky Filon (!) i Myslovitz – widocznie modne stało się teraz promowanie muzyki o wartościach zerowych. Aż dziw bierze, że ludzie to kupują. Całości nie ratuje przyjemny Moby i śmieszne Toploader. (RZ)

BMG



RONI SIZE/REPRAZENT. Na nowej płycie Roni Size udowadnia, że nie ma sobie równych w tworzeniu zapętlonych rytmów. Album „In The Mode” otwiera nowy rozdział w historii muzyki drum'n'bass – poza rytmem słychać tutaj bowiem najprawdziwsze melodie. Majstersztyk nowej muzyki tanecznej, który zauroczy nawet miłośników techno. (WK)

Talkin' Loud



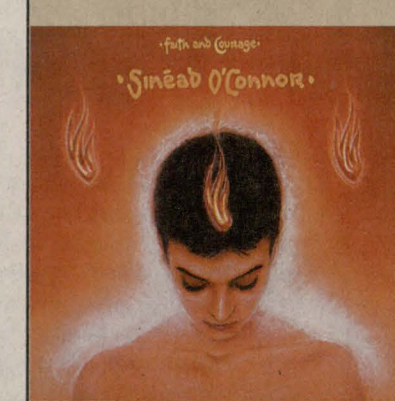
BOYZ II MEN. Płyta „Nathan, Michael, Shawn, Wanya” jest przykładem typowego brzmienia soulowego. Na albumie przeważają ballady, jak „Pass you by”, które są znakiem rozpoznawczym grupy. Krążkiem tym artyści po raz kolejny udowadniają, że należą do ścisłej czołówki wśród wykonawców tego gatunku na świecie. Nie sposób się z tą opinią nie zgodzić. (MG)

Universal



DAVID GRAY. Wiele hałasu o nic – idealna charakterystyka tej płyty. „White Ladder” to zestaw dziesięciu bezpretensjonalnych ballad polecany chorującym na bezsenność. Te piosenki – z delikatnym elektronicznym podkładem, gitarą pobrzekującą w tle – mają w sobie tyle oryginalności, co kot napłakał. Tylko – kto w takich grajków inwestuje? (RZ)

Warner

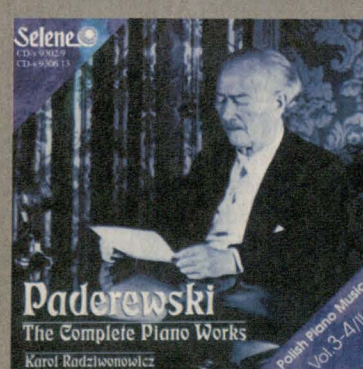


SINEAD O'CONNOR.

Długo czekała nam czekać na nową płytę najlepsza tysa wokalistka świata. W tym czasie włoski na głowie jej odrosły, a muzyka... Pewnie znajdują się malkontenci twierdzący, że „Faith and Courage” nie jest zbyt oryginalne, odkrywcze. Ale czy wokalistka klasy Sinead musi się silić na oryginalność? Ile razy trzeba potwierdzać swoją klasę? Nie wystarczy już dobre piosenki? A takich na nowym albumie jest sporo. Cudna ballada „Jealous”, gitarowo-jazgotliwy „Daddy I'm fine” czy seria piosenek zabarwionych irlandzkim folkliem. Album ten przepełniony jest różnorodną muzyką, co wciąga i dużą przyjemność słuchaczowi sprawia. Tylko tyle. (RZ)

Atlantic

CYMESIK DLA MELOMANA



ROK Z PADEREWSKIM

Trzy miesiące po przybyciu do Konserwatorium Warszawskiego trzynastoletni Ignacy Jan Paderewski trafił przypadkiem na lekcję skrzypków, którzy głowili się nad akompaniamentem do swojego koncertu. Młody uczeń usiadł do fortepianu i skomponował dla nich idealny podkład. Profesor zaproponował, by towarzyszył im podczas koncertu. „O, nie – zaprotestował chłopiec – grać to ja będę, jak się nauczę”. Utalentowany i ambitny, parę lat później zachwycił świat właśnie jako pianista. Doskonale rozumiejąc Chopina, również Beethovena, Schumanna wzbudzał podziw graniczący z uwielbieniem. Jednocześnie nie przestawał komponować. W znakomicie skonstruowanych miniaturach fortepianowych, sonatach, symfoniach czy operze nawiązywał do tradycji

romantycznej, do Chopina, Moniuszki, Wagnera. Wykorzystywał swój warsztat wirtuozów, fantazję i sięgał do muzyki narodowej. Można przekonać się o tym, wracając do Karola Radziwonowicza, który utrwalił wszystkie jego utwory fortepianowe. Menuet G-dur czy Sonatę es-moll wykonuje z wielką ekspresją i liryzmem, przywołując w ten sposób ducha autora. „Nie mamy słów. Idźcie i posłuchajcie go!” – pisano w ówczesnej prasie. Dziś, 60 lat po śmierci twórcy, przychodzi na myśl, że jako pianista urodził się za wcześnie. Natomiast jako kompozytor jest trochę niedoceniany. Być może rok 2001 uchronowany jego imieniem przypomni, że muzyka Paderewskiego nie jest pochowana razem z nim.

MAŁGORZATA KUCAB

Już starożytni Rzymianie...

MASKA

To, że politycy ignorują kulturę, można zrozumieć. Dlaczego jednak lekceważą maskę? Czyżby kojarzyli ją wyłącznie z teatrem? Już starożytni Rzymianie wiedzieli, że można się bez niej obejść na scenie, ale nie w życiu publicznym. Bo to był symbol statusu. Każdy, komu udało się dostać w szranki nobilitas, czyli urzędniczej administracji, otrzymywał przywilej posiadania własnej maski z wosku. Taką maskę wykonywano zwykle w szczytowym okresie kariery, gdy rysy twarzy były najszlachetniejsze. Przechowywano ją potem w domu,

w wielkiej szafie, która stała w atrium, razem z maskami zasłużonych urzędników-przodków. O randze obywatela świadczyła liczba masek. Można je było podziwiać z ulicy, bo szafę ustawiano tak, żeby była zewsząd widoczna, a drzwi zamykano tylko podczas żałoby. Maski wynoszono na zewnątrz wyłącznie podczas procesji pogrzebowych. Nakładali je wówczas wynajmowani aktorzy. Pogrzeb służył kampanii wyborczej, nie musiał być następstwem niczyjej śmierci. Ekscentryczni Rzymianie organizowali sobie niekiedy takie

uroczystości za życia. To zwiększało ich popularność wśród plebsu. Widowiska pogrzebowe kończyły się przemową wychwalającą zasługi i dokonania „zmarłego”. W pierwszym rzędzie na widowni zasiadali aktorzy w woskowych maskach przodków i bohatera uroczystości. Oto propozycja dla polityków okupujących urzędy. Przyznajcie sobie prawo do wykonania maski z wosku. Jesteście przebojowi, pełni pomysłów i przeżywanie okres rozkwitu, będziecie zatem wyglądać ładnie. Można by wasze maski trzymać w szafie na rynku. Kiedy popularność wam spadnie, zorganizujecie sfingowany pogrzeb wybranej losowo osoby, która na końcu, w obecności wszystkich innych masek, wygłosi pean o wyższości waszej partii. Imprezę, zwyczajem rzymskim, mogłyby wieńczyć walki gladiatorów.

MIROSLAW KOCUR



© TEATR MIEJSKI W GDYNI

Szczelina

Aktor Andrzej Pieczyński zajął się pisaniem sztuk teatralnych nie po to, by uratować polski teatr. I choć dramat „Zabić was to mało...” to jedna z najciekawszych ostatnio propozycji repertuarowych, jego cel był skromniejszy: powiedzieć parę zdań o cierpieniu.

Sztuka Pieczyńskiego zbudowana została tylko z dwóch scen – pierwsza to nagranie w radiowym studiu słuchowiska o przemocy w rodzinie. Jego autorka, nastoletnia dziewczyna, nie wytrzymuje napięcia i ucieka ze studia. W sekwencji drugiej znajduje się już w poko-

ju pani psycholog, szantażuje ją, że jej porwanemu dziecku stanie się krzywda. Bohaterka obu zdarzeń ma na imię Anka (gra ją Karolina Adamczyk), ale dalibóg nie wiem, czy to ta sama postać.

Pieczyński niczego nie domyka. Jego dramat skrywa fenomenalne pięknięcie, przez które mogą wślizgnąć się najróżniejsze interpretacje. Czy pisząca słuchowiska dziewczyna wspomina fakty ze swojej przeszłości? Czy może oglądamy fikcyjny życiorys, sytuację, która mogłaby się jej przydarzyć, gdyby nie poddała się resocjalizacji?

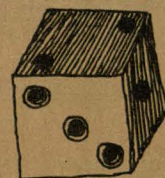
Rola Karoliny Adamczyk – aktorka jest raz drapieżna, a raz liryczna – niczego nie wyjaśnia, raczej mnoży tajemnice. Pomysł, żeby akcja działa się w szklanej klatce pośrodku wi-

downi, wynosi spektakl na kolejne interpretacyjne piętro. Najpierw jest to studio radiowe, gdzie rozluźnieni aktorzy dramatycznie brzmiącymi głosami wcielają się w postaci z dotkniętej przemocą rodziny. Ten zabieg obniża drastyczności tekstu, każe nam przyrzeć się konfliktowi z bezpiecznego oddalenia. Potem w opowieści Anki klatka przemienia się w pusty basen, w którym jej koledzy zabili pewnego studenta tylko dlatego, że Ance spodobał się jego pies.

Tekst Pieczyńskiego nie jest interwencyjny, to raczej studium charakteru, odkrywanie psychologicznych niuansów w motywacjach postaci. Widzowie jak niecni podglądacze obserwują, czym dla bohaterki staje się ów seans wyznań, szantażu i rozpaczliwych próśb o litość. W tle słychać cały czas audycję radiową lokalnej rozgłośni – dochodzą do nas doniesienia o kolejnych aktach agresji, morderstwach, katastrofach. Szczelina między rzeczywistością a fikcją staje się coraz większa i większa. W końcu ten świat pęknie na pół. Pieczyński pyta: dlaczego?

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr Miejski w Gdyni, „Zabić was to mało” Andrzeja Pieczyńskiego, reżyseria: Andrzej Pieczyński, scenografia: Marek Braun, muzyka: Robert Kaanan.



W Scenariuszu dla 3 aktorów Bogusława Schaeffera z ust jednego z bohaterów pada nieoczekiwanie taka rymowanka: „Waldemarze, Bóg cię skarże!” Długo nie wiedziałem, o co chodzi. Aż w końcu obejrzałem przedstawienie Waldemara Kotasa. Oto trzy propozycje kar dla pana Waldemara z krótkim uzasadnieniem:

1 Pomysł, żeby parę aktorów-seniorów przebrać w dziecinne ubranka i oszalałymi odpuścić kolorystyka dekoracji doprasza się o karę w postaci talonu na marynarkę od Armaniego, który reżyser Waldemar Kotas musiałby zrealizować w ciągu trzech dni na terenie województwa podlaskiego.

2 Za to, że Waldemar Kotas nie pozwolił zagrać swoim aktorom w odpowiednich dla ich wieku „Kzeslach” Ionesco, tylko sam napisał sztukę, w której głupiotki i infantylne rymy częstochowskie zasłaniają problem: jak oswoić się ze starością i śmiercią?, powinien w ramach

zadośćuczynienia przez miesiąc powtarzać ze sceny opolskiego teatru następujący wierszyk: „Mój dyrektor Zaczykiewicz jest mądry jak królewicz”. Radość będzie taka sama.

3 Karą za napisanie piosenki „Czas czarodziej, czas czarodziej pozamieniał nas...” powinna być jak najszybsza zamiana Waldemara Kotasa w krakowskiego krytyka. (ŁD)

Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu, „Czas czarodziej” Waldemara Kotasa, reżyseria: Waldemar Kotas, scenografia: Anna Popek, muzyka: Tomasz Krzemiński.



1. Pensionante del Saraceni, *Martwa natura z owocami i karafką białego wina*, ok. 1615 r.
2. Caravaggio, *Chłopiec z koszem owoców*, 1593–94 r.

Geniusze barokowego Rzymu

Otwarta niedawno (czynna do 16 kwietnia) w galerii Królewskiej Akademii Sztuki w Londynie wystawa „Geniusz Rzymu 1592–1623” znakomicie pokazuje wieczne miasto u progu baroku. Około 1600 r. Rzym stał się bowiem mekką dla artystów, którzy ściągali doń nie tylko z Włoch, ale z najdalszych zakątków ówczesnej Europy. Narodziny Rzymu jako ośrodka nowej rewolucyjnej sztuki historia zawdzięcza czwórce artystów: Caravaggiowi, Carracciemu, Elsheimerowi i Rubensowi.

Londyńska wystawa bada związki, jakie łączyły tych czterech malarzy z ich współcze-

snymi, przede wszystkim z kolejnymi papieżami: Klemensem VIII, Pawłem V i Grzegorzem XV. Malarstwo wielkiej czwórki, podejmujące tematykę rodzajową, portretujące prawdziwe życie, stało się bardziej naturalne, spontaniczne, i to znacząco odróżniało ich od malarzy renesansu. Stworzyli styl, który potem rozprzestrzenił się po Europie w wielu narodowych i regionalnych odmianach, ale wszędzie był i jest po dziś rozpoznawalny. Barok w swym przepychu i rozedrganiu chwalił urodę natury. Na obrazach zaczęły pojawiać się zmysłowe akty, patery uginające się pod ciężarem owoców. Artyści często portretowali wne-

trza karczm, domów uciech, z całą urodą i smakiem owego życia: wędrownymi muzykantami, oszustami, utracjuszami, tracącymi w grach całe fortuny. Mitologia i religia mieszały swe wątki, krajobrazy coraz bardziej pustoszały.

Na wystawie w Królewskiej Akademii Sztuki pokazano 150 najbardziej charakterystycznych dla baroku obrazów, prawie 50 artystów tego okresu, zwłaszcza Włochów. Dla uchwycenia atmosfery przepychu wnętrza kościelnego tamtego czasu przygotowano ogromną instalację składającą się z 16 barokowych ołtarzy.

AGNIESZKA PARTRIDGE

SAUDEK W ŁODZI

Świątną ekspozycję fotogramów Jana Saudka wspólnie z Czeskim Centrum urządzono w Muzeum Sztuki w Łodzi w rezydencji Księży Młyn. Wystawę pokazywano najpierw w Kijowie, niebawem trafi do Paryża, gdzie Saudka znają i kochają.

Saudek – znaczy bezwzględna oryginalność. Zaopatrzone w fotograficzne utensylia koneser pięknych kobiet szuka urody nie tam, gdzie chcieliby – a raczej kaźliby ją widzieć macherzy od urabiania gustów. On ma w sobie poczucie piękna; odnajduje i fotografuje ideały, które cudem chyba zaistniały w realnym życiu. Tu dziewczyna cienka, niemal przejrzysta, tam stukiogramowa, jak z barokowych obłoków; i jedna, i druga czy będzie lalkowata, czy sterana nawałem obowiązków, patrzy w obiektyw jak w oczy komuś dobremu. Saudek uwielbia swoje modelki; w jego oczach jest prawda: to się odbija w fotografiach.

Jan Saudek jest najstawniejszym fotografikiem czeskim. Zawsze niezależny, rocznik 1935, po studiach plastycznych, nie poddał się socrealizmowi, a nie mogąc żyć z realizacją swych śmiałych wizji, przez 30 lat pracował jako robotnik. Dał się poznać w latach 80. Dziś jego fotografiami szczycą się najsztywniejsze kolekcje światowe, m.in. Biblioteka Narodowa w Paryżu, Instytut Sztuki w Chicago, Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie, Ludwig Museum w Kolonii.

MARK SOŁTYSIK



REPR. PIOTR TOMCZYK

Saudek Piękna dziewczyna

Kliknę ci wiersz

Gdyby Mickiewicz napisał program komputerowy, wiedziałbym o nim wszystko – przekonuje nauczycielkę siedemnastolatek, wchodząc do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

Niczym ostatnie namaszczenie traktowali dawniej sędziwi pisarze się nagraniową dla Muzeum Literatury, podczas której utrwalali swój głos dla potomnych. Zatelefonowano kiedyś do mistrza pióra (nazwisko zastrzeżone), by potwierdzić termin nagrania.

– Mój mąż nie żyje – odparła żona – zmarł wczoraj. Odtąd rejestracji dokonuje się na tyle wcześniej, by zdążyć przed Panem Bogiem. Najstarsze głosy w zbiorach fonoteki należą do Józefa Piłsudskiego, Stefana Żeromskiego, Kazimierzy Iłłakowiczówny i Marii Dąbrowskiej. Najmłodsze do Olgi Tokarczuk, Manueli Gretkowskiej, Izabeli Filipiak i Marcina Barana, naszego redakcyjnego kolegi.

Mickiewicz u grafologa

O rękopis muzeum prosi zwykle pisarza w porę: nie za wcześniej, aby mu nie przewrócić w głowie i nie za późno. Kiedy więc pisarz jest dostatecznie wielki, by jego rękopisy przeszły do historii? Janusz Odrowąż-Pieniążek, dyrektor muzeum i prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, mówi, że musi być ogólnie uznany, ceniony i wybitny.

Muzeum ma rękopisy żyjących noblistów: Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza, ale również Sławomira Mrożka, Tadeusza Różewicza, Marka Nowakowskiego i nieżyjącego Stefana Kisielewskiego. Andrzej Szczypiorski wiele lat temu pozostawił w muzeum kilka pudeł swych rękopisów. Po śmierci pisarza najciekawszy zbiór pozostał w rodzinie.

Jeden z pracowników opowiada, że rola muzeum jest dosyć dziwna.

– Po śmierci pisarza, za zgodą rodziny, zgarniamy z domu to, co pozostało: rękopisy, fotografie, bibeloty.

Po śmierci Agnieszki Osieckiej pracownicy muzeum odwiedzili jej mieszkanie. Rzeczy poetki były już w większości spakowane. Ale pozostały setki zdjęć i dużo pamiątek.

Każdy bibelot to dowód, że poetka była sto procentową kobietą.

Hojne są tylko niektóre wdowy. Od Stefani Tuwimowej muzeum otrzymało w darze całe archiwum poety. Darem jest też archiwum Jerzego Andrzejewskiego. Ale niejedna wdowa sprzedawała zbiory po mężu, aby podreperować swój budżet. Czasem rękopisy dziadka przynosi do muzeum wnuk. Dla niego liczy się mieszkanie, papiery należy wyrzucić albo sprzedać.

– Za rękopisy nieźle płacimy – mówi kustosz i kierownik działu rękopisów, Tadeusz Januszewski. – Za 104 listy Hanny Malewskiej zapłaciliśmy 1800 zł, za 161 listów wybitnych pisarzy z Marią Dąbrowską na czele – 3,3 tys. Za list Tuwima – 250 zł, za list Johna Galsworthy'ego – 200 zł. Na aukcjach zagranicznych za list Adama Mickiewicza trzeba dać najmniej 3 tys. dolarów.

Tylko raz muzeum postanowiło dać rękopis do ekspertyzy grafologicznej. Po dwóch latach nadeszła bogato ilustrowana wykresami wielostronicowa odpowiedź. „Pewne cechy pisma – informował grafolog – wskazują, że może to być rękopis Mickiewicza, inne zaś, że raczej nie”.

Czar zielonego atramentu

Badacze literatury fascynuje charakter pisma sławnych pisarzy. Gałczyński pisał szybko, nerwowo. Pierwopisy wierszy są prawie nieczytelne. Jednak większość wtórnych rękopisów poety jest piękna. Pisał je dużymi literami, zawsze zielonym atramentem, bardzo wyraźnie, wręcz kaligraficznie.

Zegadłowicz też używał zielonego atramentu, Czechowicz – czerwonego, a Słonimski – brązowego.

– Herbert pisał drobnymi literami, podobnie jak Szaniawski. Ich pismo jest drobne, prawie niewidoczne – opowiada Tadeusz Januszewski. – Ponadto Szaniawski pisał tuż po wojnie, na kiepskim papierze, więc pismo się zlewało. Ekscentryczny

z natury Gombrowicz pisał zwyczajnie, średnimi literami, bez ozdóbek. Pani Rita Gombrowicz co pewien czas przesyła nam po kilka stron maszynopisów pisarza z jego poprawkami oraz listy.

Rękopis jest często obrazem choroby oczu lub stopniowej utraty wzroku. Im pisarz starszy, tym litery większe, kuloniaste. Kazimiera Iłłakowiczówna i Józef Czapski pod koniec życia używali flamastrów, aby tekst był wyraźniejszy. Ponieważ flamaster jest nietrwały, rękopisy Iłłakowiczówny już blakną.

Parnicki chorował na jaskrę, oznaczało to zawężone pole widzenia. Stawiał bardzo duże litery i zostawiał margines na pół kartki. Drugiej pustej połowy po prostu nie widział. Każda powieść Parnickiego to kilkanaście grubych tek rękopisów.

Po Andrzeju Kuśniewiczu nie ma rękopisów, bo pisał tylko na maszynie. Nie był jed-

cenne rękopisy wieszczą, sprytni złodzieje odszukali je, bo wcześniej znalezione w samochodzie rzeczy wyrzucili, i kazali Niewodniczańskiemu wykupić. Zapłacił bez wahania, ale nie podał kwoty okupu. Dziś album – po konserwacji – znajduje się u właściciela.

Najcenniejszy eksponat muzeum stanowi rękopis pierwszej i jedynej wersji Mickiewiczowskiej „Grażyny” – mówi Janusz Odrowąż-Pieniążek. – W 1955 r. jako student sam go wiozłem w parciałej teczce kolejką WKD z Komorowa.

Przed drugą wojną rękopis ten, kupiony w 1841 r. przez Aleksandra Przeddzieckiego od Ignacego Chodźki, znajdował się w Bibliotece Przeddzieckich przy Foksal w Warszawie (obecnie pałac MSZ). Gdy w 1939 r. wybuchł tam pożar, najcenniejsze już płonące cymelia pracownicy biblioteki wyrzucili przez okno na podwórze i zalali wodą. Do-

miątki? Dziś kałamarz i bibularz to pojęcia nastolatkom nie znane. W przyszłości współczesne pamiątki nazywane pewnie będą ulubionymi gadżetami twórców.

Ale czy osobisty notebook sławnego pisarza zachwyci tak jak arcypiękny sztambuch Elizy Orzeszkowej w aksamitnej okładce. Oglądając jego karty pełne zasuszonych kwiatów, wkraczamy w krainę nad Niemnem. Czarę oryginalnego pióra Mickiewicza nie zastąpi pentium III. Być może już nigdy nie będzie równie wzruszających pamiątek jak modlitewnik Aleksandra Wata, z którym nie rozstawał się podczas pobytu w łagrach. Także szachy – pasja Witolda Gombrowicza – mają już mniej zwolenników niż w czasach, gdy nie istniał Internet i wideo.

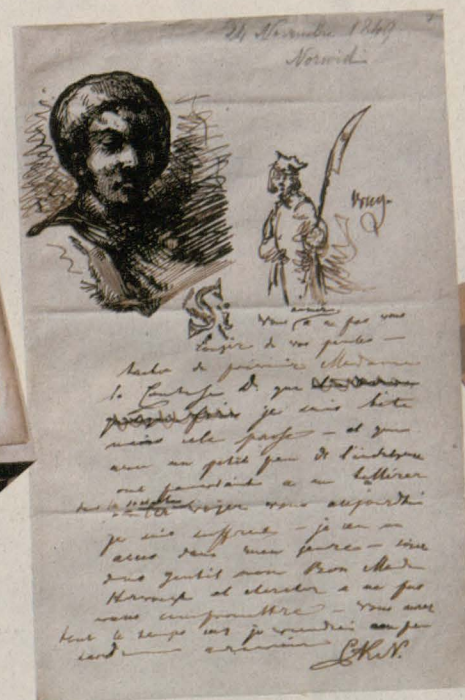
Młodszy pisarze coraz rzadziej piszą ręcznie, rękopis będzie więc reliktem przeszło-



Powyżej: kartki od Wisławy Szymborskiej, poniżej: karykatura Henryka Sienkiewicza



Zielnik Elizy Orzeszkowej



Autograf Cypriana Kamila Norwida i szachy Witolda Gombrowicza

nak pierwszy. Palmę pierwszeństwa wśród polskich pisarzy dźrzy Bolestaw Prus.

I tu jest problem, bo źródłem prawdziwej wiedzy o pisarzu są jego rękopisy. Badacze lubią wiedzieć nawet i to, jaki wzorek rysował na marginesie kartki, gdy podczas pisania myśl mu nagle uciekła albo gdy wahał się, jakiego użyć słowa.

Na jednym z rękopisów Czesława Miłosza kwiatuszki zajmują połowę strony.

W 1992 r. dr Tomasz Niewodniczański, dyrektor browaru z Bittburga, kupił sławny, tzw. Album Moszyńskiego z autografami wszystkich wierszy Mickiewicza napisanych w Rosji, z wyjątkiem „Konrada Wallenroda”. Jadąc na promocję albumu, dr Niewodniczański postanowił pokazać miłośnikom Mickiewicza oryginalne rękopisy wierszy. BMW, w którym je przewoził, skradziono. Gdy prasa alarmowała, że w aucie znajdowały się

piero gdy ustały bombardowania, można je było odszukać. Kustosz Zygmunt Wdowiszewski znalazł rękopis „Grażyny” i odtąd przechowywał go w walizce w swoim mieszkaniu. Podczas powstania warszawskiego został ewakuowany przez Niemców do obozu w Pruszkowie. Oczywiście, z walizką się nie rozstawał. Gdy jednak opuścili go siły, powierzył ją napotkanej starszej pani, która obiecała ją zawieźć pod wskazany adres. Rękopis wrócił w owej walizce do spadkobierców w Komorowie, a potem sprzedano go do Muzeum Literatury.

Laptop pełen wzruszeń

Czy wkrótce jedynym śladem po wybitnych pisarzach będą nagrania audio-wideo i pa-

ści. Zastąpi go komputerowa dyskietka lub płyta CD, na której próżno szukać śladów męki twórczej pisarza. Korespondencji w ogóle może nie być, skoro już dziś albo się telefonuje, albo wysyła e-maile.

– Kiedy wynaleziono maszynę do pisania – mówi dyrektor Odrowąż-Pieniążek – sądzono powszechnie, że pisarze nie będą pisać ręcznie. Na szczęście to się nie sprawdziło. Dziś komputer zdobył olbrzymią popularność, ale nie wierzę, że poeci będą na nim klikać wiersze.

Poeta zawsze chwyci za pióro. I może nawet poprosi dziewczynę: „Pisz do mnie jeszcze”. Wtedy ona przyśle mu e-maila.

IZABELLA BODNAR

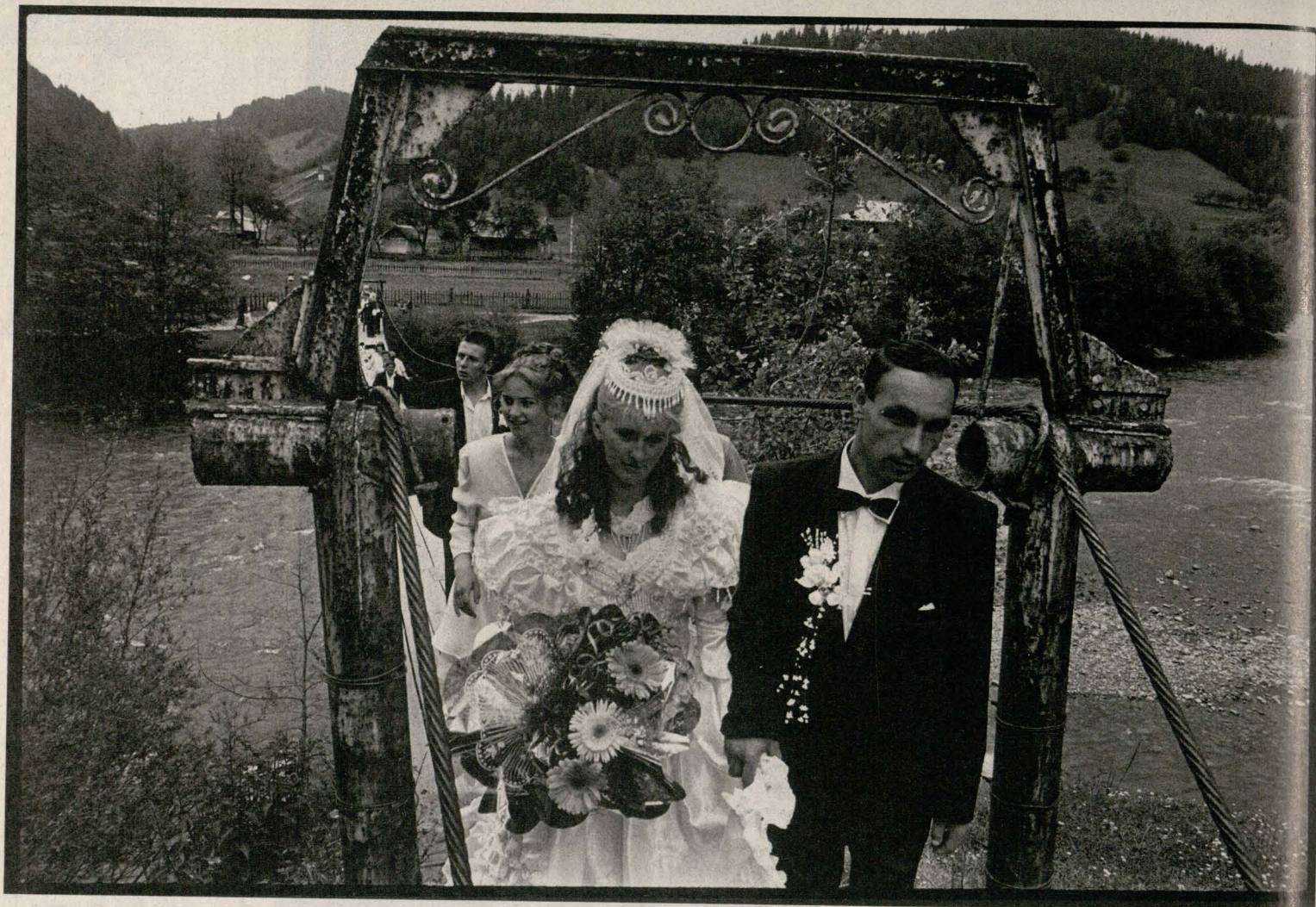
fot. Jan Zych

ZDJĘCIA:
ANDRZEJ KRAMARZ / FOTOLARIX

Ona 1 on

„Wszędzie dobrze,
gdzie nas nie ma”
– mówi przysłowie.
Prawdy ogólne mają
to do siebie,
że są nazbyt ogólne,
by się z nimi zgadzać.
Ale na zdjęciach,
gdzie widać kobietę
i mężczyznę –
zwłaszcza szczęśliwych
– każdy
chciałby się znaleźć.





Płcie mamy tylko dwie i to zazwyczaj jedną dla każdego, ale radości z tej drobnej różnicy wynika co niemiara. Austriacki pisarz Heimito von Doderer napisał nawet, że „każdy jaki bądź fakt, dzięki któremu dwoje ludzi odmienniej płci styka się ze sobą, nabiera celowego charakteru”. Stykanie się przedstawicieli płci przeciwnych przyniosło rodzajowi ludzkiemu trwanie, miłość i sztukę. Nie miejsce tu na wrywkową choćby antologię par, ale pamiętamy wszyscy Adama i Ewę, Romea i Julię czy wreszcie Dianę i Dodika.

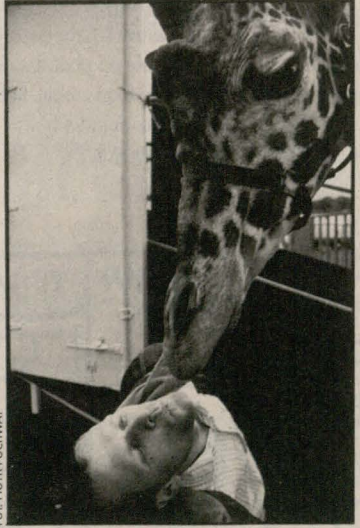
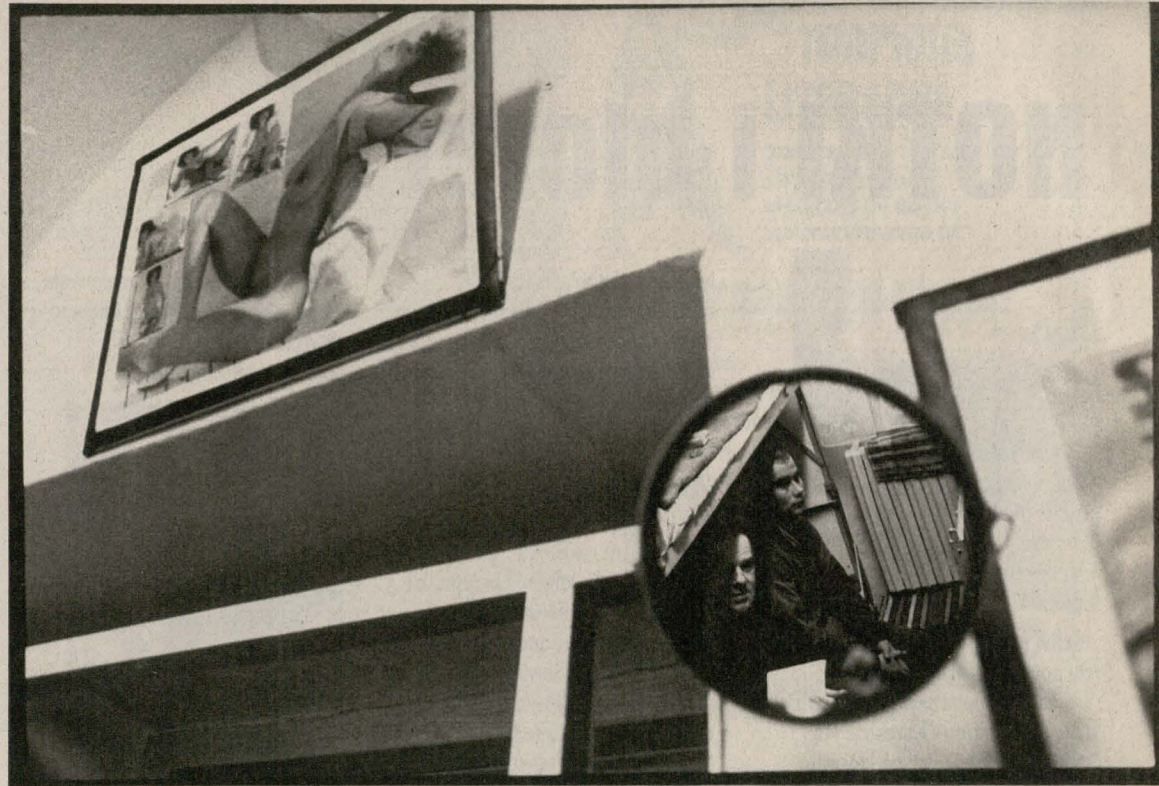
Stykają się, rzecz jasna, także kobiety i mężczyźni mniej lub zgoła zupełnie nieznanymi, których koleje uczuć nie staną się osnową wiekopomnych dzieł lub chwytających za serce legend.

Czasem stykanie się jest utrudnione, bo płcie dzieli znaczna odległość, czasem stykanie potrzebuje wzmocnień pozazmysłowych – i wtedy na różnicy płci zarabiają telekomunikacja i poczta. Ta ostatnia, zwłaszcza w okolicach 14 lutego, zмага się z natłokiem kartek wysyłanych przez zakochanych i już kochających. Szał walentynkowy zakorzenia się coraz bardziej w polskich umysłach, bo choć nie jesteśmy podobno tak kochliwi jak Włosi czy Francuzi, to jednak lubimy przyjemności wynikające z różnicy płci.

Wspomniana na wstępie celowość zetknięć niekoniecznie musi mieć charakter erotyczny. W końcu nie przesadzajmy – stykamy się także niezobowiązująco, bez zamiarów i bez konsekwencji. Co więcej, stykamy się niezauważalnie, mijamy obojętnie i bez cienia zainteresowania.







FOT. PIOTR POCHWAŁ

ANDRZEJ KRAMARZ, którego zdjęcia prezentujemy, sfotografował kobiety i mężczyzn z różnych światów podczas spotkań o różnym (jak się wolno domyślać) natężeniu emocjonalnym. łączą ich zabawa, taniec, knajpiany bufet, kawiarniany stolik, pocałunek. Są blisko siebie i wygląda na to, że nikt inny nie jest im do szczęścia potrzebny. Wśród tych zdjęć jest jedno, które szczególnie przykuwa moją uwagę. Na tle wypełniającej kadr ściany wyłożonej marmurowymi płytami, po płaskim, kamiennym placu idzie odziany w ciemny garnitur Murzyn, mężczyzna w sile wieku. Jeszcze trzy, cztery kroki i wyjdzie ze zdjęcia. Zza oszklonej witryny w kształcie wielkiego koła spogląda w ślad za nim atrakcyjnie anorektyczna biała kobieta w kostiumie z głęboko wyciętym dekoltem i spódniczką mini. Wysokie obcasy pantofelków i prowokacyjnie wypięte biodro sprawiają, że ma lekko ugięte kolana, przez co jej szczupłe tydki i kolana prezentują się intrygująco. Na szybie widnieje napis: „Valentine's Day February 14th”. Kobieta jest manekinem.

MARCIN BARAN

NOTKI i plotki



FOT. TOMASZ KAMINSKIAG

PIŁKA NOŻNA nominowana do pokojowej Nagrody Nobla. Tak zdecydował szwedzki prawnik Lars Gustaffson. – Nareszcie ktoś docenił futbol. Ludzi, na których mogą liczyć w każdych warunkach, spotkałem właśnie na boisku. To tam zawarłem znajomości na dobre i na złe – skomentował prezes PZPN, Michał Listkiewicz.

CZĘŚCIOWO SPARALIŻOWANY Emanoil Mihail z Macao zadzwonił do najbliższej jednostki straży pożarnej i błagał, by ktoś przyjechał zapalić mu papierosa. Sześć posterunku wysłało do niego wóz gaśniczy z pięcioosobową załogą.

100 MLN DOLARÓW na szczepionkę przeciw AIDS przeznaczył ostatnio Bill Gates. Na trop szczepionki wpadli

lekarze z Nairobi. Okazało się, że tamtejsze prostytutki nie zarażają się wirusem HIV. Jeśli wszystko przebiegnie z planem, szczepionka przeciw AIDS będzie gotowa za cztery, pięć lat.

DZIURY w szwajcarskim ementalerze są za duże – orzekł amerykański departament rolnictwa – bo utrudniają krojenie przysmaku w przemysłowych krajalnicach. Zaapelował do producentów, by je zmniejszyli. Szwajcarskie ministerstwo rolnictwa apel nazwało groteską. Amerykanie pomylili adres. Należy pogadać z bakteriami mlekowymi, żeby wydzielały mniej dwutlenku węgla. Nie wiadomo, czy się zgodzą, bo mniejsze dziury, to inny smak sera.

BRAMKARZ Sam Kawaly nie zwrócił rękawic i butów należących do Federacji Piłkarskiej Ugandy i wyleciał z kadry. Dlatego podczas towarzyskiego meczu z Arabią Saudyjską w bramce stał Livingstone Kyobe.

AMERYKAŃCY PALEONTOLODZY odnaleźli na Madagaskarze dinozaura nieznanego gatunku. Zwierzę żyło 65–70 mln lat temu i miało 1,8 m

długości. Naukowców inspirowała muzyka Marka Knopflera, dlatego nowego dinozaura nazwali Masiakasaurus knopfleri.



FOT. AP/AG

DUMA jest strefą wolną od zakazu palenia papierosów. Od lipca obowiązywał tam bezwzględny zakaz palenia, ale deputowani, łącznie z przewodniczącym Gienadijem Sielezjowem, nagminnie go łamali. Teraz w rosyjskim parlamencie można puszczać dymka w wydzielonych miejscach.

DUŃSKA STRIPTIZERKA miała za małe piersi, więc je zoperowała. 3 tys. dolarów kosztu operacji chce odpisać sobie od podatku. Sąd uznał, że nie może tego zrobić. Kobieta się nie poddaje. Sprawa trafi do Trybunału Pracy.



myśli LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH I PSY

Przekraczać granice to nie mniejszy błąd niż do nich nie dotrzeć.
Konfucusz (551–479 p.n.e.)

Od nas samych zależy poprawa rządu, od obyczajów naszych.
Tadeusz Kościuszko

Nacjonalizm to jaskrawy przykład gonącej wiary w wątpliwe rzeczy.
Bertrand Russel

Jeśli czas to pieniądz – najbogatsi są lenie.
Andrzej Klawitter

Ogonki liter nigdy nie merdają.
Falik

Są wartości cenne, bezcenne, zauważone i rozkradzione.
Roman Gorzelski

Człowiek jest szczery w występku, nieszczery w cnocie.
Wasilij Rozanow

Myśli zebrała Stella Varcaby



ABECADŁO Myszki

Niby wygląda, że mamy tu słowo niby, czyli jakby. Ale nie, my mamy całą klasę nibów. Te niby to nie są niebyty. To prawda. Kiedy jednak mówimy „niby”, coś niby coś, to przecież nie mówimy, co to jest. Czy mówimy o naszej niewiedzy? Nie. My mówimy, czym to nie jest. Bo jeśli coś jest tylko niby coś innego, to tym nie jest. Niby to są nasze niebyty. Ich nie ma, bo nie wiemy, czym są, ale my je mamy. To są wszystkie nicości, niwelacje, niskości i nitki. To niecka, nikt i nim. Także niwa i nizina, nianie, nicpoń i niczym. A nieboga? Nieboszczyk? Niebotyczny i niebożę? To niechaj i niech tam. Nieco. Niecułka (Bóg, Jodłowski i Taszycki wie, co to jest), niedodma (jak poprzednio), niekiedy (no to kiedy?) i nie lada (pewnie, tylko jaki?). Nie mam co robić

(znalazłem u Jodłowskiego i Taszyckiego). To nic (to moje). Widzisz, ile tego jest (to komentarz). To, co niknie, to, co ni zowąd, nisza, niuans i niżliby. No! To wszystko. Tak. Wszędzie nic nie ma. Zaskakujące, ale bez tego niczego nic by nie było, jak jest. Teraz wszystko jest przez to nic. Bo to nie niebo jest. To jak kolor niebieski. To jakiś kolor nie biały (to przesada, ale białe bardzo niebieszczyje, z siebie jakby. Nie tak inne kolory. Jeśli co żółknie, to z upływu czasu, czerwienieje z gorąca, ciemnieje z nadmiaru). – Nigdy z królami nie będziem w aliansach... – więc zawsze z kimś lub czekając na niego. Niby to prawda, niby incipit Pieśni Konfederatów Barskich (z „Księdza Marka” Słowackiego)...

MYSZKIN

AFERYZMY

– Jeśli milczenie jest złotem, a mowa srebrem... – To przynajmniej wiadomo, dlaczego za pisanie płacą tylko kawałkami papieru.

Dobry Baran

OKIENKO Z WIERSZEM

Darek Foks

Kanonierki świtu

Wzorem kubańskich fachowców zbieramy deski. Żywność, wodę i gwoździe dostarczy na czas mały przedsiębiorca. Dziecko samo nadmuchało tygrysa,

więc nie pójdzie na dno. O tych płucach jeszcze usłyszymy. Wyciągam rękę i szukam pola. Jamiak zostaje w domu, bo pogryzł kompas. Nikt go nie kocha. Jest pole.

DAREK FOKS (1966), poeta, prozaik. Laureat nagrody „bruLionu”.

HECA HECA

- Pan da banana, zebrała panda.
- Tej oferme kury jaj nie niosą nawet na fermie.
- Tyle w tobie wdzięku, co w tym pienuku dźwięku.
- Stary miś nie od dziś nudzi miśnię – dopiero dziś spostrzegł Zdzis.
- Jeden woli gotyk, a drugi rokoko. Dla ciebie strzelista, dla innych – sirocco.
- Lepsza w garści pajda chleba aniżeli manna z nieba.
- Dla oszołoma ścieżka głupoty nie jest zbyt stroma.
- Dobrze jest mieć dach nad głową, forszę i miłą teściową.

Wybraliśmy z listów naszych Czytelników: Haliny J. z Wrocławia, Danuty Cz. z Lidzbarku Warmińskiego i Aureliusza M. ze Szczecina. Dziękujemy.

TROPICIEL LITERACKI

przedstawia poetyczną pigułę erotyczną do użytku walentynkowego pt.



„Wyznania kochania”

Przedmowa
Jeśli walentynki w ogóle można uznać za święto zakochanych, to tylko zakochanych bez wzajemności, bez śmiałości i bez konceptu na formę okazania zakochania. W kwestii braku wzajemności i śmiałości niewiele możemy dla takich zrobić, chyba że akurat to od nas oczekują odwzajemnienia i ośmielenia. Jeśli akurat nie od nas, możemy odetchnąć z ulgą i podać cierpiącym nieco konceptu w pigułce, by im też nieco ulżyło i mogli się wreszcie uczuciowo wyrazić na karteczce, w liściku, e-(ro-to)mailu lub w poczcie głosowej.

Jak lichy aktor, co stojąc na scenie Zapomniał z twogi słów do swojej roli I tak samotny jak umarłych cienie Ledwim ciebie zobaczył, jużem się zaplonił i w przyczynie

Płonę do pysznej urody. Do twarzy, w którą patrzeć nie można bez szkody. Kocham cię w słońcu i przy blasku świec W bzach i w brzożach, i w malinach, i w klonach Usta twoje: ocean różowy. Spojrzanie: fala wzburzona

Ach, na serca mego grzędzie Niech twe ziarno bując raczy Ja dniem i nocą słyszę serce moje Co dzień, kochając cię, płaczę Luba, i cóżś winna, że twych ocząt groty Kreślą, co widzą, lecz serca nie znają O wiecznie młodniejąca na wieczne zaloty Poprowadź mnie za rękę w bukoliczne gaje Czułe uczucie dzisiaj w sercu pieszczę Mów do mnie jeszcze... Strudziłem usta daremny użyciem Teraz je z twymi chcę stopić ustami I chcę rozmawiać tylko serca biciem Przetrywajmy do wiosny – do wiosny! Wpleceni w uścisk miłosny.

Po otrzymaniu niniejszej piguły adresat(ka) może sprawić sobie dodatkową przyjemność, odgadując, czyje wiekopomne strofy na nią się złożyły.



© MARCIN MACIEJOWSKI

A oto ślad piguły według kolejności użytych ingrediencji: William Shakespeare, „Sonet XXIII” (w przekładzie Lucjana Rydyka); Konstanty Ildefons Gałczyński, „Kozmowa liryczna”; Maria Pawlikowska-Jasnorzevska, „Portret”; Aleksander Fredro, „Zemsta”; K. K. Baczyński, „Pogniemia”; A. Mickiewicz, „Sonet XIV”; W. Szalkowski, „Sonet XXIV” (w ww. przekładzie); Guillaume Apollinaire, „Gdyby przyszło mi zginąć” (w przekładzie Artura Międzybuzkiego); Anonimowy Bułalik, „Wstęp do rymu” (bez przekładu); Sergiusz Lesienin, „List do kobiety” (w przekładzie Wiktora Woroszyńskiego); Kazimierz Przerwa-Tetmajer, „Gra słów”; A. Mickiewicz, „Rozmowa”; „Posenka Megalomana”.

Towarzystwo opieki

NAD RAMBO

Herosów karmiono mlekiem cudownych krów, włosy mieli jak krąg kamfory dokoła czerwonej róży, głowę jako byk nosili wysoko, słowem byli wdzięczni, duchem nieobludni, „stali jak słońca i księżycy w noc pogodną”. Tacy są Achilles i Rambo, Lancelot i Robocop, Feridun i Terminator.

Kochamy ich z dwóch podstawowych powodów. Walka (czyli piekło) jest lepszym tematem dla naszej wyobraźni niż nudny raj. Po drugie zaś wszyscy chcą wysłać swoich wrogów na śmierć, a dzięki wymyślonym bohaterom nie musimy tego robić własnoręcznie.

Są podobni lub tacy sami. Stworzeni według tego samego bajkowego stereotypu z naszych marzeń. Wyprodukowano ich setki, a może tysiące. Młodych, przystojnych, silnych, wiernych swoim zasadom. Bohaterów filmów akcji. Wojowników, którzy przed śniadaniem likwidują kilku wrogów, a potem – do końca dnia – potrają liczbę ofiar.

Czas jest brutalnym rozpuszczalnikiem, ale nie dla postaci

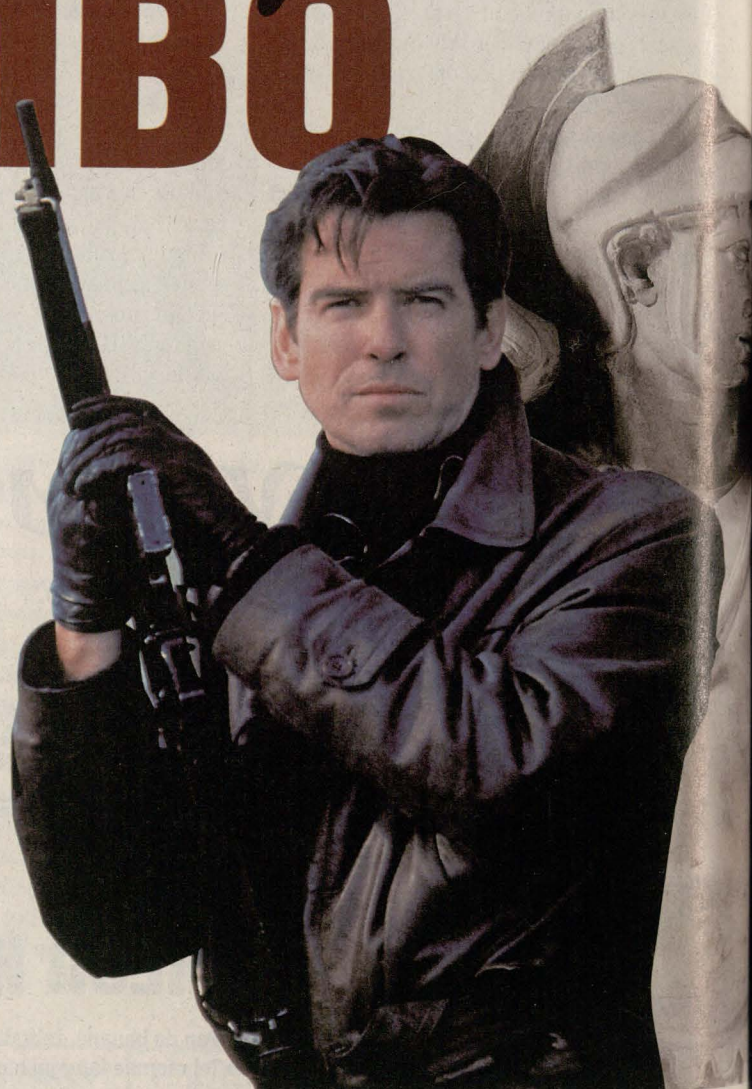
z marzeń. Dla nich być drugim – to zawsze oznacza być pierwszym z ostatnich.

Filmowi herosi są przystojni i męscy. Lśnią ich spocone mięśnie, żadnym kulom się nie kłaniają, niektórzy mogą wymienić zużyte części ciała. Walczą ze strasznymi kosmitami, godzillami, mutantami.

Nihil novi sub sole. Już irańska „Księga Królewska” określiła kanon bohatera: „z podłej krwi tacy jak wy się nie rodzą”.

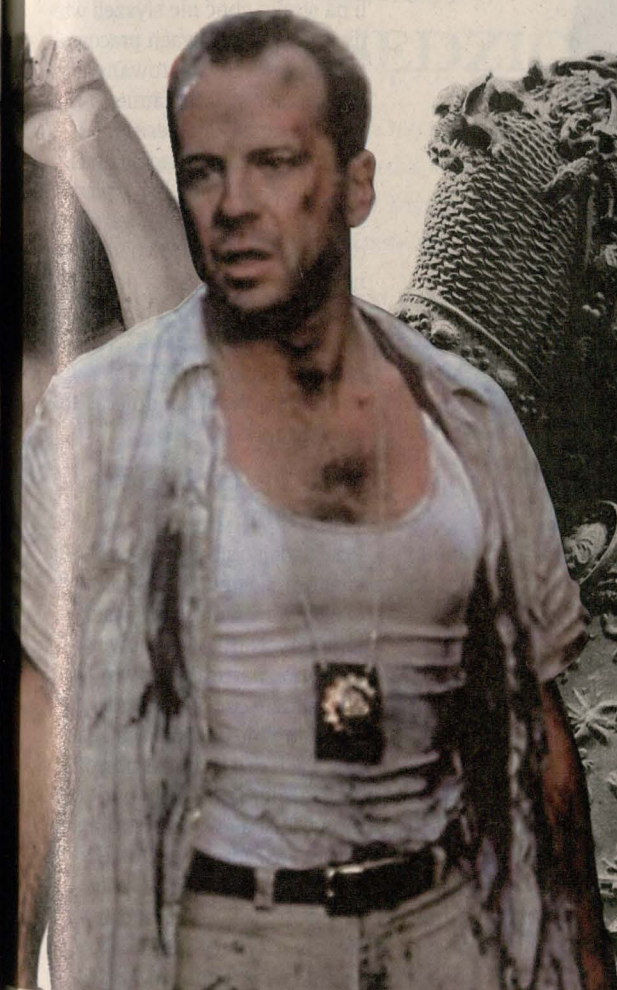
Brutalni ordynusi z naszych marzeń

Oglądamy „Rambo”, „Terminatora”, „Liberatora”, „W morzu ognia”, „Robocopa”, „Facetów w czerni”, „Żołnierzy kosmosu”, „Twierdzą”, „Lot skazańców”,



„Szklaną pułapkę” i dziesiątki innych... Słyszymy z ekranu słowa mocne, w stylu: „Wiem, gdzie mieszkaś, pierdzielu. Zerżnę twoją żonę i dzieciaki!”, „Wytnę ci drugi tyłek!”, „Jeszcze raz was spotkam i wstrzelę wam mózg w kiszki”, „Urwę ci głowę i nasram”, „Co za jedna? Sutkami mogłaby wykręcać telefon”, „Czuję się jak gówno we wrzątku” oraz liczne możliwości użycia słowa „fuck”.

To paskudne słowa, ale tylko słowa. Kaukomieli z fińskiego eposu „Kalewala” też gadał nie-licho: „Taka jest twoja świętość, wypierdku niepospolity, larwo królestwa śmierci...”. Awanturę z eposu gruzińskiego „Witeż w tygrysiej skórze” wykrzykuje do wrogów: „Przyjdzie, przyjdzie ten dzień straszny pomsty, kary i nauki, kiedy ścierwo podłych zdrajców będą szarpać głodne kruki”.



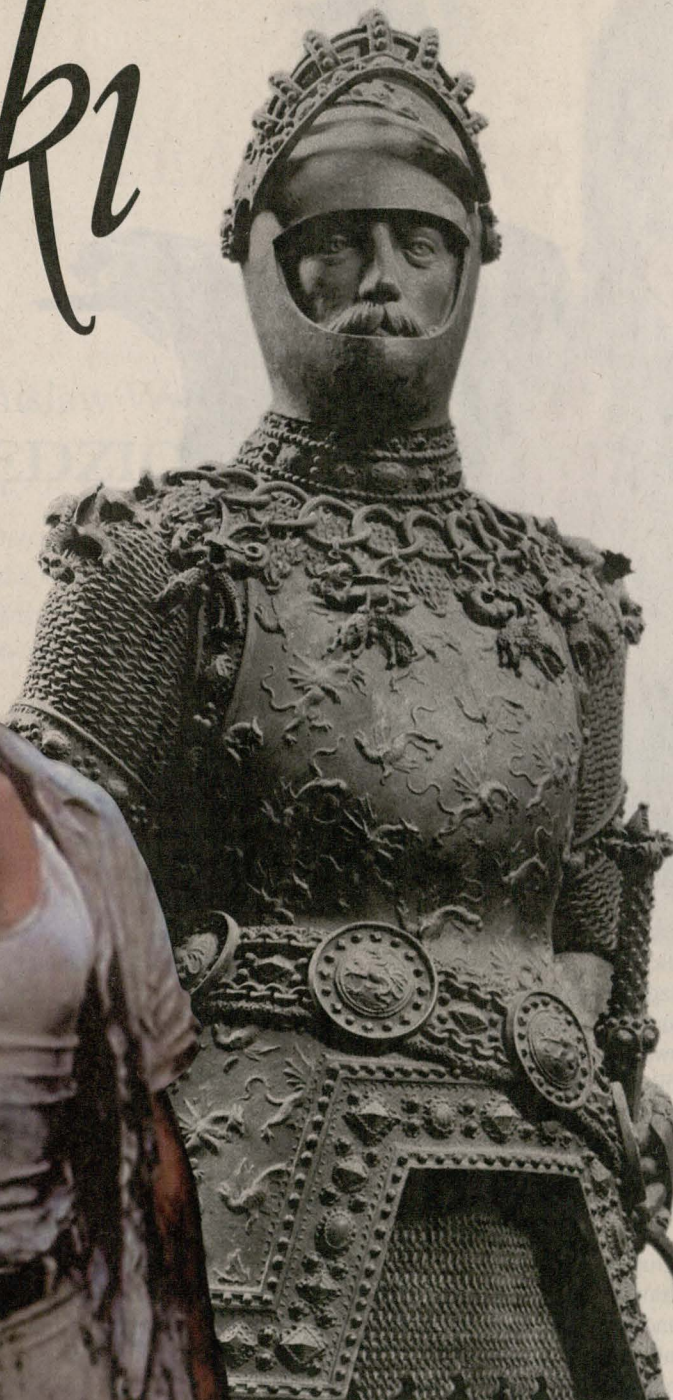
Jacy są wojownicy z „Iliady”? „Jako srogie wilki i niesyte ścierwa”, „jak lwy ścierwo żrące albo silne dziki”. Odys z „Odysei” „wyciął na pomiecie ludów tyle”, potrafił nieźle się odgrażać: „gdy się weźmiem do sprawy. Już dziś widzieć mogę, jak niejeden krwią zbryzga i mózgiem podłogę”. Eneasz z „Eneidy” swoje przekleństwa kieruje aż za grób: „Niech padnie przed czasem, legnie w piasku, bez pogrzebu”.

Gilgamesz z eposu starożytnego Dwurzecza poszedł w błuznierstwach znacznie dalej: „Oby twego przyrodzenia zażyć nikt nie chciał, obyś z własnym grzeszyła potomstwem, oby w domu twoim kruk napaskudził, obyś się tarzała w łajnie własnym jak owca, obyś w garnku miała tylko odchody”. W japońskiej „Księdze dawnych wydarzeń «Kojiki» jest zaś taki „smakowity” fragment: „Wrogowie byli tak znużeni

ucieczką, że zafajdali portki, które mieli na sobie, dlatego to miejsce nazwano Kusobakama, czyli «zafajdane portki»”.

Zabić bestię

Godzilla, roboty i robale z kosmosu to cień cienia w porównaniu ze stworami powalonymi przez bohaterów ksiąg tak cenionych przez moralistów. W filmach te stwory rażą ich poczucie estetyki. Powinni być zatem



FOT. FORUM, EAST NEWS (2)

zadowoleni, że „nasze kupy sterydów” rozsiekują te maskary na lepkie strzępy.

Moralisci jednak nie są kontenci. Przypomnijmy im zatem – cóż z tych rzeczy mamy w eposach? Promienisty Witeż walczył ze śmierdzącymi strzygami, Kaukomieli spał na żywym niedźwiedziu i walczył z szatańskim łosiem, Odyszeusz pokonał podstępem jednookiego Cyclopa, Eneasz wojował z ohydnyimi harpiami, plującymi ogniem i kamieniami, Feridun pokonał smoki, dewy i czarownice, Bitny z Yamato za pomocą Miecza-Trawosieczka i ząbka czosnku zabił wielkiego, zabójczego jelenia, Gilgamesz unicestwił potwora Humbaba, który miał wielkie zębiska, węże na czionku i ogonie, a „w starciu jest jak potop”.

W „bestiostrategii” najlepszy był jednak król Artur. Zabił straszego olbrzyma, który mordował i zżerał nieprzeliczone ilości ludzi, zaś „przez siedem lat nie spożywał na wieczerę nic prócz niewinnych dzieci, że ich brakło u biednych i bogatych”. Olbrzym był gruby, pokryty brodawkami jak ropucha, usta miał jak flądra, małe czerwone oczka; był bez spodni i „grzał rozłożyste owłosione łądźwie, gryzając jednocześnie ludzkie udo”. Uwielbiał serca dziewic szpikowane migdałami (w winie i miodzie), a na przekąskę „na trzech włóczniach nawleczone były jak kurczęta ciała dwunastu noworodków”. Ohyda. Przy tym godzilla, pajęki i kleszcze-mutanty, kilometro-



FOT. EAST NEWS (2)

wa anakonda oraz gremliny – to zwykle pluszaki.

Rozpruwanie gołymi rękami

Filmowi wojownicy, aby zabijać ludzkich wrogów, mają do dyspozycji niesamowite arsenały broni. Bomby, zarazki, karabiny na promienie, mordercze samochody itp. Trup ścięte się gęsto, ale kudy tym zabijakom do bohaterów eposów.

Porównajcie sami. „Artur ciął stal i kolczugę jak sukno, więc ramię i ręka odleciały daleko na pole, a następnego uderzył w skroń, a pół głowy spadło na ziemię. Na polu bitwy konie brodziły we krwi powyżej pęcin”. Gilgamesz trupami rowy i równiny zapęniał, zwłoki siekał tak, aby ułatwić konsumpcję psom, świniom i sępom. Wojownik w „Kojiki” skoro świt dorwał wroga w ustępie, pogruchotał mu kości, wyrwał ręce i nogi, a potem zmasakrowane ciało cisnął w krzaki. Innego „dopędził przy schodkach do ziemianki i złapał za kabat, od tyłu wraził mu miecz w zad”.

Bożyszczce kobiet, Feridun, mózgi wrogów z krwią mieszał i kindżał ich przez środek rozpruwał – własnoręcznie i z upodobaniem. Eneasza zaś (tu warto krwisty fragment zacytować): „przez gardziel wbił się głęboko w pierś. Bryzga pianą posoki czeluść rany czarna, a grot się w płucy rozdartym zagrzewa” albo „rozłupuje ciało: konając rozściela członki bezsilne i oręż zbryzgany mózgiem. Na jedno i na drugie ramię głowa równymi częściami opada”. Odyseusz z triumfem opowiadał, jak to walił wroga w środek krzyży i miecz wyciągał brzuchem.

Achilles rozbił nosy, ciął języki i wybił zęby, a miecz „tam wychodzi, gdzie z brodą złączona jest szyja”. Witeź z przyjacielem dla pewnej dziewczyny wysiekił mały kraj, że „ciała poległych rosły góry, drogi gęsto trup zaścielał” (autor wyliczył, że na jednego bohatera wypadło około 10 000 trupów).

W legendzie o królu Arturze walki kończą się uroczym powiedzonkiem: „Wesołości i żar-

tom nie było końca”. Nic dodać, nic ująć. Cała pula należy do zwycięzcy.

Doping dozwolony

Walka to nie sport, wojownikom moczu nikt nie bada. A znalazłoby się tam sporo dopalaczy. Bond ostentacyjnie pije drinki nie wstrząsane, bohaterowie Bruce’a Willisa piją wszystko i dużo, weterani wojenni i agenci specjalni często są nałogowcami. Żłopia prosto z butelki, szprycują się w brudnych, barowych toaletach. To też, niestety, mieści się w standardzie odwiecznego bohaterstwa. – Daj spida! Daj coś na pałera! Daj sztacha! – krzyczą Stallone i Linda.

A herosi z pereł literatury światowej? Bitny z Yamato co raz to upijał się „przenajświętszą okowitą” na cześć np. Ducha Powstania Bąbli czy Ducha Osiągania Dna. Kaukomieli piwo pił beczkami, a karmiony świeżą rybą kręcił się wokół dziewczyn, jak w ruch puszczone śmigło. „Każdej cnotę przebił, jak księżyc noc na wy-

lot”. Feridun wypijał morze wina zmieszanego z piżmem w rubinowej czarze. Elegancko podane, ale kończyło się jak zwykle: wymiotami, burdami i bójkami. Grecy pod Troją też nie wylewali za kołnierz, bo „chleb i wino do boju umacnia rycerze. Pod głodem i pragnieniem kolana się chwieją”. Bez wina przed bitwą gotowi byli na strajk, choć nie słyszeli wtedy jeszcze o „prawach pracowniczych” ani LSD, testowanym na żołnierzach w Wietnamie.

Nałogiem Gilgamesza był seks („członek jego, powiadają, mierzy trzy łokcie”). Kiedy już wykorzystał porwane od matek wszystkie dziewicze córki wojowników, dał mu do towarzystwa przyjaciela Enkidu: „druhem ci będzie i nie odstąpi cię, skoroś tak legł na nim, jak na kobiecie”. Tak samo Achillesa do walki podniecał uroczy Patrokles.

Ślepy los czy bogowie ich wiodą...

Przyglądając się tym wspaniałym facetom, nasuwa się pewien nieoczekiwany wniosek. Czysto biologiczny. Naukowcy powiadają, że dobór naturalny faworyzuje w zasadzie osobniki przeciętne, a nie skrajnie odbiegające od normy. Tych drugich jest po tysiąc-kroć mniej i powinny być chronione. Tak jak większość drapieżników. Lwy, tygrysy, niedźwiedzie wymierają. Antylop jest milion. Znajomość struktury troficznej (czyli tego, kto kogo i jak intensywnie zjada) wykazuje, że drapieżcy bardzo wysokiego szczebla występować mogą tylko w bardzo małych populacjach, szczególnie podatnych na eksterminację z powodu zmian środowiskowych.

Chrońmy zatem naszych bohaterów-drapieżców. Robert Musil powiada: „W jakiś tam sposób porządek idealny przeistacza się w potrzebę zabijania”, a ja dodam „i wtedy mogą nas wyręczyć straceńcy, choćby tylko w wyobraźni”.

BOGDA BALICKA



TEATR NARODOWY

ZAŁOŻONY W ROKU 1765

Stanisław Wyspiański SĘDZIOWIE

Ewa Konstanca Bulhak, Wiesława Niemyska, Sylwia Nowiczewska, Dorota Segda, Anna Szczerbińska (gościnnie), Magdalena Warzecha, Marek Barbasiewicz, Mariusz Benoit, Andrzej Blumenfeld, Krzysztof Globisz (gościnnie), Krzysztof Gosztyła, Arkadiusz Janiczek, Mirosław Konarowski, Mirosław Kowalczyk (gościnnie), Czesław Lasota, Michał Pawliński, Zdzisław Tobiasz (gościnnie), Jerzy Trela

reżyseria **Jerzy Grzegorzewski**, scenografia **Barbara Hanicka**, muzyka **Stanisław Radwan**

Najlepsze przedstawienie warszawskiego sezonu teatralnego 1998/99
Feliksy Warszawskie 1999 dla **Jerzego Grzegorzewskiego** za reżyserię,
dla **Jerzego Trela** za rolę **Samuela**
Nagroda im. **Zelwerowicza** 1998/99 dla **Jerzego Trela**

Spektakle: 23, 24, 25, 27 i 28 lutego godzina 19.30, Scena przy Wierzbowej



FOT. INDUCECH PLEWINSKI
Jerzy Trela (Samuel), Dorota Segda (Joas)

REPERTUAR MARZEC

Sala Bogusławskiego

1 C	19.00	Wiśniowy sad
2 P	19.00	Wiśniowy sad
6 W	19.00	Kartoteka
7 Ś	19.00	Kartoteka
8 C	19.00	Na czworakach
9 P	19.00	Na czworakach
13 W	19.00	Wesele
14 Ś	19.00	Wesele
23 P	17.00	Szkoła żon
25 N	17.00	Szkoła żon
29 C	19.00	Wiśniowy sad
30 P	19.00	Wiśniowy sad
31 S	19.00	Wesele

Scena przy Wierzbowej

1 C	19.30	Operetka
2 P	19.30	Operetka
3 S	19.30	Taniec śmierci
4 N	19.30	Taniec śmierci
8 C	19.30	Requiem dla gospodyni
9 P	19.30	Requiem dla gospodyni
10 S	19.00	Ślub
11 N	19.00	Ślub
17 S	19.30	Leonce i Lena – premiera
18 N	19.30	Leonce i Lena
20 W	19.30	Leonce i Lena
21 Ś	19.30	Leonce i Lena
22 C	19.30	Leonce i Lena
27 W	19.00	Ślub
28 Ś	19.00	Ślub

Dyrekcja teatru informuje, że repertuar może ulec zmianie.

Dyrektor Naczelny **Krzysztof Torończyk**, Dyrektor Artystyczny **Jerzy Grzegorzewski**.

Kasa przy placu Teatralnym 3:

poniedziałek–sobota 10–14 i 15–19
w niedzielę przed przedstawieniem od 16
tel. (022) 69 20 610
Kasa przy ulicy Wierzbowej czynna
na godzinę przed spektaklem

Rezerwacja telefoniczna:

tel. (022) 69 20 604, 69 20 664,
poniedziałek–piątek 9–18

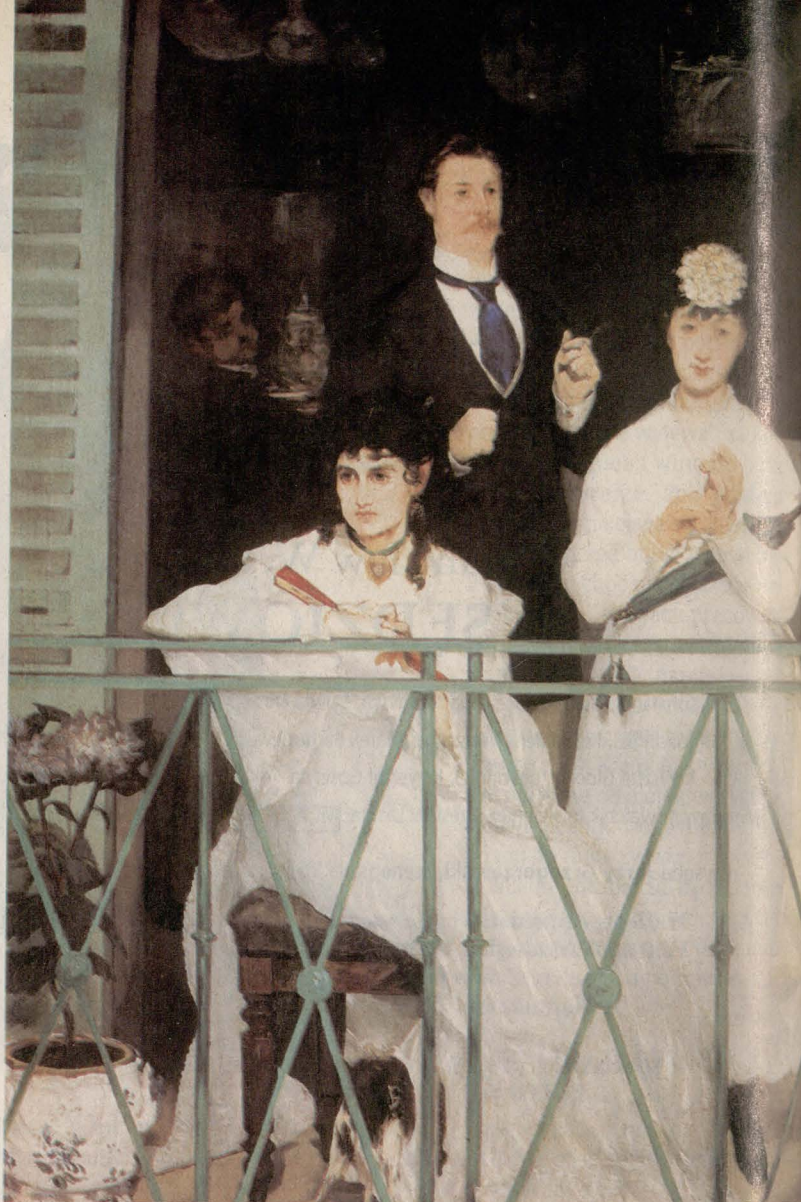
e-mail: bow@teatr.pol.pl
<http://narodowy.pol.pl>

JOANNA BONIECKA • ZBYLUT GRZYWACZ

ROZMOWY
przy obrazach

Sala Maneta

w Musée d'Orsay w Paryżu



Balkon (1868–69), 169x125 cm

Joanna Boniecka: Skąd pomysł, żeby tak rasowego malarza jak Édouard Manet wrzucić do szuflady z impresjonistami? Przecież ci producenci rozsznecznionych widoczków wyrzucili czerni z palety – a Manet kochał czarny kolor i to z wzajemnością! Nie byłoby Maneta bez czerni. To Claude Monet ze swoją „Impresją” – słynnym wschodem słońca, całym w ciapkach – był papieżem nowego widzenia malarskiego. Jednak już wielu zapalczywych krytyków, obrońców gustów salonowych, obwiniało jednego za obrazy popełnione przez drugiego. Zwykła literówka w nazwisku czy niechęć do jakiegokolwiek nowatorstwa? **Zbylut Grzywacz:** Czy spotkałaś w Orsay malarza, który by nas bardziej ucieszył niż Manet?

No, może Corot, może Daumier – ale tak naprawdę Musée d'Orsay to Manet i Degas. Jednego i drugiego historia sztuki wpisała w szeregi impresjonistów, a to są wielcy, prawdziwi malarze. Manet ze swoim zamiłowaniem do Hiszpanii – Velázquez, Goi, a Degas z uwielbieniem dla klasycznego rysunku Ingesa nie mieszczą się w tych do obrzydzenia opatrzonych sałatkowych maziugach. Impresjonizm pozwolił się spełnić paru dzielnym malarzom – myślę o Camille'u Pissarze i późnym Monecie; jego „Stogi siana”, a szczególnie „Katedry” to piękne, poważne obrazy. **J.B.:** Ja ich nie lubię – jakieś zamki z piasku, które z siłą i monumentalnością architektury nie mają wiele wspólnego. Wolę

„Nenufary” za ich lekkość, płynność, klimat bliski czemuś tak nieokreślonemu i zmiennemu jak woda. I te porastające ją kwiaty, liście, refleksy światła...

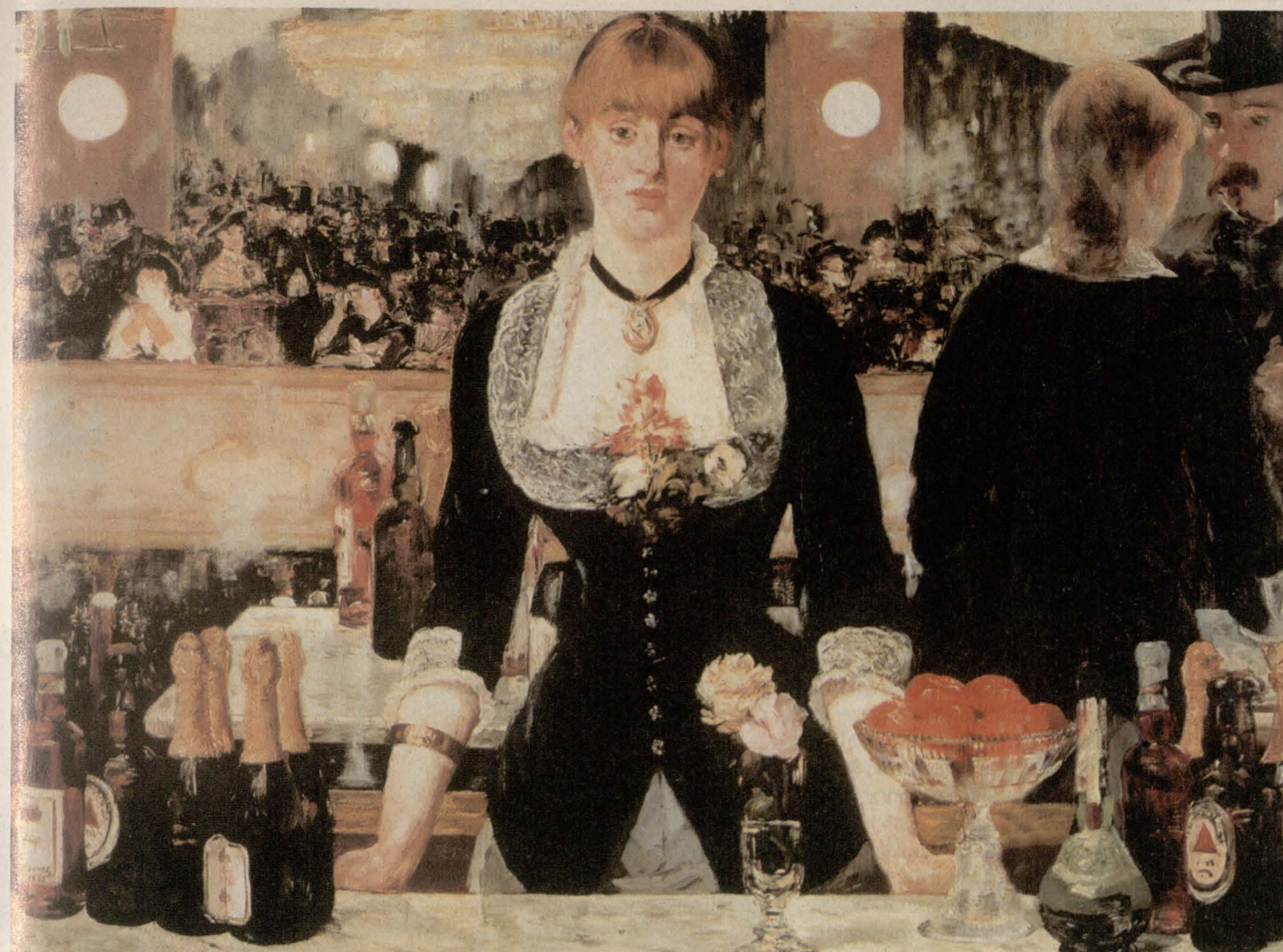
Z.G.: No to masz tu dwie wersje „Piwonii” Maneta – piękne, soczyste, omdlałe kwiaty. Na obrazie Holendra w XVII wieku byłyby po prostu dokumentem botanicznym, a tu, dzięki dotknięciom pędzla, mają właściwą sobie miękkość, wilgotność. Są takie pyzate, zmysłowe, w maju tak od razu się otwierają i tuż potem opadają. Ale zobacz te nożyce do obcinania kwiatów, zimne, rozwarłe – to vanitas vanitatum... Jeden kwiat wisi jak sarna czy zając za nogę w holenderskiej martwej naturze...

J.B.: Rzeczywiście, bez tego – jakie by to było banalne! A tu słysząc ciach, ciach – i lecą jak głowy spod gilotyiny

– tutaj ta czerwona przylała twarzą o ziemię. Biel i czerwień wyrwa się bezpośrednio z czerni tła – to cecha malarska hiszpańskiego, które Manet wielbił. Nawet w 1865 r. pojechał do Madrytu, żeby wobec druzgocącej krytyki paryskiej znaleźć wsparcie u prawdziwych mistrzów. Po powrocie w hołdzie dla Goi namalował „Balkon”.

Z.G.: Piękny obraz. Zobacz ten wazon; pies i piłeczka przy nim są tak nowoczesnie namalowane, tak żartobliwie przepyszne. I te dwie kobiece twarze. Jedna, na pierwszym planie, realistyczna, druga umowna, gładziutko malowana. I znów ta czerni Maneta w tle, gdzie utkwiał mężczyzna. Czerni, a może ciemność...

J.B.: I to jest właśnie ten wielki Manet – nowoczesny interpretator tradycji,



Bar w Folies-Bergère (1881–82), 96x130 cm, Courtauld Institute Gallery, Londyn

zanim przystąpił do młodszych kolegów malujących z natury w Argenteuil. Te banalne widoczki ludzi na plaży czy legendarnej łodzi, na której malował Monet, nijak mają się do ważności wcześniejszych arcydzieł Maneta. Długo wierzył w to, że prawda malarska, o którą walczył, może przebić się przez kanony, którymi posługiwało się jury Salonów. **Z.G.:** No właśnie, „Chłopczyk z fujarką” z 1866 r. odrzucony na Salonie, a tak jest piękny w kolorze. **J.B.:** Biel, czerni, czerwień i ta piękna szarość tła. Zamiast anegdoty, czyste malarstwo, bez wibrujących plamek, za to z szerokimi pociągnięciami pędzla i spokojnymi płaszczyznami koloru. Skąd u Maneta to zamiłowanie do hiszpańskości? **Z.G.:** Kiedy myślę o kolorze, o wspaniałości koloru, to zawsze

„Wenus z lustrem” widzę i „Infantki” Velázquez. Nie ma nic wspanialszego niż jego róże i srebrzystości... Manet potrafił tego dotknąć. W jego sali pachnie najwspanialszym kolorem. Jak tu się oddycha... I co ma do tego impresjonizm? Farbki – a tu jest kolor! Pięknie było w świecie malarstwa, póki się nie pojawiło farbiarstwo impresjonistyczne. **J.B.:** Tak zdystansowany był do tych pomysłów Manet, że nie wziął udziału w żadnej wystawie impresjonistów. A pod koniec życia znów pokazał swoją malarską klasę obrazem „Bar w Folies-Bergère”, który widzieliśmy w Londynie. Pamiętam te jego czernie, biele, złoto i czerwień – prawdziwa, soczysta uczta, od której trudno było oderwać.

Z.G.: Impresjonizm przybył na odsiecz ludziom, którzy nie potrafili patrzeć na malarstwo, przeżywać sztuki. Trudno wam, za wysoko Parnas, męczycie się? No to niepoważne, cudnie słodko kolorowe malarstwo podniesiemy dla was do rangi wielkiej sztuki. No i macie te rumiane akciki, przepachnące kwiatki, widoczki. Macie Francję z jej perfumami, modą, paryskim szykiem. Wcześniej Watteau, Boucher, rozkosze rokokowego buduaru. Nie musicie się męczyć, oglądając wczytanego w Biblię Rembrandta, trapić się „Okropnościami wojny” Goi. Amerykanie pierwsi załapali się na łatwość impresjonistów, zaczęli płacić gigantyczne pieniądze. No, a jak to tyle kosztuje, to musi być wielkie, choćby było makatką.

Paryż, maj 1999/Kraków, styczeń 2001



JOANNA BONIECKA
– historyczka sztuki,
dziennikarka.

ZBYLUT GRZYWACZ
– malarz, członek byłej Grupy
Wprost, wykładowca
krakowskiej Akademii Sztuk
Pięknych.

Pięknie mu z wąsami

**Nosi je co siódmy Polak.
Wabi nimi lewa i prawa strona sceny politycznej.**

Sumiasto pod nosem ma rektor UJ Franciszek Ziejka i reżyser Krzysztof Jasiński. Podkrecają co trzeba Lech Wałęsa i Andrzej Sikorowski, Jan Łopuszański i Krzysztof Janik, Romuald Szermietiew i Bogusław Smoleń, Andrzej Szarmach i Kazimierz Kaczor.

Wystarczy przejrzeć ostatnie nominacje generalskie, by stwierdzić, że w górę idą osobnicy łysi oraz z wąsami. Wąsów tradycyjnie nie nosi tylko cywilny kler oraz panie.

Jedyną znaną mi niewiastą, która sama wymodliła sobie wąsy, była portugalska księżniczka Wilgefertis. Księżniczkę molestował seksualnie król Sardynii. Cnotliwej dziewczycy za sprawą Niebios wysypało się jednak pod nosem co trzeba, i królowi natychmiast wychłódkło. U nas z lekka wąsata była podobno posiadaczka dużych, wspaniałych piersi i sławy mołojackiej: Emilia Plater. No, ale może to tylko złe, zardrosne języki.

Od Grzegorza VII do diabła Boruty

Panowie, choć przyznają się do tego niechętnie, wzór biorą głównie ze starożytnych Babilończyków, Asyryjczyków, Persów, Greków i Rzymian. Cesarze tych ostatnich aż do Hadriana golili wąsy. Potem, aż do późnego Dioklecjana, cesarz bez wąsów był jak krakowski magistracki urzędnik bez teczki, czyli nagi. Modę na gołowąsów przywrócił dopiero Konstantyn Wielki.

Sam Bóg Ojciec zawsze – i Mojżeszowi, i na freskach – pojawiał się z wąsami oraz

brodą. Jego Syn w wieku młodzieńczym – o czym świadczą najstarsze mozaiki w Rzymie – nie miał zarostu; zapuścił go dopiero jako dorosły mężczyzna.

Pilnie i starannie golili się papieże i biskupi, księża (noszenia wąsów zabronił im papież Grzegorz VII, a od synodu w 1324 r. musieli usuwać włosy z twarzy obowiązkowo przynajmniej raz w miesiącu) i zakonnicy. W ślad za nimi zaczęli to czynić (dowodem ikonografia) święci i aniołowie w niebie oraz diabły (jedynym wąsatym czartem był później łączycki Boruta, ale on z naszych, z polskiej szlachty).

Oddaj wąsy

Gdy dokładnie wygoleni (bądź też nie mający owłosienia twarzy za sprawą samej natury) archaniołowie przyszli ok. 650 r. do chaty Piasta, zastali naszego kołodzieja z zanurzonym w garncu miodu ogromnym, sumiastym wąsem. Podobnie nosili się wszyscy jego potomkowie, całe plemię lasze (ściślej – jego męska część, co podkreślam, by nikt mi nie zarzucił historycznych nieścisłości).

Posiadaczem najpiękniejszych i największych wąsów był prawdopodobnie Władysław Łokietek. Za Jagiellonów (Wazów również) uważano, że wąsy bardziej niż broda przystojują stanowi rycerskiemu. Wtedy też, w roku 1409, wydarzyła się historia dziwna a pouczająca: król Władysław zamówił u szewców z Kołaczyc na Podkarpaciu większą partię butów, jako że jego rycerstwu trudno było pod Grunwald maszerować na piechotę. Szewcy zaliczkę wzięły i przepiły, czym nie robiąc.

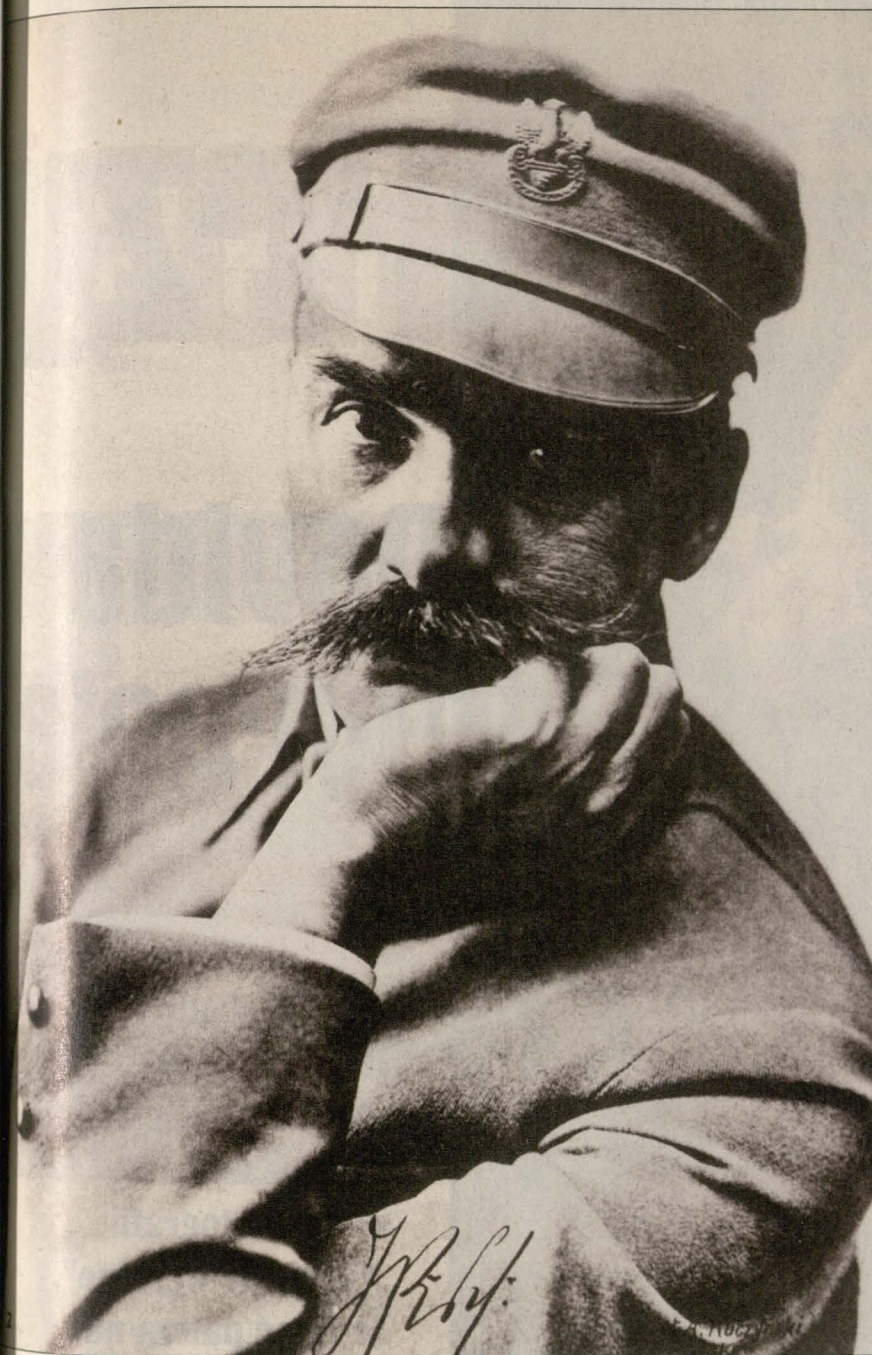


Rozeźlony król nakazał każdemu na znak hańby uciąć po jednym wąsie. I do dziś w Kołaczycach za zawołanie „Sprzedaj wąsy!” dostaje się w pysk.

Wąsem ruszać, szabłą ciąć

Szły ze świata mody różne, zmieniały kształt brody, golono vulgo strzyżono czupryny, ale wąs Sarmata mieć musiał, bo bez niego nie szło ani sunąć w koperczaki do panien, ani na popis, czyli do boju.

*Gdy Jan Czarniecki słynął żelazem
I dla ojczyzny krew swą poświęcał
Wszystkie go Polki wielbiły razem
A on tymczasem wąsa podkrywał.*



*Gdy szli na popis rycerze nasi
A męstwem tchnęła twarz okazała
Maryna patrząc szepnęła Basi:
– Za wąs ten czarny serce bym dała!*

„Oda do wąsów” Franciszka Dionizego Książczyna była pod koniec XVIII w. tak popularna, że powierniczka Maryny wskoczyła aż do naszego hymnu narodowego. Wybicki, pisząc „Pieśń Legionów polskich we Włoszech”, przypomniał sobie apoteozę symbolu męskości.

Człowiek bez wąsów wyglądał na europejskich dworach albo niepoważnie, albo, co gorsza, wywrotowo: gołowąsi (Cromwell, Hampden, Kościuszek, Napoleon) zwiastowali niepokój.

Nadwiślańskim i kresowym wąsom (od czasu Wazów często podkręcanych do góry) nie dały rady żadne dziejowe kataklizmy. Protestujący przeciw rozbiorowi Polski Tadeusz Rejtan ma wprowadzić wąs narodowi ruszając wąsikami niczym Wołodyjowski.

O należne wąsom prawa upominają się i narody ościenne. Przy okazji otwarcia czeskiego Teatru Narodowego (1884) wybuchła dzika awantura: czy bohater sztuki „Lipany” Prokop Łysy ma mieć wąsy? Ci, którzy twierdzili inaczej, okrzyknęli zostali mianem zdrajców narodowych.



1. Posiadacz, ponoć, najpiękniejszych i największych wąsów – Władysław Łokietek.
2. W 1918 r. niepodległość przyjechała do nas z Magdeburga na wąsach komendanta Piłsudskiego.
3,4. Napoleon, Kościuszek – gołowąsi zwiastowali niepokój.

U nas najdłuższe wąsy (80 cm) wyhodował – w młodości buntownik i mason, potem prezydent parlamentu wiedeńskiego Franciszek Smolka. Swemu podziwowi dla nich dał wyraz sam bokobrodowy cesarz Franciszek Józef I. Spowodowało to olbrzymie zainteresowanie polskiego społeczeństwa hodowlą wspaniale modelowanych „pokretnych ozdób twarzy”.

Wypełnianie w binzie

Na noc i pan hrabia Potocki, i pan radca Felicjan Dulski, i majster murarski ze Zwierzyńca zakładali pod nosy przytwierdzone tasiemkami do uszu futerały na wąsy, czyli bindy, wykonywane z miękkiego materiału lub skórki. Bindy nie zdejmowano nawet w czasie wypełniania obowiązków małżeńskich: ważniejsze było to, co pod własnym nosem.

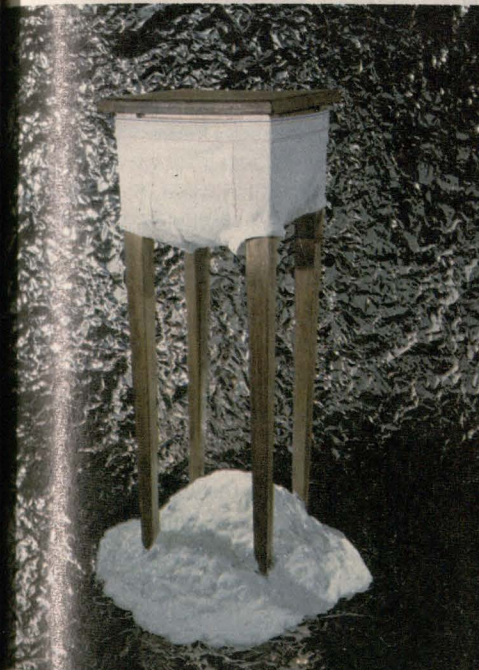
W 1918 r. niepodległość przyjechała do nas z Magdeburga na wąsach komendanta Piłsudskiego, witanego przez wąsatych legionów i polityków. Potem na siedmiu prezydentów Rzeczypospolitej pod nosem nic nie miało jedynie dwóch (Jaruzelski i Kwaśniewski), przy czym ten drugi ma jeszcze szansę poprawienia sarmackiej statystyki. Nie zrobił tego w czasie ostatniej kampanii, nie chcąc być zapewne oskarżonym o działanie pod damską publiczkę: wiadomo, że panie wąsy uwielbiają i że pielęgnujemy je głównie dla nich.

LESZEK MAZAN

Przyjęcie weselne

David Byrne'a

Lider zespołu Talking Heads otwiera we włoskim Trieście wystawę swoich fotografii „Przyjęcie weselne”. Ze zdjęć patrzą na widzów przedmioty codziennego użytku ubrane w ludzkie stroje: weselnicy i goście.



„El Novio” (Pan młody)



„La Novia” (Panna młoda)



„El Chico” (Chłopiec)

Seria zdjęć i rzeźb czerpie swoje początki z wudu - mówi David Byrne. - Długo interesowałem się wieloma afrolatantyckimi religiami, ich muzyką, tańcem i sztuką. Kilka lat temu w Miami trafiłem na olbrzymią wystawę wudu. Znalazłem tam wiele wotywnych przedmiotów - fetyszy. Jednymi z nich były zwykły widelec i nóż, do połowy opakowane tak, że przypominały to „ubranie” przedmiotu. Nadawało obiektowi pewnego rodzaju życia. A może jego energia i moc w ten sposób zostały odkryte? Od razu pomyślałem: a gdyby ubrać inne przedmioty? Czy dałoby to im życie? Czy przez zwyczajne ubranie przedmiot zyska pewną aurę? Czy będzie to jednocześnie zabawne i potężne?

Narodził się więc pomysł łączenia zwykłych przedmiotów tak, aby nadać im nowe znaczenie, nieco tajemnicze, niezwykle, odmienne, a czasem zabawne. Jednak od pomysłu do realizacji minęło trochę czasu i pierwotne zamierzenia ewoluowały. Pojawił się współpracownik - Adell Lutz, żona artysty. Wcześniej oboje pracowali razem, projektując fantazyjne kostiumy do wielu performance'ów oraz do filmu Byrne'a „True Stories”.

Kobieca ręka okazała się niezwykle pomocna w doborze strojów. Nagie dotychczas przedmioty ożyły, gdy Adell wystroiła je w ciuszki zdobyte na pchlich targach i wprzedażach.

Gdy naczekało się ich trochę, przyszedł czas na fotografowanie.

- Zdałem sobie sprawę, że zamiast stworzenia współczesnych fetyszy, przedmiotów z potężną aurą, stworzyliśmy małych ludzi, w zasadzie rodzinę - wyjaśnia Byrne. - Zacząłem fotografować je nie jako relikwie, ale jako ludzi w kontekście rodzinnym. W ich domach i ogrodach, obok ich mebli. Aby zachować afrolatynską religijną inspirację, nadałem im hiszpańskie imiona. Tak powstały m.in.: para małżeńska El Novio i La Novia, otyły wujek Tio Guilerno i inni weselni goście.

Pozostało tylko oprawić zdjęcia. Wsadzenie ich w ramy, w jakie oprawia się zwykle zdjęcia rodzinne, wydawało się Byrne'owi zbyt banalne i oczywiste. Zdecydował, że każda z nich będzie w innym kolorze, dopasowanym do kolorystyki fotografii. Jednak na tym nie ko-

niec. Pomalowane ramy wizualnie miały dawać podobny efekt do lakierni samochodowej! Oczywiście powłoka lakiernicza swoją głębią i barwą zawdzięcza wielu warstwom i rodzajom nakładanego lakierni. Dodatkowo proces ten w fabrykach samochodów jest całkowicie zautomatyzowany, co przy niewielkiej liczbie ram było niemożliwe. Tu z pomocą artysty przyszedł nowojorski ramiarz Stephan Petrik. Ręcznie stworzył efekt osiągnięty dotychczas jedynie przez maszyny.

Gdy oprawione fotografie zawisły na ścianach, David Byrne, by uzyskać złudzenie rzeczywistego przyjęcia weselnego, zastosował prostą sztuczkę. Nagrał hałas prawdziwego przyjęcia, gwar rozmów, brzęk szkła. Co jakiś czas gwar cichnie, aby znowu przybrać



„Tio Guillermo” (Wujek Guillermo)



„El Cardinal” (Kardynał)

na sile – pomieszczenie powoli wypełnia się gośćmi.

Dla większości ludzi David Byrne, to przede wszystkim założyciel, wokalista i lider zespołu Talking Heads. Jednak zanim rozpoczął muzyczną karierę, kształcił się w kierunku plastycznym. W 1970 r., w wieku lat 18, rozpoczął naukę w Szkole Designu na Rhode Island. Nie był zachwycony szkołą:

– Myślę, że szkoła sztuki to prawdziwa granda, zwłaszcza w tym kraju – mówi David. – Wprawdzie można znaleźć tam kilku dobrych nauczycieli i interesujących studentów, ale nie jest warta pieniędzy, które na nią wydajesz.

Wykładowcy także nie byli zachwyceni Davidem. W 1971 r. po performance, podczas którego ogolił sobie brodę i włosy na głowie przy akompaniamencie akordeonu i w asyście dziewczyny pokazującej kartki ze wskazówkami w języku rosyjskim, został usunięty z uczelni. Wkrótce rozpoczął karierę muzyczną. Zaczynał ze swoim przyjacielem Marciem Kehoe, z którym tworzyli duet „Bizadi”. David śpiewał, grał na ukulele i skrzypcach,

Marc śpiewał i grał na akordeonie. Przetrwali rok, okazjonalnie grając w restauracjach i knajpach.

Pięć lat później w Nowym Jorku Byrne z grupą przyjaciół założył Talking Heads. Istniejąca do 1988 r. grupa zyskała dużą popularność. Nagraniami i koncertami wytyczyła nowe kierunki w muzyce, tekstach piosenek, a także w wizualnej oprawie koncertów. Ten okres był wyjątkowo płodny dla Davida. Był liderem grupy, gitarzystą i wokalistą. Komponował muzykę, pisał teksty piosenek. Wyreżyserował wiele teledysków zespołu. Tak rozpoczął przygodę z filmem.

W 1983 r. Jonathan Deem nakręcił koncert Talking Heads w Pantages Theater w Hollywood. Powstał „Stop Making Sense”, pierwszy muzyczny film, w którym zastosowano technikę bezpośredniego zapisu cyfrowego. Byrne wystąpił w nim ubrany w charakterystyczny „wielki garnitur” – połączenie uniformu biznesmena i kostiumu z teatru kabuki. W 1986 r. Byrne wyreżyserował film „True Stories”, a rok później zdobył Oscara jako współtwórca muzyki do „Ostatniego cesarza” Bertolucciego.

Jego pierwszy album fotografii, zatytułowany „Strange Rituals”, ukazał się w 1995 r. „New York Times” uznał go za jeden z 10 najlepszych albumów roku. Zdjęcia Davida Byrne’a były prezentowane na wielu wystawach w Europie, Japonii, USA i Ameryce Południowej.

Wystawa „Przyjęcie weselne” nie jest pierwszą prezentowaną w Trieście. W 1998 r., w podwójnej wystawie zorganizowanej przez galerię LipanjePuntin i Revoltella Museum for Modern and Contemporary Art., pokazał swoje najważniejsze życiowe prace. Ekspozycja „Your Action World” w Revoltella Museum została podzielona na trzy części: Stairway to Heaven, Better Living Through Chemistry i Super-Ego. W pierwszej części Byrne z walutą wielu krajów zestawia różne rodzaje broni, pistoletów, amunicji i bagnetów. W Better Living Through Chemistry łączy zdjęcia amerykańskich krajobrazów z narkotykami i inspirująco-motywuującymi hasłami. Całość tworzy znakomite naśladownictwo współczesnej reklamy, propagandy wielkich firm. Super-Ego to z kolei poczwórny autoportret artysty. Cztery plastiko-

we lalki w czterech nastrojach: Byrne wściekły – w ogniu, smutny – w morzu łez, rozmarzony – w trawie i martwy – w chmurach.

Wystawę „Summa Scientae Mundi” w galerii LipanjePuntin podzielono na dwie części. Pierwsza to „Sacred Objects”, zdjęcia przedmiotów codziennego użytku, którym nadano świętość przez umieszczenie ich w kontekście religijnym i oprawienie w ciężkie złote ramy. Druga część to „Summa Scientae Mundi”, od której wystawa bierze tytuł. Znow widzimy przedmioty, tym razem książki, sfotografowane w bardzo indywidualny sposób.

Podstawowym pomysłem Byrne’a w całej jego karierze jest poszukiwanie sposobu na łączenie przedmiotów nie mających ze sobą nic wspólnego, wynoszenie ich na wyższy poziom, nadawanie im nowego znaczenia. Potrafi znaleźć, jak sam mówi – „zwariowane piękno” we wszystkim: w indiańskich plakatach filmowych, plastikowej figurce Buddy czy łazience anonimowego hotelu.

STEFAN ROKITA
Zdjęcia dzięki uprzejmości galerii LipanjePuntin w Trieście.



ZNAKI, SYMBOLE – IKONY XX WIEKU (3)

McDonald's – światowy hamburger

Ameryka ma i takie symbole, które zawdzięcza swej gospodarce i ekspansywności. Należy do nich fast food – jedzenie na szybko z podstawowymi daniami: hamburger, frytki, hot dog. Firmą serwującą tego typu potrawy w 119 krajach jest McDonald's. Restauracje tej korporacji, traktowane jako synonim USA i globalizacji, są nierzadko przedmiotem pikiet, dewastacji i zamachów.

Pierwszy lokal bracia Richard i Maurice McDonald założyli w 1937 r. Kolejny w 1940 w San Bernardino. Odnieśli wielki sukces. Osiem lat później dokonali gruntownej przebudowy. Ich lokale zaczęły odwiedzać nie tylko nastolatki, ale całe rodziny. Menu

drastycznie ograniczono, a potrawy przygotowywano wcześniej. Od 1952 roku bracia zaczęli sprzedawać licencje.

Architekt zaproponował budynek, który bracia uznali za zbyt płaski. Dodali więc do szkicu wielkie łuki, które jednak wykorzystano tylko jako neony. Tak narodziły się „The Golden Arches” (Złote Łuki) – znak McDonald's.

Człowiekiem, który dokonał przełomu, był Ray Kroc. 15 kwietnia 1955 r. stworzył pod Chicago pierwszego własnego McDonald'sa i ten dzień uznaje się za datę powstania korporacji. W 1961 r. odkupił od braci prawa do znaku i systemu za niebo-

tyczną na ówczesne czasy kwotę 2,7 mln dolarów. Dwa lata później sprzedaż osiągnęła poziom miliona hamburgerów dziennie, a właściciel serwował miliardowego przed kamerami telewizji.

McDonald's dostosowuje się do specyfiki regionalnej. I tak np. w Nowej Zelandii można zjeść kiwiburgera, w Norwegii maclaksa – kanapkę z mięsem łososia. W Izraelu działają koszerne restauracje, w krajach islamskich przestrzega się halal – tradycyjnych zasad przygotowywania jedzenia, a w Indiach hamburgery produkowane są z baraniny.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

PAPIEROWA KOMÓRKA

Lisa Altschul, wynalazczyni z New Jersey, opatentowała niedawno swój najnowszy wynalazek – telefon komórkowy z... papieru. Altschul twierdzi, że produkowane na skalę przemysłową komórki staną się prawdziwym przebojem. Mają kosztować tylko 10 dolarów, więc po sześćdziesięciu minutach użytkowania będzie można je bez żalu wyrzucić lub uzupełnić, korzystając z karty kredytowej. Amerykanka jest zafascynowana celulozą, ponieważ – oprócz papierowej komórki – opatentowała także papierowy komputer. Wykonany w tej samej technologii miałby kosztować 20 dolarów – niestety bez monitora. Lisa Altschul wierzy, że dzięki wynalazkom majątkiem wkrótce dorówna Billowi Gatesowi. (SR)



www.dtcproducts.com

SAMOCHÓD MAD MAXA

Wszyscy miłośnicy motoryzacji na pewno pamiętają potężne terenowe samochody, którymi „żli faceci” ścigali Mela Gibsona w filmie „Mad Max”. Niedługo być może każdy zasiądzie za kierownicą takiego futurystycznego pojazdu. Nowy prototyp Forda, oznaczona symbolem EX terenówka, to auto na każdy rodzaj nawierzchni. Ma stabilny układ jezdny, chromowaną, odporną na korozję karoserię i turbodoładowany silnik o mocy 375 KM. Oczywiście, nie zapomniano o napędzie na cztery koła. Wnętrze EX jest surowe, lecz funkcjonalne. Siedzenia i deskę rozdzielczą pokryto odpornymi na słońce, deszcz i temperaturę materiałami. Do środka wchodzi się po wyprofilowanych w karoserii schodkach. Całość zamyka potężna „klatka”, gwarantująca bezpieczeństwo pasażerom. Niestety, EX to autko przeznaczone tylko do terenowych szaleństw, więc większy bagaż możemy umieścić jedynie na bokach pojazdu. Rodzinom raczej nie polecamy. (SR)



Śmierć w kulturze dawnej Polski

Od średniowiecza do końca XVIII wieku

Wystawa w Zamku Królewskim w Warszawie
15 grudnia 2000 – 15 marca 2001

Patroni medialni:

HOFF ASYMETRIA



Zaczynamy ćwiczyć asymetryczne doły. Nie mówcie, że to jest coś nowego.

W Hofflandzie robię to już sześć sezonów. To się tliło, było, trochę się łapało, ale nie bardzo, ciągle ktoś coś takiego pokazywał. Przerabialiśmy asymetryczne dekolty, słynne sukienki czy trykoty na jedno ramię, które są już właściwie klasyką. Długie suknie wieczorowe na jedno ramię wydają się być od zawsze, a teraz mamy te doły. Po prostu ścięte na jedną stronę. Będzie tego masa na lato, ale ja jeszcze pokazuję przykłady rzeczy wieczorowych z obecnego sezonu. To jest zabawne, to jest nowe. To jest bardzo dobre na wieczór. Jeżeli jesteście w stanie na chwilę oderwać się od długich spódnic, bo długie spódnice, które oczywiście, oczywiście są nadal modne – cieszą się u nas nielubianą popularnością. Nosi się je do szkoły, do pracy, na wszelkie okazje i w każdym wieku. Przy okazji coś zupełnie z innej, chociaż bliskiej beczki. Otóż przy całym tym manipulowaniu z brzegiem sukni pojawiła się jeszcze inna koncepcja: krócej z przodu, dłużej z tyłu (fot. 3). Wygląda to dość zaskakująco, w pierwszej chwili ma się wrażenie, że sukienka się mocno wyciągnęła z tyłu i trochę średnio wygląda. Ale mnie osobiście zachwycają nowe pomysły. Kiedy to pierwszy raz zobaczyłam, to wrażenie było takie sobie, ale potem się człowiek przyzwyczaja i jest w tym coś. To kto pierwszy?

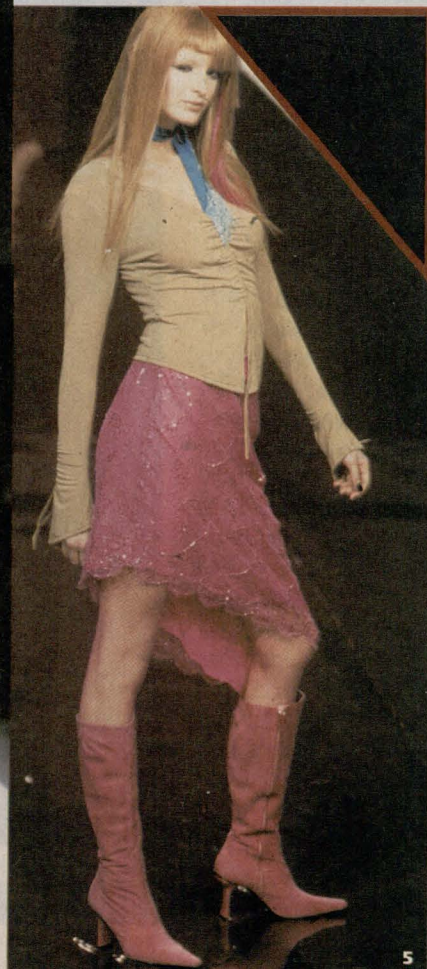
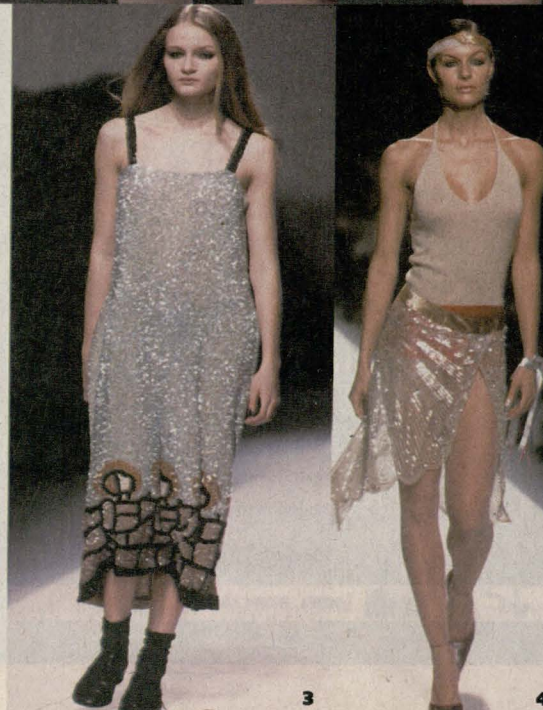
HOFF

Zdjęcia:

1. B. skromna sukienka-koszulka z asymetrycznym dołem.
2. Asymetryczny dół i dekolt na plecach. 1 i 2 Hoffland, proj. HOFF.
3. Anna Molinari.
4. To jest jedna z alternatyw: połączenie asymetrii z rozcięciem daje taki skos z przodu. Uwaga na pasek lekko zsunięty na biodra. Blumarine.
5. W bardzo znanych kolekcjach ukazują się rzeczy w stylu, który kilka lat temu wydawałby się niedopuszczalny. Lolita Lempicka.

1 i 2 FOT. ROBERT KULESZA.

3-5 FOT. RAFAŁ STRZECHOWSKI/FREE.



Adam Wiedemann Dziennik „duszy” (4)

13.01.01

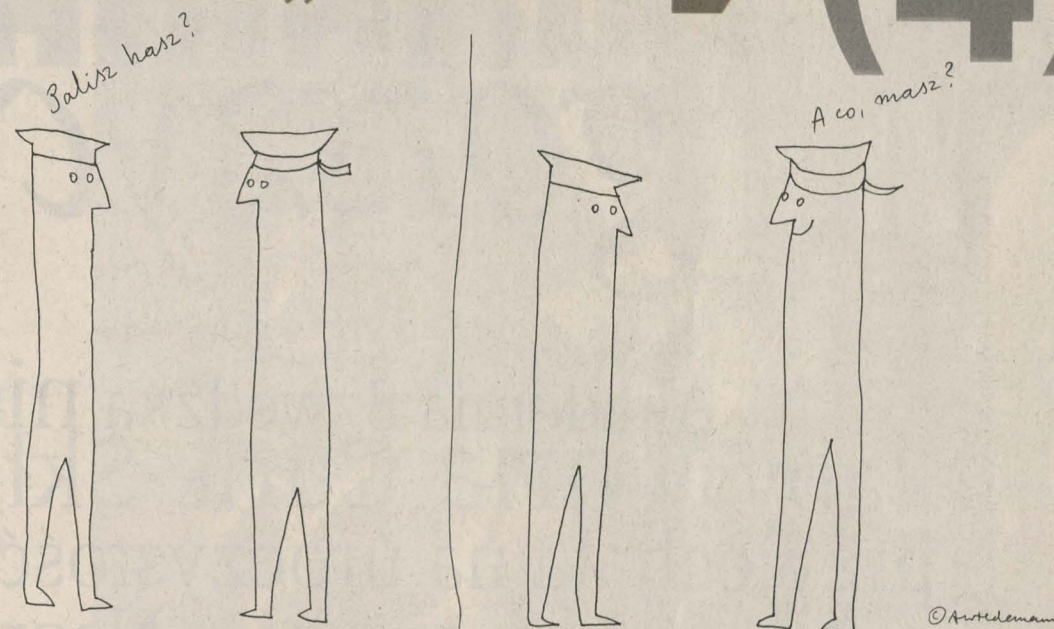
Spróbowałem skorzystać z czytelnicy, ale się okazało, że jest sesja. Studenci tłoczą się przy kontuarze jak krowy przy korycie, garną się do tej „wiedzy”, którą przez cały rok zlewali równo z góry na dół; a wieczorem pójdą do knajpy i znów nie będzie gdzie usiąść.

14.01.01

Poza wszystkim, co robię, czytam też nową książkę Maćka Woźniaka, z wierszami, trochę czytam, a trochę zastanawiam się, jak to jest z tym słuchaniem po śmierci, czy dusza w ogóle słyszy (chodzi mi o dźwięki, bo słowa, to co się do niej mówi, to może równie dobrze czytać w myślach; w przypadku duszy taka zdolność wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobna niż słyszenie), a jeśli słyszy, to czy musi polować na konkretne wykonania, czy też może sobie „zażyczyć” jakiegoś utworu i kto jej wtedy to życzenie spełnia, i czy dusza może dla duszy i co właściwie może, co one wszystkie tam ze sobą robią? Z powodów osobistych zainteresował mnie wiersz „Richard Strauss, rozmyślenia po śmierci”, Maciek chyba nie lubi Richarda (jak można nie lubić kogoś, kogo ja tak lubię?), wspomina mu podeszły wiek, to dosyć nieładnie z jego strony, zwłaszcza że gdyby Richard nie dożył tych osiemdziesięciu pięciu, nie powstałoby ileś moich ulubionych kawałków. *Zakłętę kręgi na wodzie*, to brzmi całkiem niezłe w odniesieniu do „Metamorfoz”, ale ciekaw jestem, czy Maciek załatwiłby się równie gładko z Koncertem obojowym, gdzie z mozartowską lekkością mówi się: „czasem niezłe jest stracić wszystko i poczuć się nagle jak piórko”.

16.01.01

Iwonka chora, idę jej zanieść mandarynki i antybiotyki, co po mojej chorobie zostały. Agnieszka wpuszcza mnie trochę zaleźniona, od razu więc zapewniam, że jej misiu (czy jak mu tam) mo-



że się dzisiaj czuć całkowicie bezpiecznie, po czym wkraczam do dyszącego atmosferą śmierci pokoju Iwonki, wręczam jej szybko prezenty, po czym co prędzej biegnę w jak najdalszy kąt, żeby się nie zarazić.

– Adasiu, co to znaczy „doktorknąć”? – pyta na wstępie Iwonka.

Zwariowała, czy co? – myślę sobie, i mówię, że pewnie „zrobić doktorat”.

– Nie, Adasiu, to coś innego znaczy, sam mi to napisałeś, to teraz wytłumacz.

– No ciekawe, gdzie też to napisałem.

– Na jednym liście, Adasiu, mam ci pokazać? – i pokazuje mi ten list, na którym rzeczywiście napisałem „doktorknąć”, ale dlaczego właściwie miałyby to od razu coś znaczyć?

Potem czytam Iwonce z gazety dla kobiet, czym pielęgnują się znane polskie aktorki i piosenkarki. Prawie wszystkie używają kosmetyków oraz preparatów, a także kremów, mleczek i perfum, tylko Anna Maria Jopek stosuje *kostkę do mycia* zwaną potocznie *mydłem bez mydła*. A mydło z mydłem? Czy ktoś pamięta jeszcze, jak to smakuje, jak szczypta, gdy się dostanie do oczu? I jak trudno to złapać, kiedy wpadnie do wanny?

Po wyjściu od Iwonki dzwonię z budki do Marysi C. Marysia C. jest wściekła, prawdę mówiąc, jest dokładnie tak wściekła, jak ja bym był na jej miejscu, ale ponieważ jest wściekła na mnie, uważam jej wściekłość za mocno przesadzoną. Jak można tak się wściekać na mnie, i to o coś, czemu jest winny tylko ślepy los.

– To całkiem tak, jakbyście zamiast „Biblia” napisali „Bible” – stwierdza Marysia, mając na myśli fatalny błąd, który wystąpił w tytule jej książki.

– Ale przecież liczba mnoga byłaby tu zupełnie na miejscu – oponuję – wiesz przecież, co słowo „Biblia” znaczy po łacinie, więc zamiast „Pismo Święte” powinna właściwie mówić „Pisma”. – Marysia zdaje się trochę jakby mięknąć w swojej zaciekłości, dorzucam więc: – W twoim przypadku jest tak, jakby „Chłopów” wydać pod tytułem „Chłop”.

– No właśnie – zgadza się ze mną Marysia, już na powrót poważnie rozszluszczona.

17.01.01

Tak samo trudno jest wstać, kiedy się spało dwanaście godzin, jak kiedy

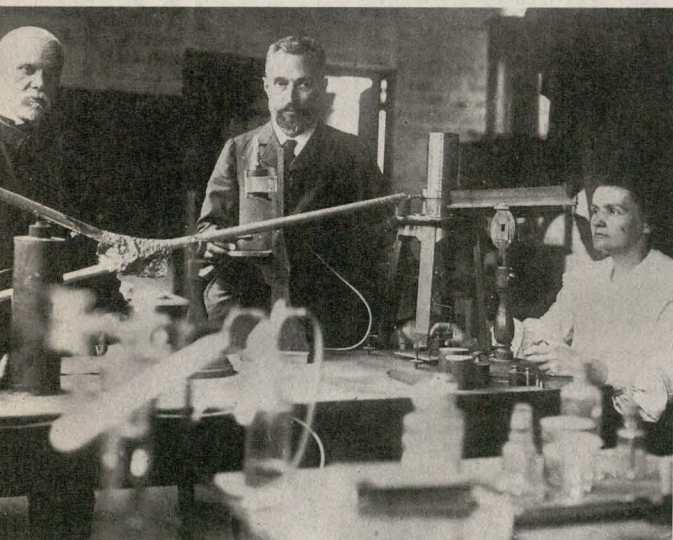
szczęść. Mam na myśli, rzecz jasna, wstawanie do pracy. Tam znów Marysia, zloszcząca się coraz mniej apetycznie, aż w końcu postanawiam też się na nią złościć, a właściwie to dać sobie z nią spokój, jak chce, to niech się złości, co mnie do tego. Odkładałam słuchawkę i nagle co za ulga, jedna koleżanka mniej, a ileż za to świętego spokoju.



ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich („Samczyk”, „Rozrusznik”) i prozatorskich („Wszędobylstwo porządku”, „Sęk Pies Brew”). Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE.

MARIA. gorszycielka

Akademia Szwedzka nie chciała, aby Maria Curie-Skłodowska przyjechała na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla.



Od lewej: André Debierne, Piotr i Maria przy wadze piezoelektrycznej do pomiaru radioaktywności. Współpracownicy pary noblistów twierdzili, że Debierne był nie tylko współpracownikiem Marii, a córka Eve miała jego rysy.

Najbardziej chyba podziwiana Polka, Maria Curie-Skłodowska, nie była aż tak święta, jak sugerują oficjalne hagiografie. Za ten – jakże względny z dzisiejszej perspektywy – brak świętości, zapłaciła słono. W jej epoce panom profesorom trudno było znieść konkurencję w spódnicy. A już szczególnie denerwowało ich, że w tej spódnicy chodzi prawdziwa kobieta, która, będąc wdową, ma czelność nie zapominać o miłości.

Każdemu Polakowi, a szczególnie Polce, ciepło robi się na sercu na wspomnienie dwóch Nagród Nobla Marii Curie-Skłodowskiej. Mało kto wie jednak, że po tę drugą pojechała do Sztokholmu na przekór Szwedzkiej Akademii. Na kilka dni przed ceremonią, którą prowadzić miał król we własnej osobie, chemik Svante Arrhenius, jeden z najbardziej wpływowych w rozdzielaniu Nobla uczonych, wysłał list, w którym pisze do nominowanej przez siebie laureatki, by ze względu na krążące o niej pogłoski i artykuły prasowe nie pojawiała się w stolicy Szwecji.

O tej mało znanej sprawie dowiedziałem się z wydanej niedawno książki Karin Blanc „Marie Curie i Nagroda Nobla”. Dziennikarka paryskiego tygodnika „l'Express”, a w latach sześćdziesiątych attaché kulturalna Ambasady Francuskiej w Sztokholmie, pani Blanc, dostała ze Szwecji list Marii Curie, który – jak się okazało – był odpowiedzią na list Arrheniusa. I chciała wiedzieć, czy było to wydarzenie równie bezprecedensowe, co podwójne ukoronowanie tej samej osoby w dwóch dziedzinach nauki, czy z kimś jeszcze, w stuletniej już historii Nobla, postąpiono tak bezceremonialnie.

Fundacji Nobla nic o tym nie było wiadomo, a może raczej nie chciała niczego wiedzieć, gdyż epizod z Marią Curie-Skłodowską nie należy do dziejów chwały najbardziej prestiżowej nagrody międzynarodowej.

Karin Blanc przekopła się przez szwedzkie archiwa i wynik tej mrówczej pracy potwierdził jej oczekiwania – Polka jest absolutnym wyjątkiem. Postanowiła zatem zbadać rzecz dogłębnie. Sprawdzić korespondencję z tego okresu, którą obficie

wymieniali francuscy, szwedzcy i inni uczeni oraz główna zainteresowana, Maria Curie.

Wchodząc na tę działkę, nie mogła ograniczyć się do „sprawy Nobla”. Musiała rozszerzyć pole swych badań „o aferę Langéviną”. Bo ta pierwsza wynika z tej drugiej.

4 listopada 1911 roku, na trzy dni przed czterdziestymi czwartymi urodzinami uczoniej i przyznaniem jej Nobla z chemii, paryski dziennik „Le Journal” zamieścił równie złośliwy, co plotkarski artykuł o romansie odkrywczyni radu z Paulem Langévinem, wielkim fizykiem, uczniem jej męża. Podstawą „oskarżeń” było to, że w Brukseli, gdzie oboje przebywali na pierwszej konferencji Rady Solveya, mieszkali w tym samym hotelu. Specyfiką odbywających się wciąż spotkań naukowych instytutów fizyki i chemii, ufundowanych przed laty przez Ernesta Solveya jest to, że ich uczestnicy cały czas spędzają razem. Zakwaterowani są też w jednym hotelu. Dziś nikogo nie dziwi, że są tam uczeni i uczonice. Dziewięćdziesiąt lat temu patrzono na to nieco inaczej, a Maria Curie-Skłodowska była jedyną kobietą zaproszoną do udziału w tych debatach najwyższej klasy naukowców. Do Brukseli przyjechało wtedy dziewięćcioro laureatów Nobla. (No, nie wszyscy już go mieli, niektórzy musieli jeszcze kilka lat zaczekać.)

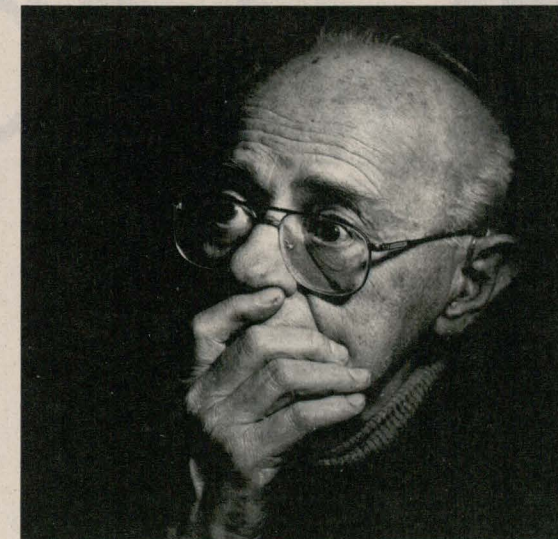
Paul Langévin był żonaty, ale jego małżeństwo już się wtedy rozsypywało. Właśnie przeprowadzał separację i jego małżonka, a głównie jej rodzina, starała się oskubać go przy tej okazji niemilosiernie. I nie unikała chwytów poniżej pasa. Jednym z nich było wykradzenie listów męża i do męża, które przekazała następnie szmatławemu pismu, prowadzonemu przez swego ciociotka. Zostały one częściowo wydrukowane. To jednak nastąpiło nieco później. Z odradzeniem Marii Curie-Skłodowskiej przyjazdu po Nobla, wspomniany już profesor Arrhenius nie czekał nawet na ogłoszenie jej „kompromitującej” korespondencji.

Cóż to była za kompromitacja? Pierre Curie nie żył już od pięciu lat. A w roku 1910 zmarł jego ojciec, z którym łączyła Marię wielka przyjaźń. Być może myślała, że po odejściu starego doktora Curie, nikogo już nie zrani brakiem pozagrobowej wierności małżeńskiej. Bo do końca życia wierna była Pierre'owi duchowo i naukowo. Nie była przecież zakonnica i dobrze wiedziała, że mąż nigdy tego od niej nie wymagał. Według niektórych świadectw, pod koniec życia pan Curie był tak słaby i schorowany, że zrezy-



FOTE EAST NEWS

Co Pan na to, Panie LEM!



FOT. BOGDAN KRZEL

Pokusa wyklonowania człowieka będzie rosnać. Być może za 50 lat pojawią się młodzi ludzie głoszący, że są klonami.



RYT. DIMITRI SEZONOW-KISIELOW

moczu lub krwi nie wykryje spotęgowanej mocy mięśni lub ścięgien. Jak powiada ekspert, takie zmiany zaczną się w światowym sporcie mniej więcej za dziesięć lat. Nawet gdyby prawnie było to dozwolone, idealny, dojrzały sportowy klon przyszłości może się pojawić po kolejnych 25 latach. Odpowiednio motywowani rodzice będą mogli zamówić embrion, posiadający najlepszy potencjał atletyczny (i finansowy). Mówi się nawet o tym, że w dalszej przyszłości pojawią się dwa typy elitarnych sportowców: naturalni i usprawnieni genetycznie. W jakimś sensie może to odpowiadać obecnemu przeciwstawieniu wagi piórkowej i ciężkiej.

Bardzo wiele rzeczy dotąd nie spełnionych opisuje artykuł w wymienionym dzienniku. Mogącą nas uspokoić ogólnikowość sportowo-futurologicznych wizji przekreśla kolejny artykuł. Otóż pewien lekarz, którego nazwisko gazeta, notabene, podaje, oświadczył, że zamierza wyklonować człowieka i że w związku z takim postanowieniem już rozgląda się za wszystkimi niezbędnymi rzeczami, które umożliwią mu realizację tego projektu. Okoliczność, że w USA klonować ludzi nie wolno, nie zakłóca owemu doktorowi snu, ponieważ nie wyjawiał ani gdzie, ani przy czyjej pomocy zechce urzeczywistnić swój zamysł. Schematycznie możemy już sobie wyobrazić dwuczęściowość takiej operacji: kobiece jajeczko należy zapłodnić in vitro, a potem zapłodnione wprowadzić w głąb macicy niewiasty, która rozwijający się embrion wynosi aż do porodu.

Mam nadzieję, że pana doktora wsadzą do kryminału wcześniej, zanim rozpocznie publicznie zapowiedzianą działalność. Zarazem obawiam się, że pokusa wyklonowania egzemplarza naszego gatunku będzie w upływie czasu rosła i być może już w pierwszej połowie nowego stulecia pojawią się młodzi ludzie, oświadczający, że zostali wyklonowani. Ustalenie, czy głoszą prawdę, czy też kłamią, może się okazać nadzwyczaj trudne.

STANISŁAW LEM
5 lutego 2001

Wstrząsające wiadomości należy aplikować czytelnikom kroplomierzem. „International Herald Tribune” z 26 stycznia br. nie trzyma się tej zasady, zamieszczając tekst opatrzone nagłówkiem „Sport i genetyka: pokąd patrzą inżynierowie genetyczni?”.

Human Genome Project rozszyfrował naszą substancję dziedziczną, odsłaniając kurtynę nad erą, w której ludzie będą mogli żyć dłużej i najprawdopodobniej będą dysponować środkami, które ich udoskonalą. Belgijski chirurg, Rodge, głosi, że rewolucja genetyczna nie tylko pozwoli uzdrawiać w nowy sposób. Będzie też mieć przerażające konsekwencje, ponieważ nasza wiedza biotechniczna rodzi moc dylematów etycznych. Nadejdą przemiany, jakie wywrą potężny wpływ na arenę sportu, której patronuje Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Dziennikarz „IHT” pisze, że przejście od tyczki do szklanego włókna w skoku wzwyż albo od drewna do tytanu w kijach golfowych jest niczym wobec czasu, w którym zejść ze sceny skandale związane ze środkami dopingowymi w sporcie.

Obecnie moralne zasady w tej dziedzinie są dość wyraziste. Młodzi ludzie, którzy chcą się stać wybitnymi tenisistami albo atletami, są poddawani badaniom udaremniającym udział w zawodach wszystkim, którzy przekraczają to, co dozwolone. Lecz w przyszłości każdy będzie mógł dostać zastrzyk tak zmodyfikowanych genów, ażeby jego cielesne sprawności poważnie się spotęgowały. Doświadczenia tego rodzaju zostały już z powodzeniem przeprowadzone na mandrylach.

Niewątpliwie manipulacje genetyczne dają nam olbrzymią szansę na pokonanie dotąd nieuleczalnych chorób i tym samym zmniejszenie ludzkich cierpień. Co się zaś tyczy atletów, będą mniej narażeni na urazy, ponieważ ich kości, ścięgna i mięśnie zostaną wzmocnione (już teraz można to zrobić z chrząstkami). W dalszej przyszłości rodzice będą mogli sobie wybrać i obstarować potomstwo spośród embrionów tworzonych dzięki sztucznemu zapłodnieniu, ażeby powstał szczególnie

Curie-Skłodowskiej rezygnacji ze stanowiska profesora i powrotu do Warszawy.

Wbrew nienawistnym intencjom, nie byłoby to przecież zesłaniem na Sybir. Zacořana i nie istniejąca wtedy politycznie Polska okazała się mniej kořtuńska od Paryża. W środku burzy wywołanej „afery Langéwina”, Ignacy Paderewski ostentacyjnie spotkał się z Marią Curie-Skłodowską w Paryżu. Zapewne już wtedy zaproponował jej 150 tys. rubli w złocie na otwarcie i prowadzenie laboratorium Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Propozycję tę powtórzył później Henryk Sienkiewicz.

Godność i spokój, jaki zachowała odkrywczyni radu wobec nagonki, nie uchroniły jej przed konsekwencjami zdrowotnymi. Wpadła w głęboką depresję. Niektórzy twierdzą, że była na progu samobójstwa, na pewno przez wiele miesięcy nie mogła pracować. Potem wszystko ucichło i podwójna laureatka Nobla jeszcze za życia stała się niemal spżowym pomnikiem. W sześćdziesiąt jeden lat po śmierci, w roku 1995 pochowana została w paryskim Panteonie, jako pierwsza kobieta, uznana za godną spoczynku pośród największych Francuzów.

Jej podobiznę, wraz z portretem Pierre’a Curie, umieszczono na banknocie pięciusetfrankowym (ok. 300 zł). Informowano przy tej okazji, że jest to nie tylko hołd oddany parze wielkich odkrywców, ale i zdecydowane podkreślenie znaczenia kobiet w historii Francji. To prawda, oprócz alegorycznej Siewczynie i Marianny, Skłodowska jest pierwszą panią na francuskich pieniądzech.

Gdy w przeddzień wprowadzenia banknotu do obiegu opowiadał o tym na konferencji prasowej prezes Banque de France, Jean-Claude Trichet, zapytałem go, czy umieszczając Polkę na francuskim banknocie, chciano również wyrazić wdzięczność tysiącom jej rodaków, którzy pracując we Francji, wzbogacili gospodarkę, kulturę i naukę tego kraju.

Prezes spojrział na mnie z niesmakiem. - Pańskie pytanie jest nie na miejscu. Marie Curie była francuską uczoną.

LUDWIK LEWIN

sytetu, choć na szczęście nie wszyscy, zniszczyli tę miłość, a być może i zdolność Marii Curie-Skłodowskiej do miłości. Jak się wydaje, Paul Langévin był ostatnim mężczyzną odgrywającym znaczącą rolę w jej życiu.

Maria Curie-Skłodowska do Sztokholmu oczywiście pojechała. Zgodnie z tym, co odpisała Svante Arrheniusowi: „Sugeruje mi Pan, bym uczyniła zastrzeżenia wobec Nagrody Nobla, którą właśnie mi przyznano. Jako motyw podaje Pan, że gdyby Akademia Sztokholmska była uprzedzona, zrezygnowałaby prawdopodobnie z przyznania mi nagrody, chyba że publicznie usprawiedliwiłabym się z napaści, których jestem przedmiotem. (...) Podjęcie kroków, jakie mi Pan radzi, uważałabym za poważny błąd z mojej strony. A to dlatego, że nagroda została mi przyznana za odkrycie radu i polonu. Uważam, że nie ma żadnego związku między moją pracą naukową a wydarzeniami z życia prywatnego, które próbuje się wyciągać przeciw mnie w brukowych publikacjach, i które są do tego całkowicie przekręcone. Nie mogę zgodzić się na stawianie jako zasady, że na ocenę wartości pracy naukowej wpływ mogą mieć oszczerstwa i spotwarzanie, związane z prywatnym życiem”. (cyt. za K. Blanc, Marie Curie et le Nobel, Uppsala Studies in History of Sciences, s. 115, tłum. LL).

Pobyt w Sztokholmie i jej tamtejsze wystąpienia były pełnym, monumentalnym triumfem Marii Curie-Skłodowskiej. Dowiedzieć się o tym można z ówczesnej prasy szwedzkiej. Profesorowie, którzy tyle atramentu zużyli, aby powstrzymać laureatkę od odebrania nagrody, którzy nie szczędzili wysiłków, by – w celu niedopuszczenia do rzekomego skandalu – zaalarmować władze, uczelnie i akademie, tryumfu tego nie zauważyli. A w każdym razie słowem o nim nie pisnęli.

Prawie całkowitym milczeniem pominęła sztokholmską celebrację Marii Curie-Skłodowskiej również prasa francuska, jakby zabrakło jej czasu na obmycie się z pomyj, w których – wylewając je na uczoną – sama się zamoczyła.

Bezprzykładna brutalność napaści na noblistkę ma kilka przyczyn. Pierwszą jest oczywiście jej pieć. Niewątpliwie jednak zajądłość jej nieprzyjaciół potęgowało to, że nie była Francuzką. W artykułach, obok obelg typu „złodziejka mężów”, wyrzucano jej polskość. Wrogi tłumek, który na wezwanie gazety zebrał się przed jej domem, krzyczał – won stąd cudzoziemko! Ta demonstracja nie zgorszyła zbytnio dziekana Wydziału Nauk Ścisłych. Miał on poważny zamiar zażądania od Marii



FOT. EAST NEWS

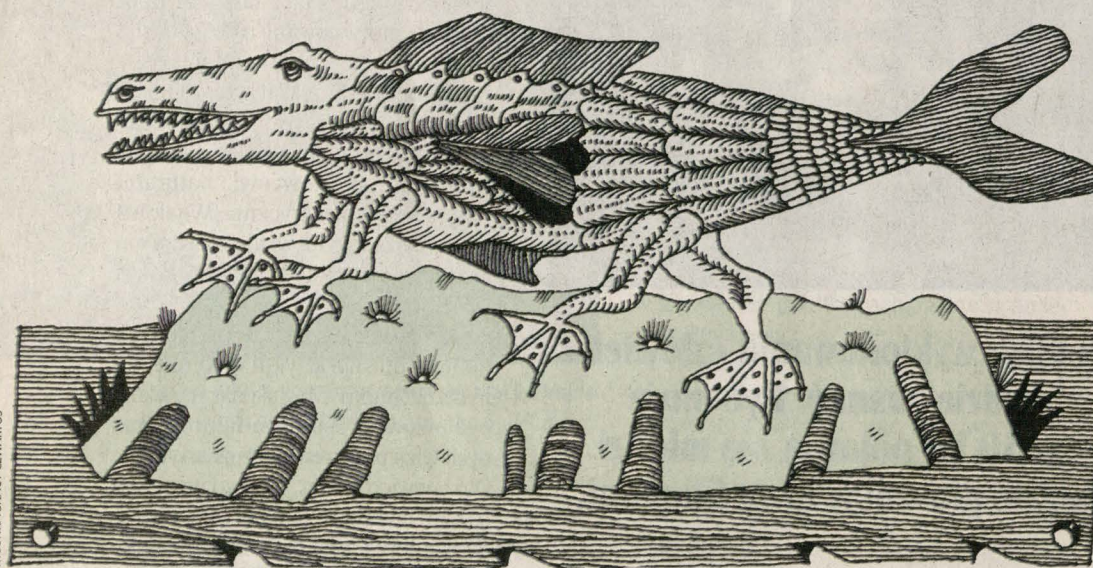
Paul Langévin właśnie przeprowadzał separację. Maria dawała mu miłość bezinteresownie opiekuńczą.

gnować musiał ze spełniania obowiązków małżeńskich. I, jak to wtedy formułowano, zwrócił swej żonie swobodę. Współpracownicy pary laureatów Nobla twierdzili, że Maria wolność tę wykorzystwała i kochankiem jej był André Debierne, odkrywca aktynu, a potem współpracownik Marii przy wydobyciu czystego radu. Do dziś krążą plotki, że młodszą córką Marii, Eve, w ogóle nie przypomina ojca, a podobna jest do Debierne’a.

Również nieco młodszy od Marii, Paul Langévin był uczonym o potężnym umyśle, ale nie charakterze. Niezdecydowany, wobec trudności osobistych chował głowę w piasek, stawiając na niemożliwe przeczekanie. Zapewne związek z wdową po ukochanym profesorze przynosił mu odrobinę spokoju, tak koniecznego do pracy. Maria wzięła bowiem sprawę w swoje ręce. Zaczęła od wynajęcia dlań mieszkania w pobliżu paryskiej Sorbony. Następnie – co widać w ocalałej korespondencji – bardzo zdecydowanie doradzała mu, jakie powinien podejmować kroki, by przeciwstawić się szantażom żony i czego mu robić nie wolno.

Ale przede wszystkim dawała mu miłość – bezinteresownie opiekuńczą, ą najwyższym poziomie uczucia i intelektu. Motłoch, w który wmięszali się i profesorowie uniwer-

NA PLAŻY w Sopocie



Wielka wędrówka, która zaprowadziła człowieka na Księżyc, mogła się zacząć w okolicach sopockich plaż.

Opowieść tę trzeba zacząć od epoki środkowego Breżniewa. Pewien zapalony zbieracz skamieniałości, wędrując brzegiem rzeki Gawi w małej łotewskiej miejscowości Ligatne, znalazł dziwny kamień. W trzycentymetrowym fragmencie dolnej szczęki pradawnego zwierzęcia kolekcjoner nie dopatrywał się niczego niezwykłego. Oddał go do muzeum przyrodniczego w stołecznej Rydze, gdzie przyjęto skamielinę, nie przeczuwając, że kiedyś trafi na łamy prestiżowych periodyków naukowych.

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprowadził do Rygi Pera Ahlberga - paleontologa z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Brytyjski specjalista do-

strzegł w kopalinie świadectwo niezwykle ważnego momentu w dziejach Ziemi. Stwierdził, że kość znakomicie wypełnia lukę między wysoko rozwiniętymi rybami a pierwszymi prymitywnymi zwierzętami lądowymi.

Rybam rosną płuca

Życie wiele razy wychodziło na ląd. Najpierw zrobiły to rośliny, potem stawonogi - pająki, skorpiony i inne obrzydliwstwa. Znacznie później stało się to, co nas interesuje najbardziej: wodę opuściły pierwsze kręgowce. Zagadka, jak tego dokonały, bardzo długo intrygowała badaczy ewolucji.

Dziś wiemy, że zasadnicze przygotowanie do ewolucyjnego skoku na ląd

odbyły się jeszcze w wodzie. Niektóre ryby żyjące w płytkich akwenach zaczęły swym wyglądem przypominać dzisiejsze czworonożne zwierzęta lądowe. Ich głowy spłaszczyły się, oczy przesunęły ku górze czaszki (co było pożyteczne podczas wyglądania ponad lustro wody), ogony wydłużyły. Płetwy spełniały tradycyjną rolę, ale teraz poruszały się na czymś, co przypominało karłowate kończyny. Nadawało to płetwom wygląd krótkich wiosel.

Te ryby były już z grubsza podobne do krokodyla. Ewolucja wyposażała je w jeszcze jeden wynalazek niezbędny do życia na lądzie: płuca. Działo się to około 50 mln lat przed wyjściem pierwszych kręgowców na ląd. Czyżby ewolucja potrafiła z takim wyprzedzeniem prognozować przyszłość? Okazało się, że wytłumaczenie jest znacznie prostsze: płuca pozwalały rybom przeżyć w wodach pozbawionych tlenu. Gdyby ewolucja przewidziała skłonność człowieka do zatrucia rzek, zapewne zachowałaby rybom ten cenny wynalazek.

W 1987 r. Per Ahlberg wspólnie z Jenny Clack z Uniwersytetu Cambridge znaleźli na wybrzeżu Grenlandii jeszcze dziwniejszą rybę. Miała płetwy w kształcie kończyn z uformowanymi już palcami. Sam Ahlberg dokonał też innego interesującego odkrycia. Przyjrzał się uważnie skamielinie, znalezionej w XIX w. w Szkocji. Należała do drapieżnika o długości co najmniej 1,5 m. To zwierzę żyło blisko 370 mln lat temu i było najprymitywniejszym czworonogiem, jakiego dotąd poznano, lecz jego paszczę wypełniały rybnie żęby. Brytyjski uczy-



OD BAKTERII DO CZŁOWIEKA

- **Ponad 3 mld lat temu** najstarsze przejawy życia.
- **Około 900 mln lat temu** pierwsze zwierzęta jednokomórkowe.
- **Około 500 mln lat temu** pojawiają się kręgowce.
- **Około 440 mln lat temu** wody zapełniają się rybami.
- **Około 370 mln lat temu** kręgowce wychodzą na ląd, czas płazów.
- **Około 350 mln lat temu** gady podobne do płazów.
- **Około 210 mln lat temu** ssaki podobne do gadów.
- **Około 300 tys. (?) lat temu** homo sapiens: człowiek rozumny.

doszedł do wniosku, że stworzył ten po przystosowaniu się do życia na lądzie uciekł z powrotem do wody. Ewolucja, jak widać, nie kroczyła prostą ścieżką.

W cieniu drzew

Takich dezertów zapewne byłoby o wiele więcej, gdyby wysoko rozwinięte ryby wypływające z wody nie trafiły na lądzie na przyjazne otoczenie. W środkowym dewonie - około 380 mln lat temu - ląd zaczęły porastać lasy. Korony drzew dawały orzeźwiający cień, w którym coraz bujniej mogła się rozwijać pierwotna roślinność. Niekiedy też nadbrzeżne drzewa wpadały do jezior, zatopieniu ulegały przybrzeż-

ne zarośla. W ten sposób na płytyznach tworzyło się nowe środowisko służące za swoisty pomost w wielkiej wyprawie kręgowców na ląd.

Wypływające z wody ryby o płazich cechach mogły na brzegu liczyć na pożywienie. Przed zbyt silnym słońcem nie musiały się za każdym razem chronić w wodzie. A przede wszystkim na lądzie nie narażały się na spotkanie z wodnymi drapieżnikami. Nowe środowisko opatrującym je śmiałkom wydawało się oazą bezpieczeństwa. Być może właśnie to zachęciło zwierzęta wodne do porzucenia dotychczasowych siedzib.

Zapis kopalny wskazuje, że mniej więcej 354 mln lat temu wczesne zwierzęta czworonożne były już w pełni ukształtowane. Na czterech łapach - niezbyt jeszcze pewnych, jakże przecież dalekich od doskonałości kończyn gazeli czy geparda - wyruszyły na podbój lądów, aby w najbliższych milionach lat w pełni je skolonizować i całkowicie zadomowić się w nowym środowisku.

Co się zdarzyło nad Bałtykiem?

Mała skamielina, odkryta przypadkowo przed 30 laty na Łotwie i zidentyfikowana przez Pera Ahlberga, należała do zwierzęcia, które żyło około 370 mln lat temu. Było półrybą, półpłazem. Podobne trochę do krokodyla, miało kilka rzędów ostrych zębów. Wraz z ogonem liczyło ponad metr długości. Przebywało prawdopodobnie najczęściej w płytkich wodach, zajęte głównie polowaniami, ale w wolnych chwilach odwiedzało chętnie plaże i oswajało się z nowym otoczeniem.

Podobną, lecz gorzej zachowaną skamielinę znaleziono w pobliskiej Estonii. Czyżby właśnie tej części świata przypadła w udziale kluczowa rola w dziejach ewolucji życia na Ziemi? Czyżby nad pradawnym Bałtykiem miał się dokonać jeden z najdonioślejszych aktów w historii Ziemi? Jeśli tak, to być może szlaki wielkiej wędrówki z morza na ląd - wędrówki, która doprowadziła do powstania gatunku homo sapiens i lotu człowieka na Księżyc - przebiegały również gdzieś w pobliżu Gdańska, Pucka i Łeby.

LESŁAW PETERS



CZUJNE KRZESŁO

Krzesło XXI w. zaprojektowano w Uniwersytecie Purdue w West Lafayette (USA). Mebel jest skomputeryzowany, a w siedzisku i oparciu ma czujniki, co pozwala analizować rozkład nacisku na poszczególne części krzesła. System rozpoznaje, co w danym momencie siedząca osoba robi, a nawet co robi za chwilę. Dzięki temu podczas telekonferencji kamera może automatycznie korygować kąt

nachylenia, zależnie od ruchów ciała znajdującej się przed nią osoby. W samochodzie system może ustalać wielkość i ciężar kierowcy, a następnie, w razie wypadku, dostosować siłę otwarcia poduszki powietrznej. W domu komputerowe krzesło pozwoli matkom kontrolować, czy dzieci siedzą prawidłowo.

MARMURY PRZEMÓWIŁY

Badania izotopowe pozwoliły stworzyć bazę danych o pochodzeniu greckich marmurów. Dzięki temu można ustalić, które kamieniołomy dostarczały surowca dla słynnych pomników i budowli. Archeologowie i historycy sztuki próbowali dotąd identyfikować źródła pochodzenia marmurów na podstawie budowy wewnętrznej kamienia i innych jego cech fizycznych. Pomiar izotopowy daje znacznie dokładniejsze i pewniejsze wyniki. Dzięki nim można odtwarzać przebieg antycznych szlaków handlowych, a znając czas eksploatacji poszczególnych kamieniołomów, naukowcy dokładniej mogą określić moment powstania dzieł sztuki i architektury.

KRAWAT W RĘKACH FIZYKÓW

U progu XXI w. naukowego opracowania doczekał się poczciwy krawat. Thomas Fink i Young Mao wydali książkę „The 85 Ways to Tie a Tie” poświęconą - jak głosi podtytuł - nauce i estetyce wiązania węzłów. Dwaj fizycy dostosowali teorię węzłów do potrzeb przeciętnego mężczyzny i okazało się, że krawat można zawiązać na 85 różnych sposobów. Temat był wcześniej prezentowany na łamach prestiżowego magazynu naukowego „Nature”. Książka kosztuje 15 dolarów.

ODWOŁANE BAKTERIE

Amerykański badacz John Cisar odkrył kilka lat temu niezwykle małe bakterie, które miały ponoć być odpowiedzialne za powstawanie kamieni nerkowych. Cisar przypuszczał, że bakterie te na stałe zamieszkują jamę ustną i tylko sporadycznie przedostają się do krwi. Naukowiec znalazł nawet rzekome świadectwa występowania mikroorganizmów w ślinie i płytkach nazębnych. Niedawno Cisar odwołał dotychczasowe twierdzenia i ogłosił nową pracę. Napisał, że nie ma przekonujących dowodów istnienia miniaturowych bakterii, zaznaczając jednak, iż udowodnienie, że coś nie istnieje, jest niemal niemożliwe. (LP)



TADEUSZ PIÓRO
Rocznik 1960. Poeta, tłumacz (m.in. Ezry Pounda i Harry'ego Mathewsa), smakosz. Autor pięciu książek poetyckich i wielu pysznych dań.

PROFESORSKIE obiady



Adriaen Brouwer, *Scena w gospodzie*, 1624-25

Saren w Oksfordzie nie może być więcej od profesorów. Stan poroży wyrównuje się podczas dorocznej uczty. Role są wtedy wyraźnie podzielone...

specjalnych stołach, ustawionych na podwyższeniu. Po to, by studenci jedzący zwyczajne, stołkowe dania mogli obserwować delectujących się wymyślnymi potrawami i najlepszymi winami nauczycieli. Piwnice kolegów kryją skarby równie wspaniałe, co ich biblioteki, szczególnie od czasu, kiedy finansami Cambridge zarządzał słynny ekonomista John Maynard Keynes. Było to w czasie światowego kryzysu gospodarczego, wieloletniej bessy na wszystkich rynkach. Keynes za-inwestował pieniądze uniwersytetu w najlepsze francuskie i portugalskie wina. Sprzedawane później na aukcjach przynosiły duże zyski, a czego uniwersytet nie sprzedał, profesorowie wypili – właściwie piją do dziś.

W oksfordzkim Magdalene College od kilkuset lat podaje się wyśmienitą sarnę. Kolegium ma własne stado saren i zwyczaj taki, że nie może ich być więcej niż profesorów. Sposobem na utrzymanie równowagi poroży jest doroczna uczta, w której główne role podzielone są między sarny i profesorów.

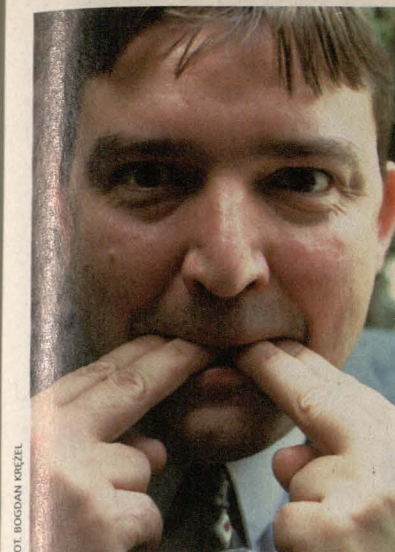
Comber sarni,

ważący około trzech kilogramów, należy zabejcować w mieszance cebuli, marchwi, oliwy, butelki czerwonego bordeaux lub burgunda, natki pietruszki, listka lau-

rowego, tymianku, czosnku, pieprzu i owoców jałowca. Bejcujemy w naczyniu porcelanowym, kamionkowym lub szklanym, obracając mięso parę razy dziennie, przez minimum trzy dni, a najlepiej przez tydzień. Kiedy nabierze zacności, wyjmujemy i wycieramy ściereczką. 200 gramów pokrojonej w drobną kostkę słoniny smażymy w czterech łyżkach oliwy i czterech łyżkach masła. Kiedy skwarki będą już chrupkie i złociste, obsmażamy sarninę w tłuszczu.

Tymczasem odcedzoną bejcę gotujemy na dużym ogniu, aż ubędzie jej połowa, zalewamy nią sarnę, przykrywamy szczelną i pieczemy w temperaturze 150 stopni. Kiedy mięso będzie odpowiednio miękkie, przekładamy je na gorący półmisek i trzymamy w ciepłe. Na dużym ogniu redukujemy o połowę płyn, jaki pozostał w naczyniu do pieczenia. Dolewamy kielišek porto i dwie łyżki konfitur z czerwonej porzeczki. Zeskrobujemy z dna, co się da, i precedzamy sos do sosjerk.

Sarninie w Magdalene College tradycyjnie towarzyszą kasztany, grzyby i perłowe cebulki oraz to samo wino, w którym bejcowaliśmy sarnę – czyli chateau burgund lub bordeaux, nie za stary, nie za młody, powiedzmy: pięć- lub sześćioletni (rzecz jasna, z dobrego rocznika).



PAWEŁ ZARĘCZNY

Z-ca red. naczelnego „Przeglądu Sportowego” i „Tempa”, komentator Canal+.

Wszyscyśmy niewinni

Prezes PZPN Michał Listkiewicz ma zamiar oddać mistrzostwo Polski 1993 warszawskiej Legii. Temat dobrze znany publiczności Warszawy i Krakowa. W 1993 r. Legia potrzebowała strzelić więcej bramek od ŁKS, żeby zdobyć mistrzostwo. No to kupiła sobie pół tuzina goli od Wisły. PZPN jednak kanciarstwo przejrzał i tytuł zabrał, czym naraził się na dozągoną nienawiść fanów Legii. Bo zbrodnie przeciwko Legii nigdy nie ulegają przedawnieniu.

Ostatnio trefny temat odżył, bo prezesi PZPN, wyciągając rękę do historycznej zgody z „zyletą” (fanatycznymi fanami CWKS), chcą tytuł zwrócić. Słusznie, całkowicie się zgadzam, choć też byłem w 1993 w Krakowie i widziałem aż za dobrze, co to była za farsa. Ale – już wtedy – dawałem wyraz nadziei, że skoro żyjemy w państwie prawa, to winy należy dowieść. A dopóki dowodu nie ma – to mamy domniemanie niewinności i mistrza – Legię. Zachęcałem wszelako organy ścigania, żeby postarały się kiedyś znaleźć dowody kupczenia ligowymi punktami i zrobiły panom piłkarzom pokazowy, uczciwy proces.

Niestety, polska policja jest w tej materii kompletnie bezradna, podobnie wojskowy wywiad i kontrwywiad. Upewniłem się w tym przekonaniu jeszcze bardziej po przeczytaniu wywiadu

z Czesławem Kiszczakiem w „Gazecie Wyborczej”. Oto szef policji politycznej mówi tam, że jego 200 tys. agentów zinfiltrowało wszystko, świat cały niemal, oprócz Komitetu Obrony Robotników. Tam nigdy i niczego nie wyspiegowano.

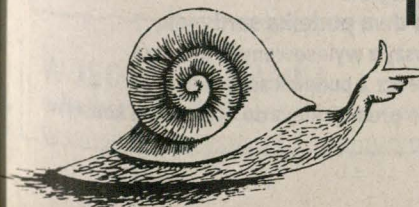
No nie, panie Generale, protestuję. Nie tylko KOR okazał się dla polskiego państwa nierozwiązywalną zagadką. Nie udało się również poznać tajemnic piłkarskiej ligi, tego całego handlu czy rozmaitych „spółdzielni”, choć was o to proszono wielokrotnie. Nie tylko na trybunach stadionów i nie tylko na łamach gazet. Mogę napisać o jednej konkretnej sprawie. W 1986 r. Legia (trener Jerzy Engel) sprzedaje mistrzostwo Polski Górnikowi Zabrze, sprzedaje zresztą też kilka innych meczów. Ówczesny menedżer klubu do spraw futbolowych, Andrzej Strelajau, korzystając z pretekstu, że Legia to klub wojskowy, prosi także wojskowy kontrwywiad o ukrócenie handlu punktami. Byłem wtedy dowódcą kompanii sportowej Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego Legia, a oficera kontrwywiadu mijalem co dzień na korytarzu. Nazywał się bodaj Ondrasik.

Niczego nie wyśledził (trudno by mu było to zresztą zrobić, bo całymi dniami przesiadywał w gabinecie). Ani on, ani 200 tys. agentów wojska i policji nie dało rady kilkunastu piłkarskim sprzedawczykom. No to Legia kombinowała dalej w najlepsze i handlowała. Aż przyszedł do klubu Janusz Wójcik i coś się zmieniło. I już nie sprzedawano, bo postawiono na zakupy. Reasumując, dopóki policja i wywiad są do bani, dopóty piłkarze będą robić, co chcą – z nami, ze swoimi klubami i z prezesami. Mogą nas sprzedać, kupić i nawet się nie zorientujemy. Najwyżej może się nam coś wydawać. A zmieni się dopiero wtedy, kiedy policjanci i wojskowi przestaną robić wielką politykę, udzielać wywiadów, a zaczną to, co potrafią najlepiej. Przesłuchiwać. Kiedyś ktoś puści farbę. A do tego czasu – wszyscy jesteśmy niewinni. Legia 1993 również.

Tylko nie o Małyszku!

poprosił redaktor, zamawiając tekst.

Zabrzmiato: nie przynudzaj. Ale o skokach będzie. Na kasę.



Biuro Podróży **JORDAN**

ZAPRASZA DO KORZYSTANIA Z NOWEJ, KONCESJONOWANEJ

LINII AUTOKAROWEJ



KRAKÓW - WIEDEN - LINZ - SALZBURG

Wyjazdy z Krakowa w piątki o godz. 20.00

Wyjazdy z Salzburga w soboty o godz. 16.00

UWAGI

Możliwość połączeń z Wrocławia, Katowic, Tarnowa, Rzeszowa z przesiadką w Wiedniu.

INFORMACJE I SPRZEDAŻ BILETÓW M.I.R.L.

KRAKÓW, ul. Sławkowska 12, tel. /012/ 422 20 33, w godz. 10.00 - 18.00

WIEDEN, Südbahnhof - kiosk biletowy, tel. 01/ 796 85 52 12, w godz. 17.00 - 21.00

SALZBURG, Rudolf Biebl Str. 43 tel. 0662/42 10 84, pon., śr., pt. w godz. 12.00 - 17.00 wt., czw. w godz. 17.00 - 20.00

Ponadto polecamy przejazdy do:

Austria (Wiedeń)
Belgia (Liege, Charleroi, Bruksela, Antwerpia, Genk)
Holandia (Hengelo, Utrecht, Amsterdam, Haga, Rotterdam, Breda)
Włochy (Mestre, Wenecja, Verona, Bolonia, Brescia, Mediolan, Genua, Turyn, Rzym, Florencja, Neapol, S. Giuseppe)
i na **Węgry** (Budapeszt, Vač)

BikoNt grzebie w starych „Przekrojach”

Wiech był jedną z wielkich gwiazd „Przekroju”. Pisał stały felieton, publikował w odcinkach powieść „Manius Kitajec i jego ferajna”. Nawet Kraków się zakochał w jego fantastycznie melodyjnej, przekomicznie wystylizowanej warszawskiej gadce. Dziś przypominam, w wersji nieco skróconej, popisową recenzję książki antyalkoholowej, z rocznika 1955.

W tym samym woluminie znalazłem też perełkę w wykonaniu innej przekrojowej gwiazdy humoru – Karola Szpalskiego. Ponadto prądniczka, stilonowe pończoszki i dwa pudełka sardynek (wówczas wielki rarytas, który smakosze musieli wystawiać w długich ogonkach, i to tylko wtedy, gdy akurat „rzucili”).

W związku z dniami Oświaty, Książki i Prasy odwiedził mnie p. Teoś Piecyk, który wygłosił następującą ocenę wypuszczonej niedawno przez „Wydawnictwo Lekarskie” broszury pt. „Prawda o alkoholu” pióra doktora K. [...]:

– Na samem początku zmuszony jestem zaznaczyć, że książeczka robi wrażenie takie więcej wstrząsające. Człowiek cokolwiek tronkowy, po jej przeczytaniu niezwłocznie przestaje pić i przerzuca się automatycznie na roztrzępaniec z siadłego mleka. Niech panu wystarczy, że osobiście ja, jak żem przejrzał te doktorskie arcydzieło, nie bierę więcej wódki do ust. Co prawda przeczytałem go dopiero dzisiaj rano, ale pewny jestem, że ten wstręt do napojów wysokokowych zostanie mnie się już na stałe.

No bo faktycznie, jak się człowiek zapozna, jak wygląda jego wątroba, żeładek, mózg, śledziona, nerki i inne tak zwane podroby już po przyjęciu dawki 0,005 czystego alkoholu, nie może potem pomyśleć o wypiciu kieliszka czystej wyborowej nawet z lodu, nawet pod jajeczka mołe, z łososiem, rzadkiewczką, cytrynką i majonezikiem...

Jeżeli nawet prawdą jest, że taka dawka 0,005 czystego alkoholu pod dajmy na to grzaneczki z tukiem pobudza nam apetyt, to możemy, jak nasz poucza te dane naukowe dzieło, osiągnąć również ten sam rezultat za pomocą inszych, tańszych i zdrowszych środków, jak

na przykład ziołowe goryczki oraz smaczny preparat odżywczy pod nazwą „Bewit”. Jak smakują pieczarki z patelni pod puszkę „Bewitu” osobiście nie sprawdzałem, ale jest rzeczą pewną, że nikt po takiej zakąsce nie wpadł w nałóg nadużywania ziołowych goryczek i soków owocowych.

A teraz aczkolwiek jestem z całym uznaniem i wdzięcznością dla doktora, któren po kosztownych za-

chmienie” itp. Każdy znawca tak zwanego przedmiotu przyzna mnie tu chyba, że szanowny autor obleciał się z temi zaburzeniami troszkie po łebkach, czyli po macoszem. Wstawiony wstawionemu nie równy. Może być: podziopiony, wzbdrygolony, pod rzyką, zawiany, zabalsamowany, pod muchą. To samo pijany może być: w pechę, w bambus, w kij, w kołyjskie, w huźdawkie, na twardo w trupa i na miętko w parasol bez kija. Można się znajdować na gazie, na bańce i na żaglu, presze autora! [...]

W kilku miejscach tej cośkolwiek przerażającej książeczki autor nasz zapewnia, że nawet najmniejsza ilość alkoholu, np. jeden kieliszek dziennie, spowodować może choroby psychiczne i śmierć. Na pewno tak jest. Szkoda mrugać. Ale mimo tego trzeba by to wykreślić. Bo skoro jeżeli ktoś z nas znajdzie się w restauracji i przez wrodzone roztargnienie zażąda wódki, a kelner go się zapyta: kieliszek czy ćwiartkie, to co się wtenczas stanie? Każden uważny czytelnik tego pożytecznego dzieła odpowie kielnerowi:

– „I tak mogiła, i tak mogiła, daj pan pół litra!”

Uważam, że tylko po zastosowaniu tych drobnych poprawek, to pożyteczne dzieło może trafić pod tzw. strzechy – rzekł na zakończenie p. Teoś, po czym zaprosił mnie do mlecznego baru na twarożek z młodym szczypiorkiem.

WIECH

Wiech POPRAWKI PANA PIECYKA

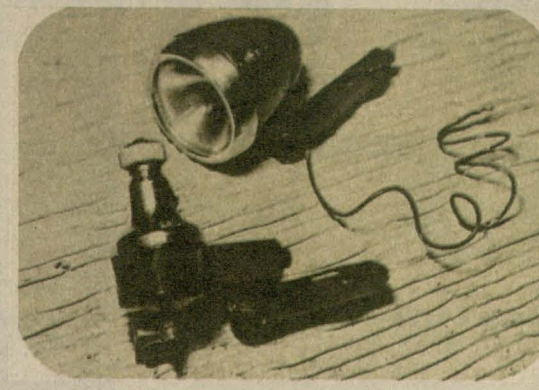
pewnie i uciążliwych osobistych studiach nad działaniem alkoholu na organizm, te pożyteczne dzieło na nasz użytek streścił, musze tu zaznaczyć, że w niektórych miejscach wymaga ono sporych poprawek i uzupełnień.

Weźmy na przykład taki rozdział pierwszy pod tytułem: „Człowiek pijany i pijak”. Doktor pisze: „Działanie alkoholu wywołuje u człowieka różne zaburzenia psychiczne znane powszechnie jako «upicie się», «wstawienie», pod-

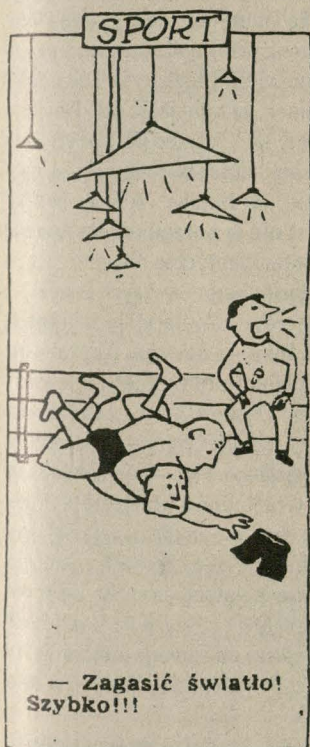


POŃCZOCHY

steelonowe bez połysku produkuje się z przędzy matowej. Przędzę tę wytwarzają Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych. Cewiarka Czesława Sieczkowska (na zdjęciu po lewej) wykonuje średnio 130% normy.



PRĄDNICZKA i lampa – są to nieodzowne dodatki do roweru. Przedmioty te pochodzą z zakładów mechanicznych im. Józefa Stalina w Poznaniu. Na pewno powitają je z radością wszyscy rowerzyści.



– To pewnie Łomnicki...

– Ale skąd – Janczar. Na pewno on.

– A ja wam mówię, że to ta dziewczyna z podziemia, no – Modrzyńska. Poznają po głosie... – Rzeczywiście.

O dziwo, postacie na małym ekraniku stały się trochę wyraźniejsze. Widzimy właśnie zbliżenie bohaterki filmu, która otoczona młodymi i chłopcami rozbiera zręcznymi ruchami na części rewolwer. Ale obraz jest wyraźny tylko przez chwilę. Potem z prawej strony pojawia się charakterystyczny „deszcz”, który przeciągnął gwałtownie przez cały ekranik, jakby gnany podmuchem huraganu. Znowu nic nie widać.

Jak można się było domyśleć, „oglądamy” program filmowy warszawskiej stacji telewizyjnej... Na ekranie – „Pokolenie”. Przytoczyliśmy na wstępie urywek rozmowy posłyszanej w małej salce projekcyjnej, gdzie miłośnicy telewizji wybałuszają oczy, aby coś niecoś zobaczyć na ekranie kształtnego odbiornika „Rembrandt” produkcji NRD. Niestety aparatura telekina znowu zawiodła. Obraz jest fatalny. W ogóle z programem telewizyjnym jest niedobrze.

Z.K. ROG.



Karol Szpalski

Abrakadabra

Kupuję tylko w	P.D.T.
Na pchły używam	D.D.T.
Walczę jak lew o	S.P.O.
Pieniądze składam w	P.K.O.
Dojazd używam	P.K.P.
Podziwiam rozmach	M.H.D.
Buduję dom przez	S.P.B.
Mam własne konto w	N.B.P.
Pracuję w prasie	R.W.S.
Znam dyrektora	P.S.S.
Popieram chętnie	P.C.K.
Kto rządzi Anglią?	U.S.A.
Naftę sprzedaje	C.P.N.
Nie jestem członkiem	W.R.N.
Uznaję rozwój	P.T.D.
Mam córkę w szkole	T.P.D.
Gdy będę siedział w	M.O.
Czytałem książki	K.L.O.
Widzę jak działa	O.N.Z.
Byłem w Warszawie na	W.Z.

I tak mi mija dzień za dniem
I z każdym dniem mi gorzej z tem,
A z ócz mi płyną gorzkie łzy,
Bo sam już nie wiem, czy??...

Kupuję spodnie w	D.D.T.?
Na pchły używam	P.D.T.?
Kupuję książki, gdzie?	M.O.?
Zaś siedział będę w	P.K.O.?
Czy córka ma jest w	P.T.D.?
Czy jeździł będę w	M.H.D.?

Czy M.H.D.	to	T.P.D.
Czy T.P.D.	to	P.D.T.
Czy P.D.T.	to	P.C.K.
Czy P.C.K.	to	U.S.A.
Czy U.S.A.	to	D.D.T.
Czy D.D.T.	to	P.D.T.
Czy P.D.T.	to	P.K.S.
Czy P.K.S.	to	P.S.S.
Czy P.S.S.	to	P.K.O.
Czy P.K.O.	to	K.K.O.???

Proste? Co?
Łatwe? Nie?
Pan rozumie?
Bo ja nie!

BZDURA

I to niewiarygodna. Tak określiła „Trybuna Ludu” w felietonie „Nasz klient – nasz plan” fakt zaplanowania przez PMS ilości wódki, jaką mają obowiązkowo sprzedać PZGS-y w Nidzicy, Działdowie, Nowym Mieście. PZGS Nidzica za „niewykonanie planu” picia wódki w powiecie dostał nagane i karę 30,000 złotych. Do takich absurdów może dojść tam, gdzie cyfry wykonania planu finansowego zastąpią biurokratom zdolność widzenia szerszych problemów społecznych.

Ile to jest: **Nasz mały konkurs**

$$5,978,364,504 \times 3,965,847 =$$

Pomiędzy osoby, które w terminie i na kuponie przysłały trafny wynik mnożenia, zostanie rozlosowanych 20 równorzędnych nagród:

po dwa pudełka sardynek.

Pierwszy z wylosowanych otrzyma

prócz 2 pudełek sardynek,

dotatkowo jako premię: klucz do otwierania konserw.

SOJUSZNICY

ZWIĄZEK RADZIECKI. Ponad 210 milionów ludności. Produkcja przemysłowa po wojnie wzrosła ponad 2,5 raza. (...)

POLSKA. 26 milionów ludności. Produkcja przemysłowa w przeliczeniu na jednego mieszkańca 5,5 razy większa niż przed wojną (przekracza już znacznie poziom włoski i zbliża się do francuskiego). (...)

NIEMIECKA REPUBLIKA DEMOKRATYCZNA. 20 milionów mieszkańców. Przemysł powiększył po wojnie produkcję 2 razy. (...)

RUMUNIA. 16 milionów ludności. Produkcja przemysłowa wzrosła po wojnie 3 razy. (...)

CZECHOSŁOWACJA. Ponad 12,5 miliona ludności. Produkcja przemysłowa 2 razy większa niż przed wojną. CSR należy do najbardziej uprzemysłowionych krajów Europy, prześcigając pod tym względem nawet takie

państwa jak Francja i Belgia (w przeliczeniu na jednego mieszkańca). (...)

WĘGRY. 9,5 mil. mieszkańców. Produkcja przemysłowa po wojnie wzrosła 3 razy.

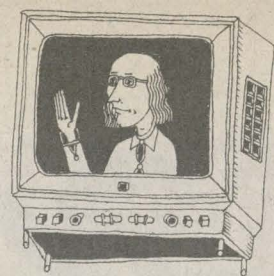
BULGARIA. Ponad 7 mil. mieszkańców. Produkcja przemysłowa po wojnie wzrosła ponad 5-krotnie, powstał przemysł ciężki. (...)

ALBANIA. 1,2 mil. mieszkańców. Przed wojną najbardziej zacofany kraj w Europie – produkcję przemysłową zwiększył prawie 12 razy!

W JEDNYM ZDANIU

• Palmiro Togliatti, sekretarz generalny włoskiej Partii Komunistycznej doznał w Trieście w czasie uroczystości 1-majowych lekkiego porażenia słonecznego, ale czuje się już dobrze.





STARSZYCH PANÓW ŻAL

Na

światowych listach przebojów znów królują Beatles. W Polsce złotą płytą nagrodzono „dzieła wszystkie” Kabaretu Starszych Panów. To znak, że nie jest z nami aż tak źle, jakby się wydawało. Dzięki rynkowemu sukcesowi o mistrzach gatunku przypomnieli sobie także telewizja, sygnalizując powtórkami, wspomnieniami i ciepłymi recenzjami. Powrót Kabaretu Starszych Panów następuje w momencie kompletnego upadku telewizyjnej sztuki kabaretowej. Nie ma w niej dawnego wdzięku, poezji i ciepła.

Dziś kabaret kojarzy się przede wszystkim z estradą. Kabareciarz to wiejski wesołek (à la Kryszak), miejski grepsiarz (à la Daniec) lub przemądrzały ironista (à la Rewiński). Liczba masek jest ograniczona. Kabaret nie flirtuje i nie żartuje, stał się agresywny. Agresja przejawia się głównie w personalnym doborze obiektu ataku. Może to być ktoś z widowni („ej, ty, w trzecim rządzie, aleś się

ubrał!”), ale częściej jest to jakiś znany polityk, aktor, biznesmen. Jeśli w estradowym kabarecie znajdzie się dziś w ogóle jakieś odniesienie do kultury, to tylko według recepty Jerzego Urbana, np. jako ewangeliczna parafraza: „Wiagra, nadzieja, miłość”.

Na tym tle Kabaret Starszych Panów ogląda się jak widowisko z zupełnie innej rzeczywistości. Bo to jest (czy raczej była) inna rzeczywistość. Przepojona kulturą literacką i muzyczną najwyższego lotu. Aristokratyczna z ducha, ale stworzona przez autorów z ogromnym szacunkiem dla wrażliwości każdego widza (słuchacza). I nieodparcie śmieszna. Jest w tym jakiś fenomen, że oglądając dziś Przybora i Wasowskiego, po raz setny śmiejemy się tak samo jak kiedyś, a kto wie, czy nie bardziej niż z pozornie aktualniejszych dowcipów opowiadanych na przykład w programie „Na stojaka”. A może to z nami (fanami „Tanich drani”) coś jest nie w porządku? Na wszelki wypadek zrobmy sobie małe psychoterapeutyczne résumé: z czego właściwie się śmiejemy, odgrzewając Kabaret Starszych Panów?

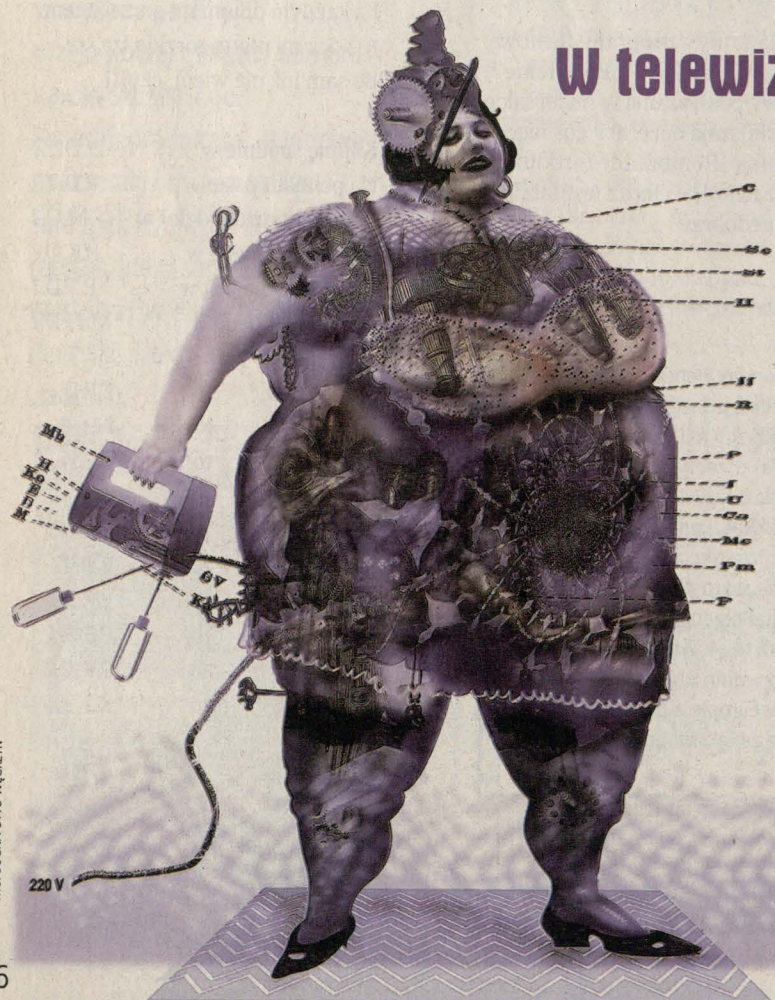
Raz – z przedstawionych tu charakterów. Rewelacyjnie zagranych, ale najpierw świetnie napisanych. Dwa – z dowcipu językowego. Chyba nikt w ostatnim półwieczu nie potrafił wydobyć tyle komizmu z języka polskiego, co Jeremi Przybora. Trzy – z literackich aluzji, niestety czytelnym od matury wzwyż. Cztery – z muzycznych pastiszy Wasowskiego. Pięc – z genialnie skonstruowanej wrażliwości bohaterów z siermiężną epoką (średni Gomułka), w jakiej przyszło im żyć. Wreszcie ze wszystkich wymienionych elementów pojawiających się jednocześnie – w piosenkach Starszych Panów. Ich siła okazała się większa od samego kabaretu. Stały się standardami, niedoścignionymi w swoim gatunku.

Kabaret Starszych Panów grały trzy aktorskie pokolenia. Każde potrafiło z twórczości Przybory i Wasowskiego wydobyć coś innego. Kiedy już zdążyliśmy się przyzwyczaić do jednej interpretacji, w drugiej uderza nas coś zupełnie innego. Kolejne wersje pozwalają także dostrzec coś, co jest istotą kabaretu jako sztuki: polifoniczność. Kabaret śmieszny (a w każdym razie powinien) na różnych poziomach i przy użyciu różnych form. Pantomima, etiuda, skecz, piosenka, kuplety – u Starszych Panów wszystko było najwyższego gatunku.

Jest podobno jeden nieomylny wskaźnik inteligencji: poczucie humoru. Albo się je ma, albo nie. Twórczość Przybory i Wasowskiego pozwalała bardzo wielu Polakom poczuć się ludźmi inteligentnymi. Współczesne polskie kabareciarstwo estradowe już nie daje nam tego komfortu.

Włajar

W telewizyjnej sztuce kabaretowej nie ma dawnego wdzięku, poezji i ciepła.



MAGDA UMER

Piosenkarka, aktorka, scenarzystka i reżyserka. Debiutowała podczas studiów (filologia polska) w kabarecie Abakus. W 1968 r. związała się z kabaretem klubu „Stodoła”, a później współpracowała z „Dreszczowiskiem” Macieja Zembatego. W programach TV śpiewała piosenki do wierszy m.in. Leśmiana, Baczyńskiego, Gajcego, Gałczyńskiego. Upowszechniła modę na piosenkę poetycką. Jej recitale telewizyjne to „Cienie”, „Na strychu”, „Wszystko już było”. Wyreżyserowała spektakle teatralne „Biała bluzka”, „Kobieta zawiedziona”, „Zimy żal”. Dziś śpiewa rzadko, ale chętnie wykonuje arcydzieła swoich mistrzów – Starszych Panów.

Pytania, na które odpowiedziała Magda Umer, od dawna krążyły wśród bywalców. Trzy razy odpowiadał na nie Prus. Był w redakcji jeszcze inny kwestionariusz. Na pytania z niego zaczerpnięte odpowiadał Marcel Proust (dwa razy). Kwestionariusz Prousta „Przekrój” drukował w latach 60. Ostatnio zniknął z biurka redaktora Kerna. Ktoś wywiózł kwestionariusz do Warszawy.

Co tutaj robisz?

Wiele rzeczy.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?

Boję się, że wszystkie są przecenione.

Pokusa nie do odparcia?

Słodycze i sen.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?

Wyjątkowe zbiegi okoliczności. I słońce.

Gdybyś była psem, kogo byś ugryzła?

Nikogo. Ale parę osób bym obsikała.

Twoje grzechy główne?

Inercja, katastrofizm, łakomstwo.

Gdybyś była zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymała?

W połowie listopada i by zegarek przestał chodzić do połowy marca każdego roku.

Czego powinno nie być?

Zimy (w Polsce).

Czego masz za dużo?

Propozycji pracy.

Pierwsze największe marzenie?

Mieć korale z jarzębiny.

Najbardziej staram się...

...być osobą pogodną i porządną.

Co odróżnia człowieka?

Temat-rzeka.

Ostatnia tęsknota?

Ciepłe kraje.

Bez czego nie możesz zasnąć?

Bez szarego misia i zielonej poduszeczki z lawendą.

Wyjątek czy reguła?

Oczywiście, że wyjątek.

Na co liczysz?

Na ciepłą Afrykę.

Kiedy jestem sama...

...to się delektuję tą samotnością.

Za co zapłaciłabyś każdą cenę?

Za zdrowie moich bliskich i moją przytomność umysłu, aż do zapadnięcia w sen krótki i najdłuższy.

Co podpowiadają ci złe siły?

Na szczęście nie gadają ze mną.

Twój najbardziej zaniedbany talent?

Pisanie.

Jak chciałabyś być zapamiętana?

Jako osoba uśmiechnięta i szczupła.

Co nowego?

Co chwilę coś innego, ostatnio „Przekrój” poprosił mnie o wypełnienie ankiety, a ponieważ bardzo lubię „P”, więc z chęcią tracę poszukiwany czas.

OKO ZA OKO, RYM ZA RYM

Rymowana „Łoza” Daniela Olbrychskiego (współpraca: Julian Tuwim) w „P” 2901 wywołała wśród Czytelników rymotwórczą eksplozję. Wszystkim dziękujemy, drukujemy utwory dwu autorów. Są to fragmenty większych całości. (Red.)

Ja, polski, wiejski wasz czytelnik pod kupą chamstwa się uginam, którą wam przesłał cwany piernik i wmoził, że ma coś z Tuwima.

Gorycz goryczy bije z treści, ale by tak współczesnych łzy? Komu powiedzieć jutro – Cześć ci, gdy dziś wypina się mu rzyć...

Dobrze by było, aby z wiekiem i rozum zaczął wreszcie tyć, bo człowiek musi żyć z człowiekiem, a nie całować jego rzyć...

Wojciech Józef Kamiński, Zbiersk

Miły Danielu, Literacie! Dobrze, iż gromisz dumiów grupę. Tobie nie trzeba kaskadera, potrafisz sam się łączyć z dupę.

Abys nie myślał, żeś jest Tuwim, więc Ci napiszę, bom jest szczer: co rusz nam nowy „talent” rośnie, ale najbardziej – to pozery.

Wiesław Czermak-Nowina, Lidzbark Warmiński

SZANUJECIE LEKARZY

Od dłuższego czasu zarówno telewizja, zwłaszcza komercyjna, jak też pewien gatunek prasy dla kobiet starają się zaszczyć lekarzy w naszym kraju. Zbulwersował mnie m.in. wyemitowany niedawno przez telewizję regionalną wywiad, w którym pani redaktor, bardzo atrakcyjna i świetnie ubrana, nie mogła się nadziwić, że lekarz oskarżony o przyjęcie „korzyści majątkowej” mieszka w szeregowym domu rodzinnym, podczas gdy jego pacjent w kaloszach brnie przez zagnojone podwórko. Do redaktorki nie docierało, iż pacjent był rolnikiem i zarówno kalosze, jak i błoto to jego „chleb powszedni”, lekarz natomiast przez całe życie zdobywa wiedzę niezbędną do ratowania najcenniejszej doczesnej wartości. Czy dziennikarka, zbulwersowana tą, cytuję, „dysproporcją w poziomie życia lekarza i pacjenta”, powierzyłaby swoje zdrowie temu pierwszemu czy drugiemu? Zawszą słyszę o nieodpowiedzialnych chirurgach zaszywających chusty lub narzędzia w brzuchach pacjentów. Czy ktoś chociaż raz zastanowił się, jak dalece takie informacje uderzają w ciężko pracujących, uczciwych i po prostu dobrych lekarzy? Wiem, że

wszędzie zdarzają się przypadki niekompetencji, nieuczciwości, łapówkarstwa, ale czy wolno to uogólniać? Mamy po 30 lat, mąż jest lekarzem pełnym zapału, ambitnym i aż do bólu pracowitym. Jest mi zwyczajnie smutno, gdy widzę, jak po bardzo ciężkim dniu dowiaduje się z mediów, że tak naprawdę czas, który poświęcił kiedyś na studia, marzenia i ideały wiążące się z podjęciem wymarzonej pracy, okazuje się niewiele wartym, ryzykownym i piętnowanym przedsięwzięciem.

Kasia (nazwisko i e-mail do wiadomości red.)

CENIE AUTENTYZM BOHATERÓW

Pragnę skomentować krytykę „Rozmów w toku” red. Włajera zamieszczonej w „P” 2900. Najpierw sprostowania. Osoba, która w programie Ewy Drzyzgi śpiewała „Miłość ci wszystko wybaczy”, nie była męską prostytutką, ale aktorem z zawodu i homoseksualistą z upodobań. W programie gościła męska prostytutka, ale nie popisująca się śpiewem. Program red. Drzyzgi nie prezentuje wyłącznie „odchyleń od norm kulturowych i moralnych”, a jego bohaterowie nie przychodzą tam tylko po to, żeby „przeprać plamy w życiorysie”. To krzywdzące uproszczenie. Ewa Drzyzga poświęca wiele programów kwestii niesprawiedliwości społecznej (np. program z udziałem osób pokrzywdzonych przez służbę zdrowia, instytucję prawie bezkarną). Publiczną dyskusję o genetycznych uwarunkowaniach homoseksualizmu też trudno nazwać przepieraniem plam w życiorysie. Poza tym szanuję publiczny płacz niektórych bohaterów, bo często jest to ich ostatnia szansa, że ktoś zwróci uwagę na ich problemy.

Oczywiście, w tym programie pojawiają się również osoby puste i spragnione sensacji, szkoda tylko, że epatują jedynie swoją głupotą. Programowi temu przeciwstawiono „MdM”, którego „gośćmi... najczęściej bywali wariaci w pozytywnym tego słowa znaczeniu”. Czy w takim razie należy rozumieć, że cała reszta, tj. wariaci w odwrotnym znaczeniu tego słowa, bieży tłumnie do programu pani Drzyzgi? Mnie również raz w czasie komercyjności, której w tym programie nie brak, ale cenię autentyzm bohaterów.

Halina B., stała czytelniczka

NIE OBRAZIŁEM SIĘ

W „P” 2900 w tekście pana Skoczylasa o konflikcie w Radiu Zet pada zdanie: „Podobno zaczął się od tego, że Kozyra postanowił kupić Monikę Olejnik, czym poczuł się obrażony Krzysztof Skowroński, który zażądał podwyżki” i to, co po nim następuje, jest nieprawdziwe. Nie poczułem się obrażony tym, że w Radiu Zet ma występować Monika Olejnik i nie zażądałem podwyżki. Pan Skoczylas mógłby korzystać ze starej dziennikarskiej zasady opierania się na dwóch źródłach i z możliwości weryfikacji informacji. **Krzysztof Skowroński, Program III PR**

„DES” NIE „LES”

Hasto z piosenki Młynarskiego propagujące odwiedzanie Polski podane zostało w „P” 2901 z błędem. Ma być: „Visitez la Pologne, pays des (nie – les) aventures passionantes”. Wersję wydrukowaną należałoby przetłumaczyć jako „Odwiedzajcie Polskę, kraj pasjonujące przygody”, a to nie ma sensu.

Włodzimierz Sukiennik, Warszawa

Konkurs dla prenumeratorów

PRENUMERUJ i pisz wiersze

Warunki uczestnictwa:

Zaprenumeruj „Przekrój” (w „RUCH-u”, na poczcie lub w redakcji) na okres co najmniej jednego kwartału, począwszy od dnia 1 IV br. **Napisz LIMERYK zawierający słowo „Przekrój”.**

Prześlij pod adresem redakcji kserokopię dowodu opłaty prenumeraty, wraz z limerykiem, **do dnia 9 marca br. (decyduje data stempla pocztowego).** Adres redakcji: „Przekrój”, 31-012 Kraków, skr. poczt. 533, z dopiskiem „Prenumerata”

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 12 marca br.

Redakcyjne jury dokona wyboru najlepszych limeryków.

Nagrody:

I – serwis obiadowy Carmen, II – serwis obiadowy Rita, III – garnitur do kawy. Wyróżnienia: 5 kompletów książek, 3 zestawy kosmetyków

Główne nagrody ufundowała Firma Porcelana-Chodzież SA.

Redakcja zastrzega sobie prawo do wykorzystania nadesłanych materiałów w całości lub fragmentach. Zgadzam się na przetwarzanie moich danych osobowych w zakresie niezbędnym do obsługi zamówienia. Dane są chronione zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych (Dz.U. Nr 133, poz. 882). Oświadczam, że wiem o prawie do wglądu i poprawiania moich danych osobowych.

Podpis

WARUNKI PRENUMERATY II KWARTAŁ 2001

KRAJOWA

Poczta Polska – 40,30 zł. Wpłaty do 25 lutego br. przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze – w rejonach doręczeń. „RUCH” – 40,30 zł. Wpłaty do 5 marca br. przyjmuje oddział „RUCH” najbliższy miejsca zamieszkania prenumeratora.

ZAGRANICZNA

„RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, 01-248 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33, Konto: Bank Pekao SA IV O/Warszawa Nr 12401053-40060347-2700-401112-001

kwartał – 136 zł	półroczne – 234 zł	rok – 390 zł
kwartał – 160 zł	półroczne – 274 zł	rok – 457 zł
kwartał – 207 zł	półroczne – 355 zł	rok – 592 zł

kwartał – 33,95 USD	półroczne – 58,20 USD	rok – 97,00 USD
kwartał – 39,90 USD	półroczne – 68,40 USD	rok – 114,00 USD
kwartał – 51,80 USD	półroczne – 88,80 USD	rok – 148,00 USD

Wpłaty do 5 marca br. lub w terminie dowolnym – z wysyłką po 3 tygodniach. Wpłaty z zagranicy można dokonać kartami: American Express, JCB, Eurocard, Visa, Mastercard, od dowolnego numeru. Szczegółowe informacje – tel. w kraju: 0-800-120-029 (informacje bezpłatne) tel. +48(22) 5328-731, 5328-820, 5328-816, fax: +48(22)5328-732 oraz na stronie internetowej www.ruch.pol.pl. e-mail: prenumerata@okdp.ruch.com.pl Wpłaty na prenumeratę krajową, zagraniczną i z zagranicy można dokonywać także na konto redakcji „Przekrój”: Bank Pekao SA – I/O/Kraków nr 12401431-7010439-2700-401112-001. Ceny jak w prenumeracie RUCH-u.

Ten numer „P” gości w:

radio TAK 98,0 i 106,5 FM
Biuro Reklamy 25-363 Kielce, Wesoła 47/49, tel. (041) 362 09 51

98.10 FM Radio MAKS Tarnów
Biuro reklam Radio MAKS, tel./fax (014) 621-29-29

TWOJE RADIO WAŁBRZYCH 91,8 FM

radio Merkur 91.1 FM, 91.9 FM, 100.9 FM, 102.7 FM, 102.6 FM
Poznań, Reklama: tel. (0-61) 865-93-73

RADIO KRAKÓW Matopolska
Kraśnik: 101,6 FM, Tarnobrzeg: 101,0 FM, Nowy Sącz: 90,0 FM, Zakopane: 100,0 FM, Krynica: 102,1 FM, Rybnik: 87,5 FM, Sucha Beskidzka: 87,6 FM, Sławi: www.radio-krakow.pl

RADIO ECHO 93.50 FM
ul. Wałowa 6, 33-300 Nowy Sącz, tel. (0-18) 443-73-21

RADIO PARADA 96.00 FM

TWOJE RADIO JOWISZ 106,2 FM

KRAKÓW
ul. Sławkowska 12, tel. 012/422 20 33, ul. Długa 9, tel. 012/421 21 25
TARNÓW
ul. Pułaskiego 7, tel. 0141/626 08 88

JORDAN

TWOJE BIURO PODRÓŻY

EUROPALM
BIURO TURYSTYCZNO - PRZEWOZOWE
Kraków, ul. Sienna 14 tel. 421 97 47 tel/fax 421 97 19
WCZASY I WYCIECKI ZAGRANICZNE WYNAJEM AUTOKARÓW

<p>Potwierdzenie dla wpłacającego</p> <p>Zł gr.....</p> <p>słownie złotych</p> <p>grosze jak wyżej</p> <p>wplacający</p> <p>Dokładny adres</p> <p>Nazwa banku</p> <p>Pekao SA IV o/Warszawa</p> <p>Numer rachunku</p> <p>12401053-40060347-2700-401112-001</p> <p>Dokładna nazwa rachunku „RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy</p> <p>Datownik</p> <p>Oplata</p> <p>zł gr.....</p> <p>Podpis przyjm.</p>	<p>Wypełnić na odwrócie</p>
<p>Odcinek dla posiadacza rachunku</p> <p>Zł gr.....</p> <p>słownie złotych</p> <p>grosze jak wyżej</p> <p>wplacający</p> <p>Dokładny adres</p> <p>Nazwa banku</p> <p>Pekao SA IV o/Warszawa</p> <p>Numer rachunku</p> <p>12401053-40060347-2700-401112-001</p> <p>Dokładna nazwa rachunku „RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy</p> <p>Datownik</p> <p>Wypełnić na odwrócie</p>	<p>Wypełnić na odwrócie</p>
<p>Odcinek dla banku</p> <p>Zł gr.....</p> <p>słownie złotych</p> <p>grosze jak wyżej</p> <p>wplacający</p> <p>Dokładny adres</p> <p>Nazwa banku</p> <p>Pekao SA IV o/Warszawa</p> <p>Numer rachunku</p> <p>12401053-40060347-2700-401112-001</p> <p>Dokładna nazwa rachunku „RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy</p> <p>Datownik</p> <p>Wypełnić na odwrócie</p>	<p>Wypełnić na odwrócie</p>
<p>Odcinek dla poczty</p> <p>Zł gr.....</p> <p>słownie złotych</p> <p>grosze jak wyżej</p> <p>wplacający</p> <p>Dokładny adres</p> <p>Nazwa banku</p> <p>Pekao SA IV o/Warszawa</p> <p>Numer rachunku</p> <p>12401053-40060347-2700-401112-001</p> <p>Dokładna nazwa rachunku „RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy</p> <p>Datownik</p> <p>Oplata</p> <p>zł gr.....</p> <p>Podpis przyjm.</p>	<p>Przekaz dla wpłat na rachunki bankowe</p>

PO PIERWSZE – „GAZETA”

O rzeczywistości dowiadują się przede wszystkim z gazet. A ściślej z jednej – z „Gazety Wyborczej”. Jak wyglądała Polska między 27 stycznia a 2 lutego tego roku?

Sobota, 27 stycznia

Krakowskie kamienice sprzedają ludzie, którzy od lat nie żyją.

TOPR przez dwa dni szukał w górach dwojga młodych ludzi, bo jasnowidz z Człuchowa powiedział, że tam właśnie zaginęli. Tymczasem para bawiła w Pradze. Teraz TOPR domaga się od jasnowidza 5 tysięcy złotych jako zwrotu kosztów akcji. Członków gangu ze Świnoujścia, skazanych za wymuszanie haraczy, od prawie roku nie można aresztować, bo wszyscy ciężko zachorowali.

„Uprzejmie informuję, że nie jestem świnia i głupcem” – zapewnia w liście do redakcji Grzegorz Lasota.

Niedziela, 28 stycznia

Nuda, nie ukazują się gazety.

Poniedziałek, 29 stycznia

Kilkuset licealistów z Legnicy i okolic nie zgadza się w roku 2002 zdawać nowej matury, bo – jako że za późno dostali sylabusy – nie zdążyli się przygotować.

Małżeństwo zarażone wirusem HIV wystąpiło do skarbu państwa o milion złotych odszkodowania.

Wtorek, 30 stycznia

Małżeństwu O. grozi do roku więzienia za to, że poskarżyli się rzecznikowi praw obywatelskich na Prokuraturę Rejonową w Świdnicy. Prokuratura oskarżyła państwa O. o pomówienie.

**Gangsterzy na L-4
Etyka za 15 zł
Minister aresztowany itd.,
– oto Polska z gazet**



FOT. JACEK MARCZEWSKI

Studenci Akademii Bydgoskiej, żeby zaliczyć etykę, muszą kupić od wykładowcy książkę za 15 złotych. A jeśli kupią dwie książki, w tym materiał z konferencji AWS, mogą liczyć na piątkę.

Były pracownik III Wydziału MSW, zajmującego się w czasach PRL-u inwigilowaniem „Solidarności”, zakłada w jednym z olsztyńskich hipermarketów komisję zakładową NSZZ „Solidarność”.

„Moja rola spinacza się wyczerpała” – konstatuje ze smutkiem wielopartyjny poseł Janusz Lewandowski.

Środa, 31 stycznia

„W Polsce mamy tylko jedno laboratorium wyspecjalizowane w wykrywaniu BSE” – przyznaje główny lekarz weterynarii kraju, dr Andrzej Komorowski.

W Gdańsku rozpoczął się proces byłego posła BBWR oskarżonego o przywłaszczenie ponad 660 tysięcy złotych.

„O fundamentalnym znaczeniu społeczeństwa obywatelskiego dla demokracji nie muszę mówić” – mówi Andrzej Olechowski.

Kasy chorych odmawiają finansowania specjalistycznych badań chroniących sportowców – od osmiolatka po wyczynowca – przed patologią nowoczesnego sportu.

Czwartek, 1 lutego

W zamian za luksusowe wczasy fundowane przez koncerny farmaceutyczne lekarze przepisują leki produkowane przez fundatora.

Polacy zdają sobie sprawę z tego, że dowcipów nie należy traktować poważnie – orzekł Sąd Apelacyjny we Wrocławiu i oddalił apelację czarnoskórego studenta, który skarżył miesięcznik „Dobry Humor” za publikację rasistowskich dowcipów o Murzynach.

Były minister przemysłu i handlu został aresztowany za przyjmowanie łapówek. Z kasy hurtowni Alkpol zniknęło 1,2 mln zł, a z kasy klubu koszykarskiego Brok Słupsk – 140 tys. zł. Prezesem obu instytucji był ten sam człowiek.

Piątek, 2 lutego

Pensja polskich parlamentarzystów wzrosła w styczniu o 931 złotych. Jeśli zostanie uchwalona ustawa budżetowa, być może pensja ta wzrośnie jeszcze o 863 złote. Brakuje 40 mln złotych na dokończenie budowy Wydziału Prawa Uniwersytetu Gdańskiego. Uczelnia powołała komisję, która zbada, czy architekt, wykonawca i poprzedni rektor celowo nie doprowadzili do takiej sytuacji.

Marilyn Manson „nie powinien mieć prawa występowania w kraju Romana Polańskiego i rodziny Frykowskich” – twierdzi Łukasz Tischner.

„Aktorstwo wydaje mi się rodzajem zbrodzenia” – zwierza się Izabella Scorupco.

Polska wyczytana z „Gazety” jawi mi się jako kraj niezwykle ciekawy. Co ja mówię – ciekawy? Wręcz zajmujący. By nie powiedzieć, że popieprzony.

ANTONI PAWLAK

**Rocznik 1952. Poeta.
Ale z czegoś trzeba żyć,
więc przez lata także dziennikarz,
a dziś wydawca.**

Stany grypowe Natychmiast Oscillo !



Gorączka, dreszcze, bóle mięśni, bóle głowy ...



LABORATOIRES
BOIRON®

Ludwik Jerzy Kern

Z cyklu: Imiona nadwiślańskie

CYRYL

Po patronie swoim
Cyryl
Chociaż młody,
Ma przemożną chęć
Do zapuszczenia brody.

Ale, choć

Po staroświecku stroi swoje lico,
Postępuje się współczesną cyrylicą
Czyli pcha w otchłan komputera
Różne kombinacje cyfry 1 oraz 0.

Wszyscy raczej dobrze mówią o Cyrylu
Niezależnie czy jest aktualnie
W wojsku,
Czy w cywilu.



Umie śpiewać,
Anegdota czas umila –
Drogi panie Cyrylowe,
Dbać radzimy o Cyryla,
Żeby czasem do sąsiadki
Nie dał dyla.

JEDYNY WNIOSEK

„Moto Tydzień” (dodatek do „Życia Warszawy”) zamieścił w numerze 3. tą ką oto fotografię, z pieczętówic, rzecz jasna, dobranym podpisem:



Robert Korzeniowski odbiera kluczyki do xsary VTS z rąk dyr. generalnego Citroen Polska Marca Gueugina.

Jak widać, dyrektor generalny Citroena w Polsce został nabyty w butelkę. (Nadstat: R. Missol)

W CZASIE DESZCZU KOREKTY SIĘ NUDZA...

„Rzeczpospolita” w numerze 11 dała taki popis:

Co najmniej 2 mln różnych gatunków roślin i zwierząt żyje w lasach deszczowych. To ten Wrigleys też już tam dotarł?

(Nadstat: T. Tanajewska)

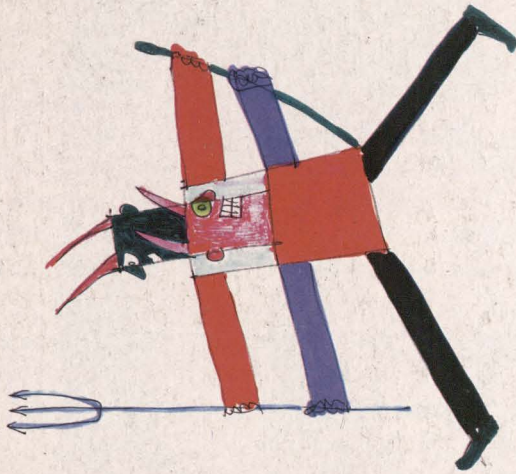
JAK NIE, TO WON!

Krajowa Korporacja Oświatowa z siedzibą w Krakowie zbiera od swoich studentów dane w celach związanych z procesem kształcenia – jak to ładnie sama w swojej informacji określa. W tejże informacji w punkcie czwartym dodaje:

Podanie danych osobowych jest dobrowolne, jednocześnie stanowiąc warunkiem koniecznym zawarcia umowy z KKO. Dobrowolność konieczna! Ach, jakie to śliczne!

(Nadstat: N. N.)

Rys. Adam MACEDOŃSKI



– Idziemy do wyborów!

O WACUSIU

– Falczakowa podróżowała raz z walizką pokrytą nalepkami hoteli z całej Europy. „Pani wszędzie tam była?” – spytała ją współpasażerka w przedziale. „Nie – odparta Falczakowa – ja nie byłam, ale ona była”.

OD DO

Z „Głosu Szczecińskiego” (20 stycznia) dowiadujemy się, że podczas wizyty w Szwajcarii Janusz Korwin-Mikke powiedział: „Sądzę, że w najbliższych wyborach parlamentarnych wspólnie mielibyśmy szansę na uzyskanie od 25 do 25 procent głosów...”

Jest to procent istotnie niesłychanie precyzyjnie wyliczony. (Nadstat: J. Stawicki)



CHWILA ZWĄPIENIA

Fraszki mi dziś nie obrodziły...
To są właśnie najgorsze w życiu sytuacje, kiedy się traci wiarę we własne siły i ma się w dodatku rację.

(Marian Zatulcki)

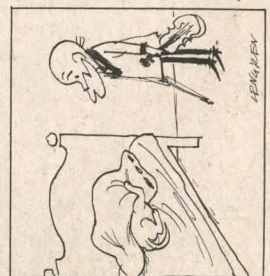
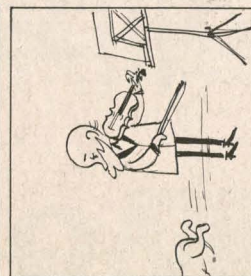
POKRZYŻOWANA KRZYŻÓWKA

„Życie na gorąco” określa w krzyżówce miasto Rzym jako coś nad Tybetem. Okazuje się, że życie na gorąco źle czasem robi krzyżówkom. (Nadstat: Z. Żakowska)

O WACUSIU

– Zabawne, kiedy Falczakowa siada za kierownicą, na jezdniach pojawia się nagle o wiele więcej idiotów niż zwykle.

FLUTER



Rys. Zbigniew Lengren

PROSIMY NIE POWTARZAC

Odkąd załadnili nam się województwa marszałkami, można by również oborowym nadać jakies tytuły, choćby wicehrabiów.

W czasie totalnej mobilizacji wcielono do wojska nawet dzieci w podszym wieku.

* Bogumił Niechcic ożenił się i przeszedł w stan spoczynku.
* Dionizje rozpoczynali się od pojedynków. Kto przeżył, bawił się dalej.
* Grażyna różniła się od mężczyzny tym, że była kobietą.

HUMOR ZESZYTÓW nadesłali: M. Pronobis z Tarnowa, K. Kidawa z Będzina, A. Kozarzewski z Pułtuska i L. Tomaszewska z Warszawy. Dziękujemy.

PRZYGOTOWANIA

Matura zbliża się wielkimi krokami. Najlepszym dowodem są przygotowania do matury. Oto ogłoszenie z nr. 3. „Gazety Myślenickiej”:
„Kupię ściągę na maturę z języka polskiego. Tel...”

A po ile, kotku, płacisz za pół metra, ściągę czyzywiście?
(Nadstat: E. Biela)